

Prolog

Głębia przestrzeni. Istniała długość, szerokość i wysokość; jednak te trzy wymiary zwiły się, tworząc zakrzywioną czerń, mierzalną jedynie migotaniem gwiazd, mknących przez otchłań, by zniknąć w nieskończoności. Głębia kosmosu.

Gwiazdy znaczyły upływ czasu wszechświata. Były tu dogasające, pomarańczowe główne, błękitne karły i podwójne żółte olbrzymy. Były kolapsujące gwiazdy neutronowe i gniewne supernowe, wrzące w lodowatej pustce. Gwiazdy rodziły się, pulsowały i umierały. Była też Gwiazda Śmierci.

Gwiazda Śmierci orbitowała na skraju Galaktyki, wokół zielonego księżyca Endor — księżyca, którego planeta macierzysta dawno temu rozpadła się w nie-odgadnionym kataklizmie i rozplynęła w nicość. Gwiazda Śmierci była opancerzoną Stacją Bojową Imperium, niemal dwukrotnie większą od swej poprzedniczki, zniszczonej przed wielu laty przez flotę Rebeliantów. Niemał dwukrotnie większą i ponad dwukrotnie potężniejszą. Jej budowa jeszcze trwała.

Ta nie dokończona kula zwiślała nad żywym, zielonym światem Endoru, wyciągając ku niemu macki konstrukcji. Przypominały chwytny odnóża jadowitego pająka.

Imperialny Gwiezdny Niszczyciel zbliżał się do gigantycznej stacji bojowej z prędkością rejsową. Był ogromny jak miasto, lecz poruszał się z niezwykłą gracją, niby wąż morski. Ochraniało go mniej więcej dziesięć myśliwców Twin Ion Engine — o podwójnym napędzie jonowym. Czarne, podobne do owadów jednostki przemykały wokół niszczyciela we wszystkie strony — badały przestrzeń, sondowały, przegrupowywały się i lądowały,

Bez najmniejszego dźwięku otworzyło się główne stanowisko startowe statku. Zajaśniała zapłonowa struga wylotowa i imperialny prom przemknął z mroku hangaru w mrok przestrzeni, w stronę nie dokończonej Gwiazdy Śmierci.

W kabinie dowódca i drugi pilot, wpatrzeni w instrumenty, kontrolowali sekwencję lądowania. Wykonywali ten manewr już tysiące razy, mimo to obaj byli wyraźnie zdenerwowani. Dowódca wcisnął przełącznik transmitera,

— ST trzysta dwadzieścia jeden do stanowiska dowodzenia. Kod Wejściowy Niebieski. Rozpoczynamy manewr zbliżania. Wyłączcie pole ochronne.

W odbiorniku odezwały się trzaski, potem głos kontrolera portu:

— Dezaktywacja deflektora osłony po uzyskaniu potwierdzenia transmisji kodu. Przygotujcie się...

W kabinie zapadła cisza. Dowódca przygryzł wargę i uśmiechnął się nerwowo do drugiego pilota.

— Byle szybko — mruknął. — Żeby to nie trwało za długo. On nie lubi czekać.

Starali się nie patrzeć za siebie, w stronę przedziału pasażerskiego, gdzie zgodnie z regulaminem lądowania wygaszono światła. Dobiegający stamtąd odgłos mechanicznego oddechu potęgował nerwowość załogi.

W dole, w sterowni Gwiazdy Śmierci, wzdłuż pulpity sterowniczych poruszali się sprawnie operatorzy. Kontrolowali cały ruch w tym obszarze, otwierali korytarze przelotowe, kierowali jednostki do odpowiednich rejonów. Kontroler pola spojrzął nagle przerażony na swój monitor. Ekran ukazywał Stację Bojową, Endor i sieć energii — pole deflektora — rozciągające się z zielonego księżyca, by objąć Gwiazdę Śmierci. Teraz jednak sieć ochronna otwierała się, tworząc tunel. A tunelem płynął niczym nie powstrzymany czarny punkcik imperialnego promu.

Kontroler pola natychmiast wezwał dowódcę. Nie wiedział, jak powinien reagować,

— O co chodzi?

— Ten prom ma pierwszy stopień priorytetu — kontroler starał się, by w jego głosie brzmiało raczej niedowierzenie, niż strach.

Oficer tylko raz spojrzął na ekran. Od razu zrozumiał, kto jest pasażerem.

— Vader! — szepnął do siebie. Przeszedł do iluminatora, skąd mógł obserwować końcowe manewry lądującej jednostki,

— Zawiadom komendanta, że przybył prom Lorda Vadera.

Stateczek przysiadł miękko. Wobec ogromu hali lądowiska wydawał się całkiem maleńki. Setki żołnierzy stanęły w szyku, otaczając podstawę rampy wejściowej: szturmowcy w białych pancerzach, oficerowie w szarych mundurach i elitarna Gwardia Imperialna w czerwonych

kostiumach. Stanęli na baczność, gdy wkroczył Moff Jerjerrod — wysoki, szczupły i arogancki dowódca Gwiazdy Śmierci. Bez pośpiechu przeszedł wzdłuż szeregów żołnierzy aż do rampy promu.

Jerjerrod nie uznawał pośpiechu, gdyż pośpiech sugerował, że chciałby się znaleźć gdzie indziej. A przecież był człowiekiem, który trafił dokładnie tam, gdzie chciał. Wielcy ludzie nigdy się nie spieszą, jak często mawiał. Wielcy ludzie zmuszają do pośpiechu innych.

Ambicja nie odebrała mu jednak rozsądku. Nie mógł lekceważyć wizyty kogoś takiego, jak ten wielki Czarny-Lord. Stał więc obok promu i czekał — z szacunkiem, lecz bez nadgorliwości.

Właz opadł nagle, a żołnierze wyprężyli się jeszcze bardziej. Z początku w otworze widzieli jedynie ciemność, potem stopnie. Usłyszeli charakterystyczny oddech, niby tchnienie maszyny. Wreszcie z pustki wyszedł Darth Vader, Lord Sith.

Zszedł rampą, spoglądając na zgromadzone wojsko. Zatrzymał się obok Jerjerroda, który z uśmiechem skłonił głowę.

— To niespodzianka i przyjemność, Lordzie Vader. Pańska obecność jest dla nas zaszczytem.

— Darujmy sobie uprzejmości, komendancie

— zdawało się, że głos Vadera dobiega z dna studni.

— Imperator martwi się wolnym postępowaniem budowy. Przyleciałem, by dopilnować realizacji planu.

Jerjerrod zbladł. Nie takiego powitania się spodziewał.

— Zapewniam, Lordzie Vader, że moi ludzie pracują najszybciej, jak mogą.

— Może zdołam skłonić ich do przyspieszenia tempa. Znam sposoby, które nie przyszyby panu do głowy — warknął przybysz. Oczywiście, miał swoje sposoby; był z tego znany. Wiele, bardzo wiele sposobów.

Jerjerrod mówił spokojnie, choć gdzieś z głębi duszy upiór strachu torował sobie drogę do jego gardła.

— To nie będzie konieczne, panie. Stacja zostanie ukończona zgodnie z planem. Nie ma żadnych wątpliwości.

— Obawiam się, że Imperator nie podziela pańskiego optymizmu.

— Lękam się, że żąda rzeczy niemożliwych — odparł komendant.

— Może więc sam mu pan to wyjaśni, gdy przybędzie — twarz Vadera była niewidoczna pod czarną maską ochronną, lecz w modyfikowanym elektronicznie głosie wyraźnie zabrzmiała groźba.

Jerjerrod zbladł jeszcze bardziej.

— Imperator chce tu przylecieć?

— Owszem, komendancie. I nie będzie zachwycony opóźnieniem realizacji planu — gość mówił głośno, by usłyszało go jak najwięcej ludzi.

— Zdwoimy wysiłki, Lordzie Vader.

Jerjerrod nie przesadzał. Przecież w chwilach szczególnej potrzeby nawet wielkich ludzi można zachęcić do pośpiechu.

— Mam nadzieję, komendancie — Vader znowu zniżył głos. — Leży to w pańskim interesie. Imperator nie zniesie dalszego opóźniania ostatecznej likwidacji tej bezprawnej Rebelii.

Otrzymaliśmy tajne wieści

— mówił szeptem, by usłyszał wyłącznie Jerjerrod.

— Flota Rebeliantów gromadzi siły, łącząc się w jedną, gigantyczną armadę. Nadchodzi moment, gdy zgniemy ich bez litości, jednym ciosem.

Przez ułamek sekundy zdawało się, że jego oddech przyspieszył, lecz zaraz wrócił do dawnego rytmu, wydobywając się spod maski niby podmuch lekkiego wiatru.

I

Na zewnątrz chatki z suszonej w słońcu cegły burza piaskowa wyła jak bestia, która nie może skończyć. Przytłumiony jęk dobiegał do wnętrza.

Wśród murów było chłodniej, ciszej i ciemniej. Tam wyła bestia burzy, tu zaś, w królestwie cieni i nieostrych konturów, pracowała okryta opończę postać.

Opalone dłonie trzymające złożone instrumenty wysuwały się z rękawów przypominającej kaftan szaty. Postać przykucnęła na ziemi. Obok leżało niezwykle, dyskokształtne urządzenie. Z

jednej strony sterczały pęki przewodów, z drugiej, na płaskiej powierzchni, wryto jakieś symbole. Człowiek przymocował przewody do gładkiego, cylindrycznego uchwytu, przeciągnął przez biologiczne z wyglądu złącze i połączył razem za pomocą innego narzędzia. Skinął na cień w kącie, a ten potoczył się ostrożnie ku niemu.

— Wrrrr-dit duiit? — spytał nieśmiało niewielki R2, Zatrzymał się o pół metra od człowieka w opończy i jego dziwnego aparatu.

Mężczyzna skinął na robota, by zbliżył się jeszcze trochę. Erdwa Dedwa migocząc pokonał dzielącą ich odległość. Dłonie człowieka zawisły nad niewielką kopułą robota,

Drobny piach uderzał o zbocza wydm na Tatooine. Zdawało się, że wiatr wieje ze wszystkich stron równocześnie: miejscami nabiera potęgi huraganu, gdzie indziej wiruje trąbą powietrzną, by nagle bez przyczyny zamrzeć w bezruchu.

Droga wiła się przez pustynną równinę. Ulegała ciągłym zmianom — w jednej chwili zasypywał ją bruna-

tnożółty piach, w następnej wiatr wymiatał go do czysta. Migotała w rozgrzanym nad ziemią powietrzu. Była bardziej efemeryda, niż szlakiem, drogą, którą jednak należało podążać. Nie istniała inna, wiodąca do pałacu Jabby Hutta.

Jabba był najohydniejszym gangsterem w Galaktyce, zamieszany w przemyt, handel niewolnikami i morderstwa. Wszędzie miał swoich agentów. Kolekcjonował i sam wymyślał okrucieństwa, a jego dwór był miejscem nieporównywalnego zepsucia. Mówiło się, że Jabba wybrał na swą rezydencję Tatooine, gdyż miał nadzieję, że jedynie w wypalonym tyglu tej planety jego dusza nie przegnieje całkowicie — gorące słońce zapiekało ropiejące wrzody,

W każdym razie było to miejsce, o którym niewielu uczciwych ludzi wiedziało, a jeszcze mniej do niego docierało — siedlisko zła, gdzie nawet najmężniejsi drżeli przed złością ohydneho Jabby.

— Puut-wllt beDOO gang uubi Dllp — zwokalizował Erdwa Dedwa,

— Pewnie, że się martwię — odparł Ce Trzypeo. — I ty też powinienes. Biedny Lando Calrissian nigdy stąd nie powrócił. Wyobrażasz sobie, co z nim zrobili?

Erdwa gwizdnął zatroskany.

Złocisty android brnął przez syпки piach wydmy, aż znieruchomiał, gdy przed nim wyłonił się nagle mroczny pałac Jabby, Erdwa wpadł niemal na niego i pospiesznie przemknął na skraj drogi.

— Uważaj, jak chodzisz, Erdwa. — Ce Trzypeo ruszył dalej, chociaż wolniej, u boku swego małego przyjaciela. — Dlaczego Chewbacca nie mógł przekazać tej wiadomości? Nie, kiedy tylko trafi się jakaś niebezpieczna misja, od razu przychodzą do nas. Nikt się nie martwi o roboty. Zastanawiam się czasem, dlaczego właściwie robimy to wszystko.

Burczał bez przerwy, pokonując ostatni odcinek zasypanej ciągle drogi. Wreszcie stanęli pod bramą pałacu — masywne, żelazne wrota wznosiły się poza zasięg wzroku Trzypeo. Były elementem ciągu kamiennych i żelaznych konstrukcji tworzących kilka ogromnych, cylindrycznych wież, wieńczących górę ubitego piachu.

Roboty rozglądały się niepewnie, szukając oznak życia, kogoś, kto by wyszedł im na spotkanie, albo urządzenia sygnalizacyjnego, którym obwieściliby swoją obecność. Ponieważ nie znalazły niczego, co można by zaliczyć do jednej z tych trzech kategorii, Ce Trzypeo zebrał się na odwagę (tę funkcję zaprogramowano mu już dawno), trzy razy delikatnie zastukał w metal wrót i odwrócił się natychmiast.

— Chyba nikogo nie ma — poinformował przyjaciela. — Wracajmy. Powiemy o tym panu Luke.

Wtedy właśnie w samym środku płaszczyzny bramy otworzyła się niewielka klapka, wypuszczając pajęczce, mechaniczne ramię, zwieńczone elektronicznym okiem, Oko spojrzało na nich badawczo. Potem prze-mówiło,

— Tee chuta hhat yudd!

Trzypeo stał dumnie wyprostowany, mimo lekkiego drżenia obwodów. Popatrzył prosto w oko, wskazał na Erdwa Dedwa i na siebie.

— Erdwa Dedwawha bo Cetrzypeosha ey toota odd mischka Jabba du Hutt.

Oko uważnie zlustrowało oba roboty, po czym zniknęło. Trzasnęła zamykana klapka.

— Buu-dllp gaNUUg — szepnął zatroskany Erdwa. Trzypeo skinął głową.

— Nie sądzę, by nas wpuścili. Lepiej chodźmy. Odwrócił się, a Erdwa zahuczał pełnym wahania czwórdźwiękiem.

Nagle rozległ się przeraźliwy, głośny zgrzyt i żelazna brama wolno ruszyła w górę. Roboty spojrzały niepewnie. Przed nimi ziała groźnie czarna jama. Czekały, bojąc się wejść i bojąc się odejść.

— Nudd chaa! — rozległ się w mroku dziwaczny głos oka,

Erdwa zabrzęczał i ruszył w ciemność. Trzypeo wahał się przez chwilę, wreszcie pobiegł za swym przysadzistym towarzyszem.

— Zaczekaj na mnie! — zawołał. A kiedy stanęli razem, dodał z wyrzutem: — Zgubisz się.

Wielkie wrota opadły z ogłuszającym hukiem, który rozbrzmiewał echem w ciemnej pustce. Dwa przerażone roboty zamarzyły na moment. Potem niepewnie postąpiły do przodu,

Natychmiast pojawili się trzej wielcy gamorrekańscy strażnicy — potężne, podobne do wieprzków *bestie*, znane ze swej nienawiści do androidów. Nie skinąwszy im nawet, popędzili oba roboty w głąb mrocznego korytarza. Gdy dotarli do pierwszego, słabo oświetlonego rozwidlenia, jeden z nich burknięciem wydał jakieś polecenie. Erdwa zapiszczał pytająco.

— Lepiej, żebyś nie wiedział — odparł bojaźliwie złocisty android. — Przekażmy szybko wiadomość od pana Luke'a i wynośmy się.

Zanim zdążył wykonać kolejny krok, z półmroku bocznego tunelu wynurzyła się inna postać: Bib Fortuna, prostacki majordomus zdegenerowanego dworu Jabby. Był wysokim, humanoidalnym stworem, którego oczy widziały tylko to, co powinny, a szata zasłaniała wszystko. Z potylicy wyrastały mu dwie grube, mackowate wypustki, zależnie od potrzeb spełniające funkcje chwytne, zmysłowe lub badawcze. Bib zarzucał je na ramiona dla ozdoby lub — gdy sytuacja wymagała zachowania równowagi — zwieszał z tyłu niby podwójny ogon. Stał przed robotami i uśmiechnął się kwaśno.

— Die wanna wanga.

— Die wanna wanaga — odpowiedział formalnym tonem Trzypeo. — Przynosimy wiadomość dla twego pana, Jabby Hutta.

Erdwa zagwizdał *post scriptum*, na co android skinął głową i dodał:

— I prezent.

Zastanowił się, a jego oczy błysnęły.

— Prezent? Jaki prezent? — szepnął głośno. Bib z żalem pokręcił głową.

— Nee Jabba no badda. Me chaade su goodie. Wyciągnął dłoń do Erdwa Dedwa. Mały robot cofnął się z lękiem.

— bDuuu II NGrrrrr Op dbuuDllop! — zaprotestował.

— Erdwa, daj mu to — nalegał Trzypeo. Doprawdy, pomyślał, ten Erdwa zachowuje się czasem tak dwoiście...

Jednak Erdwa wyraźnie się zbuntował. Buczał i gwizdał na Trzypeo i Fortunę, jakby obaj mieli wykasowane programy,

Wreszcie android kiwnął głową, niezbyt zachwycony reakcją przyjaciela. Skłonił się przepaszająco. — Twierdzi, że nasz pan polecił przekazać prezent wyłącznie Jabbie, osobiście — Bib zastanawiał się, a Trzypeo wyjaśniał dalej: — Bardzo mi przykro. Niestety, jest w tych sprawach wyjątkowo uparty — jego ton wyrażał dezaprobatę, a jednocześnie pobłażanie wobec małego towarzysza.

Bib skinął ręką.

— Nudd chaa.

Ruszył w ciemność. Roboty szły tuż za nim, a trójka gamorrekańskich strażników zamykała pochód. Ce Trzypeo pochylił się nad niską jednostką R2.

— Wiesz, mam złe przeczucia — szepnął.

Ce Trzypeo i Erdwa Dedwa stali u wejścia do sali tronowej,

— Jesteśmy zgubieni — szepnął złocisty android, po raz tysięczny żałując, że nie może zamknąć oczu.

W ogromnej hali tłoczyły się wszelkie męty Galaktyki, groteskowe stwory z zapadłych systemów, oszołomione mocnym trunkiem i własnymi wyziewami. Gamorreanie, zmutowani ludzie, Jawowie — wszyscy tarzali się w prymitywnych rozkoszach lub chełpili przestępczymi dokonaniem. A u szczytu sali, na podwyższeniu, przyglądając się tej rozpuście leżał Jabba Hutt.

Głowę miał trzy, może czterokrotnie większą od ludzkiej, żółte, gadzie oczy i węzową skórę, pokrytą warstewką tłuszczu. Nie miał szyi, za to ciąg podbródków, przechodzących w wielkie, nabrzmiące cielsko, wypasione do granic wytrzymałości kradzionymi kaskami. Karłowate, niemal

bezużyteczne ramiona wyrastały z torsu, a lepkie palce prawej dłoni ścisnęły ustnik nargili. Włosy powypadały mu w wyniku najrozmaitszych zakażeń. Nie miał nóg — tułów zwęzał się stopniowo w długi, gruby ogon, podobny do wałka drożdżowego ciasta i sięgający do krawędzi podwyższenia, pełniącego rolę tronu. Szerokie, pozbawione warg usta sięgały prawie uszu; ślina się bez przerwy. Był zdecydowanie obrzydliwy.

Obok, przykuta za szyję, siedziała smutna tancerka, przedstawicielka rasy Fortuny. Dwie smukłe macki zwisały z jej karku, opadając na nagie, umięśnione plecy. Miała na imię Oola. Z nieszczęśliwą miną odsunęła się na sam skraj podium, jak najdalej od Jabby.

Tuż obok brzucha Jabby przycupnęło niewielkie, podobne do małpy stworzonko zwane Lubieżnym Okruczem. Chwytało wszelkie pożywienie i płyny, spadające z palców i spływające z ust jego pana, by je połykać z przyprawiającym o mdłości chichotem,

Padające z góry promienie słońca oświetlały częściowo pijanych dworaków, których w drodze do podium wymijał Bib Fortuna, Sala zbudowana była z nie kończącego się ciągu niszy i gabinetów, więc większość z tego, co się działo, było tylko cieniem i wrażeniem ruchu, Majordomus stanął przed swym zaślinionym władcą, pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Oczy Jabby zmieniły się w szparki... Z maniakalnym chichotem skinął dwóm robotom, by podeszły bliżej.

— Bo shuda — wychrypiał i zakaszłał. Znał kilka języków, uważał jednak za punkt honoru, by mówić wyłącznie po huttańsku. Był to jego jedyny punkt honoru.

Drżące roboty zbliżyły się do władcy, choć naruszało to ich najgłębiej wprogramowaną wrażliwość.

— Wiadomość, Erdwa! — przynaglał Trzypeo.

— Wiadomość! Erdwa świsnął krótko, a z kopuły błysnął promień światła, generujący hologram Luke'a Skywalkera. Obraz rósł szybko, aż młody Jedi osiągnął ponad trzy metry wzrostu, wznosząc się nad zebraniem motłochem. Gwar ucichł natychmiast,

— Bądź pozdrowiony, dostojny — odezwał się hologram. — Pozwól, że się przedstawię. Jestem Luke Skywalker, Rycerz Jedi i przyjaciel kapitana Solo. Pragnę uzyskać audiencję u Waszej Wysokości, by wykupić jego życie.

Cała sala ryknęła śmiechem. Jabba uciszył gwar jednym ruchem ręki. Luke mówił dalej,

— Wiem, że jesteś wielki i wspaniały, Jabbo. Równie wielki jest twój gniew na Solo, Jestem jednak pewien, że wypracujemy obopólnie korzystne porozumienie. Jako dowód mej dobrej woli przesyłam ci dar: te dwa roboty.

Trzypeo podskoczył jak porażony.

— Co? Co on powiedział?

— Są pracowite i będą ci dobrze służyć — zakończył Luke i hologram zniknął. Trzypeo z rozpaczą potrząsnął głową.

— Nie, to niemożliwe. Erdwa, musiałeś odtworzyć inną wiadomość. Jabba pluł i rechotał.

— Targ zamiast walki? — zdziwił się Bib. — Żaden z niego Jedi, Jabba przytaknął.

— Nie będzie żadnych targów — wychrypiał w stronę Trzypeo. — Nie mam zamiaru rezygnować ze swojej ulubionej rzeźby.

Chichocząc złośliwie wskazał słabo oświetloną niszę obok tronu. Na ścianie wisiała karbonadyzowana postać Hana Solo. Twarz i ręce wynurzały się z zimnej, twardej płyty, jakby posąg sięgał nad powierzchnię kamiennego morza.

Erdwa i Trzypeo maszerowali smętnie wilgotnym korytarzem, popędzani przez gamorreńskiego strażnika. Przeraźliwe krzyki bólu dobiegały zza drzwi cel, odbijały się echem od kamiennych murów i cichły w głębi nieskończonych katakumb. Od czasu do czasu jakaś ręka, szpon czy macka sięgała przez kraty, próbując pochwycić nieszczęsne roboty,

Erdwa popiskiwał żałośnie. Trzypeo kręcił tylko głową.

— Co mogło opętać pana Luke'a? Nigdy nie wyrażał niezadowolenia z mojej pracy...

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się samoczynnie i Gamorreanin wepchnął ich do wnętrza. Natychmiast w ich uszy uderzyły ogłuszające, mechaniczne hałasy: zgrzyt kół, stuk tłoków, szum wody, warkot

silników. Kłęby pary ograniczały widoczność. Trafili do ciepłowni albo do zaprogramowanego piekła.

Straszliwy elektroniczny wrzask, niby odgłos nie dopasowanych kół zębatych, ściągnął ich uwagę w róg pomieszczenia. Z mgły wyszedł EV-9D9, człekokształtny robot o niepokojąco

ludzkich odruchach. Trzypeo dostrzegł, jak w głębi, na łożu tortur, wrywają androidowi nogi, innemu zaś, wiszącemu głową w dół, przykładają do stóp czerwoną od żaru żelazną sztabę. On właśnie wyemitował przed chwilą elektroniczny krzyk, gdy obwody sensorów w metalowej powłoce zaczęły topnieć w bólu, Złocisty android zadrżał, a jego własne układy współczująco trzaskały ładunkiem elektrostatycznym.

Dziewięćdziewięć zatrzymała się przed Trzypeo i serdecznie rozłożyła chwytники ramion.

— Nowe nabytki — stwierdziła z głębokim zadowoleniem, — Jestem Eva

Dziewięćdziewięć, szef działań cyborgów. A ty jesteś androidem protokolarnym, Zgadza się?

— Jestem Ce Trzypeo, ludzki cyborg od...

— Wystarczy tak albo nie — przerwała chłodno Dziewięćdziewięć.

— Więc tak — odparł. Będą problemy z tym robotem, pomyślał. To jeden z tych, co wiecznie próbują udowodnić, że są bardziej androidalne od rozmówcy.

— Ile znasz języków?

Trzypeo uznał, że także potrafi jej czymś zaimponować. Odtworzył najbardziej oficjalną taśmę prezentacyjną.

— Używam płynnie ponad sześciu milionów metod komunikacji i potrafię...

— Znakomicie — stwierdziła radośnie Dziewięćdziewięć. — Brakuje nam tłumacza, odkąd nasz pan zdenerwował się jakąś wypowiedzią poprzedniego androida protokolarnego i zdezintegrował go.

— Zdezintegrował! — jęknął Trzypeo, Całkiem zapomniał o protokole.

— Ten się przyda — oznajmiła Dziewięćdziewięć świńskiemu strażnikowi, który pojawił się nie wiadomo skąd. — Dopasujcie mu sworzeń ogranicznika i zabierzcie do sali audiencyjnej.

Strażnik burknął coś i pchnął Trzypeo ku drzwiom.

— Erdwa, nie opuszczaj mnie! — krzyknął android, ale Gamorreanin chwycił go i odciągnął. Zniknęli,

Erdwa wydał z siebie długi, żalony pisk. Potem zwrócił się do Dziewięćdziewięć i przez chwilę buczał gniewnie.

Dziewięćdziewięć roześmiała się.

— Bezcelny jesteś, ale już wkrótce nauczysz się szacunku, Mam dla ciebie miejsce na Żaglowej Barce naszego pana. Ostatnio zniknęło parę astrodroidów. Pewnie rozkradli je na części zamienne. Nadasz się na ich miejsce.

Robot na łożu tortur wyemitował głośny jęk wysokiej częstotliwości, zaiskrzył i ucichł.

Dwór Jabby Hutta popadł w złośliwą ekstazę. Oola — piękna, przykuta do władcy istota — tańczyła na środku sali, a pijane monstra wrzeszczały i tupwały. Trzypeo stał czujnie za tronem, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Co chwila musiał odskakiwać przed jakimś ciśniętym owocem lub przestępować toczące się ciało. Na ogół jednak stał pochylony. Co mógł robić android protokolarny w miejscu, gdzie nikt nie przestrzegał protokołu?

Jabba patrzył pożądliwie na Oolę poprzez smugę dymu hooka. Wreszcie skinął, by siadła przy nim. Natychmiast przerwała taniec, spojrzała z lękiem i cofnęła się, kręcąc głową. Najwyraźniej nie pierwszy raz była w ten sposób zapraszana.

Jabba zirytował się. Wskazał stanowczo miejsce obok siebie na podium.

— Da eitha! — warknął.

Oola jeszcze gwałtowniej potrząsnęła głową, a jej twarz zmieniła się w maskę przerażenia.

— Na chuba negatorie. Na! Na! Natoota... Jabbę ogarnęła wściekłość. Z furią machnął ręką w stronę Ooli.

— Boscka!

Puszczając łańcuch wduśli jakiś przycisk, Nim dziewczyna zdążyła odskoczyć, ze zgrzytem opadła kłapa w podłozie i Oola runęła do lochu. Kłapa zatrzaskała się natychmiast. Nastąpiła chwila ciszy, potem niski, grzmiący ryk, przeraźliwy krzyk i znowu cisza.

Jabba rechotał, aż całkiem się zapluł. Tuzin gapiów pospieszyło do kuchni, by przez kratę obserwować śmierć pięknej tancerki.

Trzypeo pochylił się jeszcze niżej i szukając otuchy spojrzał na zastygłą postać Hana Solo, która niby płaskorzeźba zwisała nad podłogą. To był człowiek bez wyczucia protokołu, pomyślał tęsknie robot.

Nienaturalna cisza przerwała jego zamyślenie. Bib Fortuna przepychał się przez tłum, a za nim dwaj ga-morrekańscy strażnicy i groźny łowca nagród w płaszczu i hełmie. Prowadził na łańcuchu swą zdobycz: Wookiego Chewbaccę.

Trzypeo jęknął przerażony.

— Nie! To niemożliwe!

Przyszłość rysowała się w bardzo ponurych barwach.

Bib szepnął coś do ucha Jabby, wskazując łowcę nagród i jego więźnia. Hutt słuchał z uwagą. Łowca był humanoidem, niewysokim i szczupłym; jego kurtkę opasywała taśma z nabojami, a wąska szczelina w masce hełmu robiła wrażenie, że potrafi przejrzeć wszystko na wylot. Skłonił się nisko i przemówił płynnym ubańskim.

— Witaj, Wasza Wysokość. Jestem Boushh — była to ostra, gardłowa mowa, dostosowana do warunków ojczystej planety tego plemienia nomadów,

Jabba odpowiedział w tym samym języku, choć wolniej i kalecząc słowa.

— Nareszcie ktoś mi przyprowadził potężnego Chewbaccę... — chciał mówić dalej, ale zaciął się na jakimś słowie i ze śmiechem spojrzał na Trzypeo. — Gdzie mój gadadroid? — huknął. Skinął ręką na nieszczęsnego robota, a ten wystąpił z wahaniem, lecz i z godnością.

— Powitaj naszego przyjaciela — rozkazał dobrodusznie Jabba, — I spytaj o cenę tego Wookiego.

Trzypeo przetłumaczył. Boushh słuchał uważnie, obserwując równocześnie zebrane na sali dzikie stwory, szukając możliwych dróg odwrotu, słabych punktów. Długą chwilę patrzył na stojącego obok drzwi Bobę Fetta — najemnika, który schwytał Hana Solo.

Przybysz ogarnął wszystko jednym, szybkim spojrzeniem, po czym spokojnie odpowiedział:

— Wezmę pięćdziesiąt tysięcy, ani tysiąca mniej. Trzypeo przetłumaczył, a Jabba zirytował się natychmiast i jednym ciosem grubego ogona zrzucił androida z podium. Trzypeo runął z brzękiem i przez chwilę leżał nieruchomo. Nie wiedział, co w takich sytuacjach nakazuje protokół.

Jabba wykrzykiwał coś gardłowym huttańskim, Boushh przesunął broń w wygodniejsze miejsce, a robot z westchnieniem wspiął się na podwyższenie, opanował z wysiłkiem i przetłumaczył, choć bez przesadnej dokładności.

— Może zapłacić najwyżej dwadzieścia pięć tysięcy. ...

Jabba skinął na dwóch świńskich strażników, by odprowadzili Chewbaccę. Para Jawów zbliżyła się do Boushha, Boba Fett także podniósł broń.

— Powiedz mu: dwadzieścia pięć tysięcy plus jego życie — dodał Hutt.

Trzypeo przetłumaczył. W sali zapadła pełna napięcia cisza.

— Powiedz tej nadętej górze śmiecia — rzucił wreszcie Boushh, niezbyt głośno — że powinien podwyższyć ofertę. W przeciwnym razie będą wykrobywać jego cuchnącą skórę ze wszystkich kątów tej sali. Trzymam w ręku detonator termiczny.

Trzypeo dostrzegł nagle niewielką, srebrzystą kulkę, zasłoniętą częściowo palcami Boushha, Słyszał, jak buczy, cicho i groźnie. Spojrzał nerwowo na Jabbę, potem znów na Boushha.

— No! — warknął Hutt. — Co powiedział? Trzypeo odchrząknął.

— Wasza wspaniałość, on.., tego.., on...

— Wykrztuś wreszcie! — ryknął Jabba.

— Oj! — przeraził się robot. Przygotowany na najgorsze, przemówił w doskonałym huttańskim. — Boushh z całym szacunkiem pozwolił sobie nie zgodzić się z waszą emocjonalnością. Prosi o ponowne rozważenie kwoty... inaczej zwolni termiczny detonator, który trzyma w ręku.

W sali zapanowało nerwowe poruszenie, Wszyscy cofnęli się, jakby te kilka kroków robiło jakąkolwiek różnicę. Jabba patrzył na srebrną kulę w zaciśniętych palcach łowcy. Zaczynała lśnić. Cały tłum zamarł w napięciu.

Przez kilka długich sekund Jabba wbijał w łowcę wrogie spojrzenie. Potem, z wolna, jego szerokie usta wykrzywił uśmiech satysfakcji. Z bezdennej otchłani brzucha podniósł się rechot, niby pęcherz gazu na bagnach.

— Lubię takich drani, jak ten łowca. Nieustraszony i pomysłowy. Zgadzam się na trzydzieści pięć, nie więcej. I niech nie kusi swojego losu.

Trzypeo z ulgą powitał zwrot sytuacji. Przetłumaczył. Wszyscy obserwowali czujnie, jak zareaguje Boushh, Broń trzymano w pogotowiu,

Wtedy łowca zwolnił przełącznik. Detonator zamarł,

— Zeebuss — skinął głową.

— Zgadza się — oznajmił robot, Tłum krzyknął z radości, a Jabba rozluźnił się wyraźnie.

— Weź udział w naszych uroczystościach, przyjacielu — zaprosił. — Może znajdę dla ciebie jakieś zajęcie.

Android przełożył, a goście Jabby wrócili do swych odrażających zabaw.

Chewbacca warknął pod nosem, idąc za Gamorreanami. Mógłby skrócić im karki choćby za to, że są tacy paskudni, albo żeby przypomnieć wszystkim, że Wookiee zawsze są groźni. Jednak tuż przy drzwiach dostrzegł znajomą twarz. Ukryty za półmaską górskiego dzika, w mundurze gwardzisty stał Lando Calrissian. Chewbacca nie zdradził się, że go poznaje; nie opierał się też, gdy strażnik prowadził go do celi,

Lando kilka miesięcy temu dostał się do tego gniazda węży, by sprawdzić, czy zdoła uwolnić Solo. Uczynił to z kilku powodów.

Przede wszystkim czuł — i słusznie — że to z jego winy Han znalazł się w trudnej sytuacji. Chciał naprawić szkody — oczywiście pod warunkiem, że zdoła to zrobić bez zbędnego ryzyka. Wtopienie się w tłum, jako jeden z piratów, nie stanowiło problemu — udawanie było stylem życia Lando.

Po drugie, chciałby dołączyć do kumpli Hana w dowództwie Powstańczego Sprzymierzenia. Zamierzali zwyciężyć Imperium, a w tej chwili niczego bardziej nie pragnął. Imperialna policja o jeden raz za dużo przeszkodziła mu w działaniu i teraz Lando czuł do niej głęboką urazę. Poza tym chciałby stać się częścią grupy Solo — ci ludzie maczali palce we wszystkich akcjach przeciw Imperium,

Po trzecie, księżniczka Leia prosiła o pomoc, a on nie potrafił odmawiać księżniczkom proszącym o pomoc, Zresztą, nigdy nie wiadomo, jak zechce się odwdziżyć.

Wreszcie, Lando postawiłby cały majątek na to, że Solo nie uda się uratować z tego miejsca. Nie umiał się oprzeć wyzwaniu.

Żył więc w pałacu i obserwował. Obserwował i obliczał. Jak w tej właśnie chwili, gdy odprowadzano Chewiego. Przyjrzał się temu uważnie, by po chwili zniknąć wśród murów,

Zaczęła grać orkiestra niebieskiego, kłapouchego wyjąca imieniem Max Rebo. Tancerze wyszli na scenę. Dworacy wrzeszczeli i jeszcze bardziej zatruwali własne mózgi.

Wsparty o kolumnę Boushh rozglądał się obojętnie. Omiatał wzrokiem cały dwór, tancerzy, palaczy, zapaśników, graczy,, aż napotkał równie nieruchome spojrzenie z przeciwnego końca sali. Boba Fett obserwował go.

Boushh zmienił pozycję i stanął trzymając miotacz niby ukochane dziecko. Boba Fett nawet nie drgnął, choć jego pogardliwy uśmiech można było dostrzec nawet pod stalową maską.

Świńscy strażnicy prowadzili Chewbaccę mrocznym, podziemnym korytarzem. Jakaś macka wysunęła się zza drzwi i sięgnęła do zadumanego Wookiego.

— Rreeaaahhr! — ryknął, a macka odskoczyła i z powrotem skryła się w celi.

Następne drzwi stały otworem. Zanim Chewie w pełni zrozumiał, co się dzieje, strażnicy z całej siły pchnęli go do środka. Trzasnęły drzwi, zamykające go w ciemności.

Podniósł głowę i wydał żalosne wycie, które przez górę żelaza i piasku wleciało aż do nieskończonego cierpliwego nieba.

Sala tronowa była pusta i ciemna, gdy noc wpełzła w jej brudne zakamarki. Krew, wino i ślina plamiły podłogę, z haków zwisały strzępy ubrań, a nieprzytomne ciała zalegały pod strzaskanymi meblami. Bankiet dobiegł końca.

Jakaś ciemna postać przesuwiała się wśród cieni, zatrzymując się co chwila za kolumną czy posągiem. Dyskretnie przekradała się pod ścianami. Przeszła chrapiącego Yaka Face'a. Poruszała się bezszelestnie.

Tą postacią był Boushh, łowca nagród.

Dotarł do osłoniętej niszy, gdzie podtrzymywana siłowym polem wisiała płyta, która była kiedyś Hanem Solo, Boushh rozejrzał się czujnie, po czym pstryknął wyłącznikiem umieszczonym na ścianie węglowej trumny. Buczenie pola ucichło i płyta z wolna opadła na podłogę,

Boushh odstał i spojrzał na zamrożoną twarz kosmicznego pirata. Dotknął karbonadyzowanego policzka — ostrożnie, jakby był to rzadki, szlachetny kamień. Zimny i twardy jak diament.

Przez chwilę studiował rząd przełączników na bocznej ścianie płyty, potem wcisnął kilka. Wreszcie, spojrzawszy jeszcze raz na żywy posąg, przesunął dźwignię dekarbonadyzacji,

Płyta wyemitowała wysoki pisk. Boushh rozejrzał się nerwowo, sprawdzając, czy na pewno nikt go nie usłyszał. Twarda skorupa, która kryła zarys twarzy

Solo, topniała z wolna. Wkrótce zniknęła cała przednia pokrywa, a wzniesione ręce, od tak dawna zamrożone w geście protestu, opadły bezwładnie. Twarz przypominała teraz śmiertelną maskę. Boushh chwycił ciało, wyjął je z węglowej płyty i delikatnie ułożył na podłodze.

Zbliżył groźnie wyglądający hełm do ust Hana, szukając nerwowo oznak życia, Brak oddechu. Brak pulsu. Aż nagle Solo otworzył oczy i zakaszał. Boushh podtrzymał go i próbował uciszyć — przecież mógł usłyszeć jakiś strażnik.

— Cicho — szepnął. — Tylko spokojnie. Han starał się rozpoznać niewyraźną, pochyloną nad nim sylwetkę.

— Nic nie widzę... co się dzieje?

Był zdezorientowany. Sześć miesięcy spędził na tej pustynnej planecie w stanie zatrzymania procesów życiowych. Dla niego ten okres był beczasowy. Miał wrażenie, jakby przez całą wieczność usiłował nabrać tchu, poruszyć się, krzyknąć; każda chwila mijała w świadomym, bolesnym bezdechu. I teraz, niespodziewanie, runął w hałaśliwą, czarną, zimną otchłań.

Zmysły atakowały go ze wszystkich stron. Powietrze kąsało skórę tysiącami lodowych zębów; nieprzenikniona zasłona opadła na oczy; podmuchy uderzały w uszy z mocą huraganu. Nie wiedział, gdzie jest góra, gdzie dół; miliony zapachów przyprawiały go o mdłości; nie potrafił powstrzymać ślinotoku, bolały go wszystkie kości... a potem pojawiły się wizje.

Wizje dzieciństwa, ostatniego śniadania, dwudziestu siedmiu napadów na statki... jak gdyby ktoś wtłoczył wszystkie wspomnienia do balonu, który pękł, a one rozsypały się i bezładnie trafiały z powrotem, To

przytłaczało, powodując przeciążenie zmysłów, a raczej przeciążenie pamięci. Ludzie wpadali w obłąd podczas pierwszych minut po dekarbonadyzacji. Beznadziejni, skończeni szaleńcy, nigdy już nie potrafili sensownie i wybiórczo uporządkować dziesięciu miliardów obrazów składających się na życie ludzkie,

Solo był bardziej odporny. Płynął na fali wrażeń, aż opadła, zatopiła masę wspomnień, pozostawiając na powierzchni jedynie najświeższe: zdradę Lando Calrissiana, którego nazywał kiedyś przyjacielem; rozpadający się statek; ostatnie spotkanie z Leia; schwytanie przez Bobę Fetta, łowcę nagród w żelaznej masce, który...

Gdzie jest? Co się wydarzyło? Ostatnim wspomnieniem był Boba Fett, patrzący spokojnie, jak Han zmienia się w karbonadową bryłę. Czy to Fett roztopił go, by nadal dręczyć? Słyszał w uszach ryk wichru; oddech był nieregularny, jakby obcy. Pomachał ręką przed twarzą.

Boushh próbował go uspokoić.

— Uwolniłeś się z karbonadu i cierpisz na chorobę hibernacyjną. Wzrok odzyskasz za jakiś czas. Chodź, trzeba się spieszyć, jeśli chcemy uciec z tego miejsca.

Han odruchowo dotknął łowcy, trafił na okratowaną maskę hełmu i cofnął rękę.

— Nigdzie nie idę. Nie wiem nawet, gdzie jestem. — Pocił się intensywnie, serce znowu pompowało krew, a umysł szukał odpowiedzi. — Kim ty w ogóle jesteś? — zapytał podejrzliwie. Może to jednak Boba Fett?

Łowca zdjął hełm. Pod maską kryła się piękna twarz księżniczki Lei.

— Kimś, kto cię kocha — szepnęła. Delikatnie ujęła jego twarz w okryte rękawicami dłonie i mocno ucałowała w usta.

II

Han usiłował ją dojrzeć, jednak wciąż miał oczy noworodka.

— Leia! Gdzie jesteśmy?

— W pałacu Jabby. Usiadł niepewnie.

— Widzę tylko mętne plamy. Nie bardzo mogę ci pomóc,

Spojrzała na niego — na swoją niewidomą miłość. Przebyła lata świetlne, by go odnaleźć, ryzykowała życie, traciła bezcenny czas, tak potrzebny Powstaniu, którego nie wolno jej było marnować na przedsięwzięcia osobiste... ale przecież kochała go.

— Uda się nam — szepnęła ze łzami w oczach.

Pod wpływem impulsu objęła go i pocałowała znowu. Han także poczuł nagły przyptyw emocji — powrócił z martwych, trzymał w ramionach piękną księżniczkę, która wyrwała go z otchłani nicości. Był oszołomiony. Nie potrafił się poruszyć, nie mógł nawet mówić. Tulił ją tylko mocno,

zamykając niewidzące oczy, by odgrodzić się od wszystkich nikczemności, które zaatakują aż nazbyt szybko.

A nawet szybciej, jak się okazało. Nagle zabrzmiał przeraźliwy gwizd. Han wyteżył wzrok, ale nadal był ślepy. Leia spojrzała w stronę niszy za plecami i w jej oczach błysnęło przerażenie. Odsunięto bowiem zasłonę, a całą wnękę, od podłogi po sufit, wypełniały najbardziej odrażające stwory dworu Jabby, gapiące się, zaślinione i zasapane.

Leia zakryła dłonią usta.

— Co się dzieje? — chciał wiedzieć Han. Najwyraźniej stało się coś bardzo niedobrego. Wyteżał wzrok, wbijał w ciemność.

Złośliwy chichot zabrzmiał w głębi niszy. Huttański chichot.

Han spuścił głowę i zamknął oczy, jakby chciał na chwilę odsunąć nieuniknione.

— Znam ten śmiech,

Zasłona w głębi odpłynęła nagle. Za nią siedział Jabba, Ishi Tib, Bib, Boba i kilku strażników. Wszyscy się śmiali, ryczeli ze śmiechu. To miał być element kary.

— No, no... cóż za wzruszający obrazek — mruczał Jabba. — Han, mój chłopcze, widzę, że poprawił ci się gust, chociaż szczęście niestety nie.

Nawet w tej sytuacji Solo posługiwał się gładkimi słówkami z większą łatwością, niż pieprzoad.

— Posłuchaj, Jabba, leciałem, żeby ci zapłacić. Musiałem trochę zboczyć. Wiem, że mieliśmy drobne nieporozumienia, ale z pewnością jakoś się dogadamy...

Tym razem Jabba zaśmiał się szczerze,

— Za późno, Solo. Byłeś najlepszym przemytnikiem w okolicy, ale teraz jesteś tylko żarciem dla banthów

— spoważniał i skinął na strażę. — Zabierzcie go.

Żołnierze pochwycili Leię i Hana. Odciągnęli kore-لياńskiego kapitana na bok, księżniczka tymczasem broniła się i wyrywała.

— Później pomyślę, w jaki sposób ma umrzeć — mruknął Hutt.

— Zapłacę potrójnie! — wołał Solo. — Jabba, odrzucasz fortunę. Nie bądź durniem...

Zniknął za drzwiami.

Spośród strażników wysunął się szybko Lando, chwycił Leię za ramię i usiłował wyprowadzić.

— Czekaj! — zatrzymał ich Jabba. — Daj ją tutaj! Lando i Leia stanęli nieruchomo. Calrissian napiął mięśnie, lecz nie wiedział, jak się powinien zachować. Czas działania jeszcze nie nadszedł. Stosunek sił wciąż był dla niego niekorzystny. Czuł, że gra tu rolę asa w rękawie, a nie każdy umiał rozegrać takiego asa.

— Poradzę sobie — szepnęła Leia.

— Nie jestem przekonany — odparł. Lecz chwila minęła i teraz w niczym już nie mógł jej pomóc. Razem z Ishi Tibem, ptakogadem, zaciągnęli księżniczkę do Jabby.

Trzypeo obserwował wszystko ze swego miejsca za plecami Hutta, ale nie mógł dłużej patrzeć. Odwrócił się przerażony.

Leia za to stała dumnie wyprostowana przed odrażającym władcą. Dygotała z wściekłości. W Galaktyce wrzała wojna, a ona została schwyta na tej kuli piachu przez jakiegoś drobnego złodziejzka... to więcej, niż mogła znieść. Mimo to mówiła spokojnie; była w końcu księżniczką.

— Mamy potężnych przyjaciół, Jabbo. Pożałujesz tego...

— Na pewno, na pewno! — huknął z uciechą stary gangster, — Ale tymczasem będę się rozkoszował twoim towarzystwem.

Przyciągnął ją gwałtownie, aż ich twarze dzieliło najwyżej kilka centymetrów. Brzuch Lei dotykał śliskiej skóry Hutta. Pomyślała, że zabije go, tu i teraz. Powstrzymała się jednak. Te szczury mogą zabić ją także, zanim zdoła uciec z Hanem. Z pewnością trafi się jeszcze lepsza sposobność. Na razie musiała jakoś znieść tę bekę tłuszczu.

Trzypeo rzucił okiem i odwrócił się natychmiast.

— Nie! Nie mogę na to patrzeć!

Jabba, ta wstrętna bestia, wystawił tłusty, ociekający śliną jęzor i wycisnął gwałtowny pocałunek na ustach księżniczki.

Cisnęli go do lochu; trzasnęły drzwi. Upadł na podłogę, potem pozbierał się jakoś i usiadł pod ścianą. Przez chwilę walił pięścią o ziemię, potem, trochę spokojniejszy, spróbował zebrać myśli,

Ciemność. Do licha, ślepotą to ślepotą. Nie ma co marzyć o rosie na meteorycie. Tyle że to irytujące. Został przywrócony życiu przez jedyną osobę, która...

Leia! Żołądek kapitana zacisnął się nagle na myśl o tym, co musi teraz przeżywać. Gdyby chociaż wiedział, gdzie się znajduje. Ostrożnie zastukał w ścianę... lita skała.

Co może zrobić? Może się potarguje? Ale co mógłby zaoferować? Głupie pytanie, pomyślał. Czy miał kiedy cokolwiek, czym mógłby teraz handlować?

Pieniądze? Jabba miał więcej, niż mógł wydać. Przyjemności? Nic nie sprawi mu większej rozkoszy, niż zbrukanie księżniczki i zabicie Solo. Nie, sprawy wyglądają fatalnie... właściwie trudno sobie wyobrazić, by sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Wtedy usłyszał warknięcie: głuchy, przenikliwy warkot wśród gęstej czerni. Dobiegał z przeciwnego kąta celi. To musiała być jakaś potężna i wściekła bestia.

Poczuł, jak jeżą mu się włosy na skórze ramion. Wstał szybko i stanął plecami do muru,
— Chyba mam towarzystwo — mruknął.

— Groawwwwr! — ryknął szaleńczo dziki stwór, Popędził do Solo, objął go gwałtownie, podniósł do góry i uściskiem wypchnął powietrze z płuc.

Na kilka długich sekund Han znieruchomiał. Nie wierzył własnym uszom,
— To ty, Chewie?

Ogromny Wookiee szczechnął z radości.

Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny Solo poczuł się szczęśliwy. Teraz jednak było to zupełnie inne szczęście.

— Dobrze, dobrze. Poczekaj chwilę. Zgnieciesz mnie.

Chewbacca postawił przyjaciela na ziemi. Han podrapał go w pierś. Chewie pisnął jak mały szczeniak.

—Już dobrze, Co się tu dzieje? — Han natychmiast wrócił do najważniejszych kwestii. Miał niewiarygodne szczęście: spotkał kogoś, z kim może ułożyć jakiś plan. I to nie byle kogo, ale najwierniejszego przyjaciela w Galaktyce.

— Arh arhagh shpahrg hahr aurowwwrahhrah grop rahp ran — wyjaśnił szczegółowo Chewie.

— Plan Lando? A co on tutaj robi? Chewie zaszczekał wylewnie.

— Czy Luke oszalał? — potrząsnął głową Han. — Czemu go posłuchałeś? Ten dzieciak sam wymaga opieki. Jak zdoła kogokolwiek uratować?

— Rowr ahrg h awf ahraroww rohnggrgrff rf rf.

— Rycerz Jedi? Daj spokój. Wystarczy, że zniknę na chwilę, a już wszyscy ulegają złudzeniom...

Chewbacca warknął z uporem.

W ciemnościach Han z powątpiewaniem kiwnął głową.

— Uwierzę, kiedy zobaczę — oświadczył, idąc sztywno do ściany. —Jeśli wolno mi użyć takiego wyrażenia.

Żelazne wrota pałacu Jabby, konserwowane jedynie przez piasek i czas, uniosły się ze zgrzytem. Na zewnątrz, w niesionych wiatrem tumanach kurzu, patrząc w ciemną głębię bramy, stał Luke Skywalker.

Miał na sobie czarną szatę Rycerza Jedi, właściwie habit. Nie nosił jednak miotacza ani świetlnego mie

cza. Stał spokojnie, ani śladu dawnej brawury. Oceniał miejsce, do którego miał wkroczyć. Był już mężczyzną. I zmądrzał, jak mężczyzna. Postarzał się, lecz mniej z upływu lat, niż z poniesionej straty. Stracił iluzje, stracił poczucie przynależności. Na wojnie stracił przyjaciół. Zmartwienia odebrały mu sen. Stracił zdolność śmiechu. I rękę,

Lecz największa była strata wynikająca z wiedzy i z głębokiego przekonania, że nigdy nie zdoła zapomnieć o tym, czego się dowiedział. Tak wiele było rzeczy, o których wołałby nie słyszeć. Ciężar tej wiedzy dodał mu lat.

Naturalnie, wiedza przynosiła także pewne korzyści. Luke stał się mniej porywczy, dojrzałość dała mu perspektywę, ramę, do której mógł dopasować fakty swego życia — kratownicę współrzędnych przestrzennych i czasowych obejmującą całe jego istnienie, od najdawniejszych wspomnień aż do stu alternatywnych przyszłości. Kratownicę głębi, zagadek i przecięć, poprzez które potrafił spojrzeć z właściwego dystansu na dowolne zdarzenie. Kratownicę kątów i cieni,

biegnących w dal, po horyzont umysłu, A czarne otwory kraty dodawały wszystkiemu takiej perspektywy,, no cóż, w pewnym sensie kratownica okryła go mrokiem.

Niematerialnym, oczywiście. Zresztą niektórzy uważali, że ten cień pogłębił jego osobowość, do tej pory dość płaską, jednowymiarową. Chociaż takie twierdzenie pochodziłoby zapewne od steranych życiem malkontentów, dyskutujących o ciężkich czasach. Tym niemniej, w jaźni Luke'a zaistniała teraz ciemność.

Wiedza dawała też inne korzyści; poczucie rzeczywistości, świadomość wyboru. Zwłaszcza to ostatnie było obosieczną bronią.

Poza tym zyskał sprawność w korzystaniu z tych sztuk Jedi, które dotąd jedynie wyczuwał.

Stał się bardziej świadomy.

Z pewnością były to pożądane atrybuty dojrzewania;

Luke wiedział, że wszystko, co żyje, musi rosnać. Mimo to niosły za sobą pewien smutek.

Odruch żalu. No cóż, nikogo nie stać na to, by wiecznie pozostawać chłopcem.

Luke pewnym krokiem wszedł pod łukowe sklepienie bramy,

Niemal natychmiast zastąpili mu drogę dwaj Ga-morreanie.

— No chuba! — oznajmił jeden z nich głosem, który nie zachęcał do dyskusji.

Luke wyciągnął ku nim rękę. Zanim zdążyli sięgnąć po broń, obaj trzymali się już za gardła i krztusili się, ciężko dysząc. Opadli na kolana.

Luke opuścił ramię i przeszedł. Strażnicy znowu mogli oddychać, lecz leżeli bezwładnie na zasypanych piaskiem stopniach. Nie próbowali go ścigać.

Za zakrętem na spotkanie Luke'a wyszedł Bib Fortuna. Zaczął mówić, zanim jeszcze zbliżył się do młodego Jedi, ten jednak nie zwolnił kroku. Bib musiał zawrócić i biec za nim, by kontynuować rozmowę.

— Jesteś pewnie Skywalkerem. Jego wysokość przyjmie ciebie.

— Chcę rozmawiać z Jabba. Natychmiast — odparł spokojnie Luke. Na skrzyżowaniu korytarzy minęli kilku strażników, którzy ruszyli za nimi,

— Wielki Jabba śpi — wyjaśnił Bib. — Polecił ci przekazać, że nie będzie żadnych targów,,.

Luke zatrzymał się nagle i spojrzał Bibowi w oczy. Uniósł dłoń i wykonał lekki ruch.

— Zaprowadzisz mnie prosto do Jabby, Bib urwał i pochylił głowę. Jakie właściwie dostał instrukcje? A tak, już sobie przypomniał,

— Zaprowadzę cię prosto do Jabby, Odwrócił się i ruszył krętym korytarzem do sali tronowej. Luke podążał za nim poprzez mrok.

— Dobrze służyysz swojemu panu — szepnął Bibowi do ucha,

— Dobrze służyć swojemu panu — Fortuna z satysfakcją kiwnął głową.

— Na pewno otrzymasz nagrodę.

Majordomus uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Na pewno otrzymam nagrodę.

Kiedy wkroczyli do sali tronowej, gwar przycichł natychmiast, jakby obecność Luke'a wywierała na zebranych uspokajający wpływ. Wszyscy wyczuli zmianę.

Fortuna i młody Jedi podeszli do tronu. Luke dostrzegł Leię siedzącą obok Jabby, Miała na sobie skąpy kostium tancerki i łańcuch na szyi. Odbierał na odległość jej ból, ale milczał, nawet na nią nie patrzył, zatrzęsł się przed jej cierpieniem. Musiał się całkowicie skoncentrować na Jabbie.

Leia zrozumiała to od razu. Ukryła przed Luke'em swoje myśli, by go nie rozpraszać. Równocześnie jednak umysł miała otwarty, gotowy odebrać najdrobniejszy choćby sygnał, niezbędny do działania. Otwierały się nowe możliwości.

Trzypeo wyrzał zza tronu. Po raz pierwszy od wielu dni uruchomił program nadziei.

— Och! — roziskrzył się. — Nareszcie przybył pan Luke, żeby mnie stąd uwolnić! Bib stanął dumnie przed tronem Jabby.

— Panie, przedstawiam ci Luke'a Skywalkera, Rycerza Jedi.

— Mówiłem, żeby go nie wpuszczać — warknął po huttańsku wielki ślimak.

— Muszę z tobą porozmawiać — Luke powiedział cichym głosem, lecz wszyscy obecni słyszeli jego słowa.

— Musi z tobą porozmawiać — potwierdził z namysłem Bib.

Wściekły Jabba jednym ciosem w twarz powalił Fortunę na podłogę.

— Ty tępy durniu! To stara sztuczka Jedi!

—Przyprowadzisz do mnie kapitana Solo i Wookiego.

— Twoja psychiczna moc, chłopcze, nie ma na mnie wpływu — uśmiechnął się ponuro Hutt.
— Ludzki wzorzec myślowy jest mi obcy, Zabijałem takich, jak ty, gdy Jedi coś jeszcze znaczyli
— dodał po chwili.

Luke zmienił pozycję, wewnątrz i zewnątrz,

— Mimo to zabiorę stąd kapitana Solo i jego przyjaciół. Albo na tym zyskasz... albo zginiesz, Wybór należy do ciebie, ale ostrzegam przed niedocenianiem moich sił — mówił ojczystym językiem, który Jabba doskonale rozumiał.

Gangster ryknął śmiechem, jak lew, któremu grozi myszka.

Trzypeo z napięciem obserwował całą scenę. Teraz pochylił się, by szepnąć:

— Panie, stoisz na...

Strażnik pochwycił przestraszonego robota i pchnął go na miejsce za tronem.

Luke uniósł rękę. Miotacz wyskoczył z kabury najbliższego strażnika i wyładował gładko w dłoń Jedi. Ten wymierzył broń w Jabbę.

Hutt splunął.

— Boscka!

Podłoga zapadła się nagle, a Luke i strażnik runęli w przepaść. Kłapa zatrzęsła się natychmiast, a wszystkie monstra dworu Jabby zbiegły się, by popatrzeć przez kratę.

— Luke! — krzyknęła Leia. Czuła się tak, jakby wyrwano część jej ciała i ciśnięto w dół.

Chciała podbiec

do zapadni, ale powstrzymała ją obroża na szyi. Złośliwy rechot rozbrzmiewał ze wszystkich stron, drażnił nerwy. Leia przygotowała się do walki.

Strażnik-człowiek dotknął jej ramienia. Spojrzała. To był Lando. Niedostrzegalnie pokręcił głową. Lekko rozluźniła mięśnie. Wiedział, że chwila nie jest właściwa, choć rozdano odpowiednie karty. Wszyscy byli już na miejscu: Luke, Han, Leia, Chewbacca... i stary Lando, as w rękawie. Nie chciał, by Leia odkryła karty, zanim zakończą się zakłady. Stawka była zbyt wysoka.

W podziemnym lochu Luke podniósł się na nogi. Znalazł się w wielkim, podobnym do groty pomieszczeniu o ścianach z popękanych, kanciastych głazów, Na podłodze pogryzione kości niezliczonych zwierząt cuchnęły odorem zepsutego mięsa i strachu.

Osiem metrów wyżej, w stropie, tkwiła krata, przez którą zaglądali obrzydliwi dworacy Jabby.

Nagle strażnik wrzasnął z przerażenia. Z boku, w skale, powoli, ze zgrzytem otworzyły się wrota, Luke z absolutnym spokojem rozejrzał się po jaskini, zdjął szatę Jedi i pozostał tylko w krótkiej tunice, dającej większą swobodę ruchów. Cofnął się szybko pod ścianę, przykucnął i patrzył.

Z bocznego tunelu wysunął się olbrzymi rancor. Rozmiarów słonia, był trochę podobny do gada, a trochę do potwora z sennego koszmaru. Jego ogromny łeb rozcinała niesymetrycznie rozwarta paszcza, a kły i szpony były nieproporcjonalnie wielkie. Rancor był wyraźnie mutantem, dzikim jak wszystko, co sprzeczne z rozsądkiem.

Strażnik porwał z ziemi miotacz i raz po raz odpalał w potwora laserowe impulsy. Tylko go tym rozdrażnił. Rancor ruszył, groźnie szczerząc zęby.

Przerażony Gamorreanin strzelał, lecz potwór, nie zważając na błyski lasera, pochwycił strażnika, wsunął

go do paszczy i przełknął w jednym kęsie. Publiczność na górze wrzeszczała, chichotała i rzucała przez kratę różne przedmioty.

Potwór odwrócił się i ruszył w stronę Luke'a, lecz Jedi wyskoczył osiem metrów w górę i chwycił kratę w suficie. Tłum zawył z dezaprobatą. Luke przesunął się na rękach w kąt jaskini, Z trudem utrzymywał ciężar ciała, a publiczność każdy z jego wysiłków witała szyderstwami. Dłoń Jedi ześlizgnęła się ze śliskiego od smaru pręta, a on sam zawisł niepewnie nad wściekłym mutantem,

Dwaj Jawowie przebiegli przez kratę, by kolbami strzelb zmiażdżyć Luke'owi palce. Tłum znowu ryknął z radości.

Rancor wyciągnął łapy, lecz Luke wisiał poza ich zasięgiem. Nagle zwolnił uchwyt i spadł, trafiając wyjącego potwora w oko. Potem stoczył się na ziemię.

Rancor zawył z bólu, potknął się i machnął łapą przed pyskiem, by odpędzić źródło cierpienia. Kilka razy przebiegł wokół jaskini, dostrzegł swój łup i ruszył ku niemu. Luke schylił się, chwycił długą kość którejś z poprzednich ofiar i wysunął przed siebie, Widzowie z galerii za kratą uznali to za świetny dowcip i pohukiwali z uciechy.

Potwór złapał Luke'a i podniósł do zaślinionego pyska. Jednak w ostatniej chwili Jedi wbił kość między zębate szczęki. Zeskoczył na ziemię. Rancor zaczął się dławić, ryknął i pognął na oślep, trafiając głową w ścianę. Wypadło kilka głazów, powodując lawinę, która niemal pogrzebała Luke'a, skulonego w szczelinie tuż nad ziemią. Widzowie klaskali coraz głośniej.

Luke próbował uporządkować myśli. Strach jest jak chmura, mawiał kiedyś Ben. Sprawia, że chłód jest zi-mniejszy, a ciemność bardziej mroczna. Pozwól mu wznieść się, a zniknie. I Luke pozwolił, by strach

uniósł go ponad ryki szalejącej bestii. Szukał sposobu, by skierować gniew nieszczęsnego stworzenia przeciwko niemu samemu,

To nie było złe stworzenie — tyle zrozumiał od razu. Gdyby było inaczej, łatwo skierowałby swą niegodzi-wość na siebie, ponieważ czyste zło, mówił Ben, zawsze przejawia skłonności do autodestrukcji. Ale potwór nie był zły — po prostu był głupi i źle traktowany. Głodny i cierpiący atakował wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Gniew na zwierzę byłby tylko projekcją mrocznych cech umysłu Luke'a — byłby fałszywy i z pewnością nie pomógłby w tej sytuacji.

Nie, musi po prostu zachować sprawny umysł, przechytrzyć dzikie zwierzę i zakończyć jego mękę,

Najchętniej wypuściłby je na dworaków Jabby, choć to raczej niemożliwe. Potem rozważył ewentualność wskazania potworowi odpowiednich środków, by sam skrócił swe cierpienia. Niestety, rancor był zbyt rozwścieczony, by pojąć dobrodziejstwo i spokój nicości. W końcu Luke zaczął badać specyficzne cechy jaskini, pozwalając na ułożenie jakiegoś planu.

Tymczasem rancor wypchnął z paszczy kość i grzebał w stosie kamieni szukając Luke'a. Ten z kolei, choć kryjąca go ciągle sarta głazów przesłaniała widok, dostrzegł za potworem mniejszą grotę, w której był trzymany, a dalej drzwiczki dla dozorczy. Gdyby tylko zdołał tam dotrzeć...

Rancor odepchnął głaz i zauważył ukrytego w szczelinie człowieka. Chciwie wyciągnął łapę, Luke chwycił spory kamień i z całej siły walnął nim w paluch bestii. A gdy rancor odskoczył i raz jeszcze zawył z bólu, chłopiec przemknął do bocznej grotki.

Ciężka krata zablokowała drogę. W głębi dwóch dozorców jadło obiad. Kiedy Luke podbiegł, spojrzeli zdziwieni, po czym wstali i podeszli do prętów.

Wściekły rancor był coraz bliżej. Młody Jedi odwrócił się, spróbował otworzyć bramę. Dozorczy ze śmiechem kłuli go przez kraty dzidami o podwójnych ostrzach i przeżuwali swój posiłek. Bestia była tuż, tuż.

Luke przylgnął do bocznej ściany, cofając się przed drapieżnymi szponami rancora. Nagle dostrzegł pa-nel sterowania bramy, w połowie wysokości przeciwległej ściany. Potwór włączył się do mniejszej jaskini, był coraz bliżej swej ofiary. W jednej chwili Luke porwał z ziemi jakąś czaszkę i z rozmachem cisnął w tablicę kontrolną.

Trysnęły iskry, a ogromne, ciężkie, żelazne pręty runęły z góry na łeb rancora, miażdżąc go niby topór trafiający w dojrzały arbuz,

Gapie na górze jęknęli chórem i umilkli. Niespodziewany obrót wydarzeń całkiem ich oszołomił. Wszyscy patrzyli na Jabbę, który poczerwieniał z furii. Nigdy jeszcze nie był tak wściekły. Leia z trudem hamowała radość, choć nie zdołała ukryć uśmiechu, a to jeszcze bardziej rozgniewało Hutta.

— Wyciągnijcie go stamtąd — warknął. — Przeprowadźcie Solo i Wookiego. Wszyscy zostaną ukarani za tę obrazę.

W podziemnej grocie Luke nie stawiał oporu, gdy strażnicy zakuwali go w kajdany i wyprowadzali na zewnątrz.

Dozorca rancora nie kryjąc łez rzucił się na martwe ciało ulubieńca. Od tego dnia życie straciło dla niego urok.

Han i Chewie stanęli przed rozwścieczonym Jabba. Han ciągle mrużył oczy i potykał się na każdym kroku. Przerażony Trzypeo tkwił za Huttem, Jabba trzymał Leię na krótkiej smyczy i gładził jej włosy, co miało go trochę uspokoić. W sali panował gwar, gdyż dworacy usiłowali odgadnąć, co kogo czeka.

Nastąpiło małe zamieszanie, gdy kilku strażników — wśród nich Lando Calrissian — wprowadziło Luke'a. Niby falujące morze gapie rozstępowali się na boki, by zrobić im przejście. Młody Jedi stanął przed tronem i z uśmiechem szturchnął Solo w bok,

— Miło cię znowu zobaczyć, stary druhu. Han rozpromienił się. Bez przerwy trafiał tutaj na przyjaciół.

— Luke! Też się w to wpakowałeś?

— Nie darowałbym sobie — przez jedną chwilę Skywalker znowu poczuł się chłopcem,

— Jak nam idzie? — Solo uniósł brwi,

— Jak zwykle.

— No, no — mruknął pod nosem dawny przemytnik. Odprężył się całkowicie. Jak za dawnych lat... ale natychmiast zmroziła go straszna myśl.

— Gdzie Leia? Czy...

Nie odrywała od niego spojrzenia, gdy tylko wkroczył do sali, osłaniała jego ducha własnym. Gdy spytał o nią, zawołała z podium tronu Jabby:

— Nic mi nie jest! Ale nie wiem, jak długo jeszcze zdołam powstrzymać twojego zaślinionego przyjaciela!

Świadomie udawała brawurę, by uspokoić Hana. Zresztą, widok wszystkich przyjaciół zebranych razem sprawił, że poczuła się niemal niezwykła. Han, Luke, Chewie i Lando... nawet Trzypeo krył się gdzieś w pobliżu marząc, by o nim zapomniano, Leia miała ochotę roześmiać się głośno i przyłożyć Jabbie w sam nos. Z trudem się powstrzymywała, Chciałaby uściskać ich wszystkich.

Nagle Hutt krzyknął. W sali natychmiast zapadła cisza.

— Gadadroid!

Trzypeo wystąpił potulnie, skłonił się skromnie i przemówił do jeńców:

— Jego emocjonalność, wielki Jabba Hutt, skazuje was na śmierć. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

— Doskonale — oznajmił Solo, — Nie znoszę długiego oczekiwania.

— Niesłychana obraza, jakiej dopuściliście się wobec jego wysokości — kontynuował Trzypeo — wymaga najstraszniejszych męczarni...

— Nie warto zatrzymywać się w pół drogi — parsknął Solo. — Jabba potrafił być taki napuszony, zwłaszcza teraz, gdy stara Złota Sztaba przemawia zamiast niego...

Niezależnie od sytuacji, Trzypeo po prostu nienawidził, kiedy ktoś mu przerywał. Podniósł dumnie głowę i mówił dalej:

— Zostaniecie przewiezieni na Morze Wydm i tam wrzuceni do Wielkiej jamy Carkoon... Han wzruszył ramionami.

— Brzmi to obiecująco — mruknął do Luke'a, Robot zignorował tę uwagę.

— ...schronienia wszechmocnego Sarlacc'a. W jego żołądku odkryjecie nową definicję bólu i cierpienia, trawieni wolno przez tysiąc lat.

— Kiedy się lepiej zastanowić, chyba mógłbym bez tego przeżyć — Han zmienił zdanie, — Tysiąc lat to zdecydowanie za długo,

Chewie warknął, całkowicie zgadzając się z przyjacielem.

— Powinieneś się zgodzić na targi, Jabbo — rzucił z uśmiechem Luke. — To twój ostatni błąd w życiu,

Nie potrafił ukryć nuty szczerzej satysfakcji. Jabba był stworzeniem godnym pogardy, galaktyczną piją

wką, wysysającą życie ze wszystkiego, czego dotknęła, Szczerze pragnął zniszczyć tego potwora i dlatego był raczej zadowolony, że Jabba odmówił rokowań. Teraz może spełnić swoje marzenie. Naturalnie, przybył tu przede wszystkim, by uwolnić swoich przyjaciół; ten cel przyświecał mu także teraz. Ale jeśli przy okazji uwolni wszechświat od gangstera... Ta perspektywa kalala szlachetny zamiar odrobiną mrocznej satysfakcji.

Jabba prychnął złośliwie.

— Zabierzcie ich — poleciał,

Nareszcie chwila przyjemności w tym ponurym dniu. Karmienie Sarlacc'a było jedyną rzeczą, którą Jabba lubił tak samo, jak karmienie rancora. Biedny rancor.

W tłumie rozległy się entuzjastyczne okrzyki, żegnające wyprowadzanych więźniów. Leia spoglądała za nimi z troską. Gdy jednak Luke obejrzał się, dostrzegła na jego twarzy szczerzy, szeroki uśmiech, Westchnęła ciężko, usiłując stłumić zwątpienie.

Ogromna, anty grawitacyjna Barka Żaglowa Jabby płynęła wolno ponad nieskończonym Morzem Wydm. Wypolerowany przez piasek kadłub trzeszczał lekko w łagodnej bryzie, a każdy podmuch wiatru słabo, niby kaszlnięcie, uderzał w dwa wielkie żagle — jak gdyby sama natura

cierpiała na niemoc wszędzie tam, gdzie znalazł się Jabba. Wraz z dworem przebywał teraz na dolnym pokładzie, kryjąc zgniliznę ducha przed oczyszczającym światłem słońca,

Obok barki płynęły w szyku dwa skiffy, Jeden niósł eskortę, złożoną z sześciu ponurych żołnierzy; drugi przewoził więźniów: Hana, Chewiego i Luke'a. Cała trójka była skuta i pod strażą — jednego Barada, dwóch Weequayów. I Lando Calrissiana.

Barada był bardzo rzeczowy. Niemożliwe, by stracił panowanie nad sytuacją. Trzymał swój długi karabin i zachowywał się tak, jakby marzył, by usłyszeć jego głos.

Weequayowie wyglądali dość dziwacznie. Bracia, chudzi i łysi, jeśli nie liczyć plemiennego kosmyka na czubku głowy, zaplecionego i zarzuconego na bok. Nikt nie wiedział, czy Weequay jest nazwą ich szczepu, czy gatunku; czy wszyscy w ich szczepie są braćmi albo, czy wszyscy nazywają się Weequayami. Wiadomo było tylko, że ci dwaj reagowali na to imię i że wszystkie inne stworzenia traktowali obojętnie. Wobec siebie byli uprzejmi, nawet łagodni. Podobnie jednak jak Barada, też nie mogli się doczekać, kiedy więźniowie popełnią jakieś głupstwo.

Lando, naturalnie, siedział milczący i gotowy. Czekał na okazję. Wszystko to przypominało mu ten numer z litem, jaki wykonał na Pesmenben IV. Posypywali wtedy wydmy węglanem litu, co miało skłonić gubernatora Imperium do wydzierżawienia planety. Lando udawał górnika spoza związku zawodowego. Raz kazał gubernatorowi paść twarzą na dno łodzi i wyrzucił jego łapówkę za burtę, gdy dopadli ich „przedstawiciele związku”. Nieźle wtedy zarobili. Przypuszczał, że ta robota okaże się podobnie popłatna, choć teraz za burtę trzeba będzie wyrzucić strażników,

Han nasłuchiwał pilnie, gdyż jego oczy nadal nie nadawały się do użytku. Rozprawiał z demonstracyjną obojętnością, by uspokoić strażników, by ich przyzwyczaić do tego, że porusza się i rozmawia. Kiedy przyjdzie pora na prawdziwy ruch, mogą przegapić decydujący ułamek sekundy, Naturalnie, jak zwykle, mówił także po to, by słyszeć własny głos.

— Wzrok mi powraca — oznajmił, spoglądając na morze piasku. — Zamiast wielkiej ciemnej plamy widzę wielką jasną plamę.

— Niewiele tracisz, możesz mi wierzyć — uśmiechnął się Luke, — Wychowałem się tutaj.

Wspominał młodość spędzoną w domu wuja, kiedy ścigał się własnoręcznie wyremontowanym śmigła-czem z przyjaciółmi — synami osadników, tkwiących na samotnych farmach. Nie było tu właściwie nic do roboty, ani dla chłopców, ani dla mężczyzn — tylko lot nad monotonnym morzem wydym i unikanie groźnych Jeźdźców Tusken, którzy strzegli pustyni, jakby była wysypana złotym piaskiem. Luke dobrze znał to miejsce.

Tutaj spotkał Obi-wana Kenobi — starego Bena Kenobi, pustelnika od niepamiętnych czasów żyjącego w dziczy. Ten człowiek jako pierwszy pokazał Luke'owi drogę Jedi.

Luke myślał o nim z miłością i żalem. Ben bowiem, bardziej niż ktokolwiek inny, był przyczyną odkryć i strat chłopca. Odkrywania strat.

Ben zabrał Luke'a do Mos Eisley, miasta piratów na zachodniej półkuli Tatooine, do kantyny, gdzie po raz pierwszy spotkali Hana Solo i Wookiego Chewbacę. Zaopiekowali się nim, gdy szturmowcy, szukając zbiegłych robotów, Erdwa i Trzypeo, zamordowali wuja Owena i ciocię Beru.

Tak się wszystko zaczęło; tu, na Tatooine. Pamiętał to miejsce jak natrętny sen, A przysiągł sobie, że nigdy tutaj nie wróci.

— Tu się wychowałem — powtórzył.

— A teraz wszyscy tu zginiemy — odparł Solo.

— Tego nie zaplanowałem — Luke otrząsnął się z zamyślenia.

— Jeśli to ma być twój plan, to raczej nie budzi we mnie entuzjazmu.

— Pałac Jabby jest zbyt dobrze strzeżony. Musiałem wydostać cię na zewnątrz. Po prostu trzymaj się w pobliżu Chewiego i Lando. Oni wszystkiego dopilnują.

— Nie mogę się doczekać,

Solo miał nieprzyjemne wrażenie, że cała ta wielka ucieczka opiera się na przekonaniu Luke'a o tym, że jest Rycerzem Jedi. A to budziło pewne wątpliwości, nawet przy optymistycznym nastawieniu. Jedi to nie istniejący już zakon. Używali Mocy, a Han nie wierzył w Moc. Szybki statek i dobry miotacz — oto, w co wierzył naprawdę. Żałował, że nie ma ich teraz.

Jabba otoczony swym orszakiem siedział w głównej kabinie Żaglowej Barki. Zabawa trwała nadal, tyle że w ruchu, W rezultacie wszyscy bardziej się chwiali, niż w pałacu, i impreza

przypominała raczej pijaństwo przed samosądem. Żądza krwi i wojowniczość osiągały coraz wyższy poziom,

Trzypeo nie czuł się najlepiej. W tej chwili zmuszony był do tłumaczenia sporu między Ephant Monem i Ree-Yeesem, na temat kwarkowych środków bojowych. Zakres dyskusji minimalnie przerastał jego możliwości. Ephant Mon, potężny gruboskórowiec poruszający się w pozycji pionowej, z paskudnym, uzbrojonym w kły ryjem, zajmował (zdaniem Trzypeo) stanowisko nie do obrony. Lecz na jego ramieniu siedział Lubieżny Okruch, zwariowana gadzia małpa, i powtarzał dosłownie wszystkie wypowiedzi Ephanta. Tym samym podwajał wagę jego argumentów,

Ephant zakończył orację typowo wojowniczym stwierdzeniem.

— Woossie jawamba boog! Na co Lubieżny kiwnął głową.

— Woossie jawamba boog! — potwierdził.

Trzypeo nie miał ochoty tłumaczyć tego Ree-Yeeso-wi, trójkowi z kozim pyskiem, pijanemu już jak piep-rzoad. Zrobił to jednak,

Troje oczu rozszerzyło się wściekle.

— Backawa! Backawa!

Bez dalszych wstępów wymierzył Ephantowi Mono-wi potężny cios w ryj, po którym gruboskórowiec potoczył się w grupkę głowonogów.

Ce Trzypeo uznał, że odpowiedź nie wymaga tłumaczenia, i skorzystał z okazji, by prześlizgnąć się na tyły podium, gdzie natychmiast wpadł na małego robota, podającego drinki. Napoje chlusnęły na wszystkie strony.

Krępy, nieduży robot wydał z siebie serię gniewnych gwizdów, buczeń i pohukiwań. Trzypeo zrozumiał je natychmiast i z radością spojrzał w dół,

— Erdwa! Co ty tu robisz?

— duuuWllp chWHRrrrii bedzhng.

— Widzę, że roznosisz drinki. Ale to niebezpieczne miejsce. Mają wykonać wyrok na panu Luke'u. Nas też zabiją, jeśli nie będziemy ostrożni.

Erdwa gwizdnął, zdaniem Trzypeo nieco nonszalancko.

— Zazdroszczę ci tej wiary — mruknął ponuro. Jabba rechotał widząc leżącego Ephanta Mona. Lubił ostre bójkę, a wręcz uwielbiał patrzeć, jak kruszy się moc i cierpi duma. Tłustymi palcami szarpnął łańcuch, umocowany na szyi księżniczki. Im mocniej się opierała, tym bardziej się ślina — aż przyciągnął do siebie walczącą, skapo odzianą Leię.

— Nie odchodź zbyt daleko, moja piękna. Wkrótce mnie docenisz — przysunął ją bliżej i zmusił, by wypła z jego kielicha.

Leia otworzyła usta i zamknęła umysł. Wszystko to było obrzydliwe, ale mogła sobie wyobrazić gorsze rzeczy. Zresztą, to już niedługo potrwa.

Te gorsze rzeczy poznała dobrze. Dla porównania wspominała noc, gdy torturował ją Darth Vader. Prawie się załamała. Czarny Lord nie wiedział nawet, jak niewiele dzieliło go od zdobycia pożądanej informacji — pozycji powstańczej bazy. Schwytał ją chwilę po tym, jak wysłała po pomoc Erdwa i Trzypeo, Schwytał, zabrał na Gwiazdę Śmierci, naszprycował osłabiającymi umysł narkotykami... i torturował.

Najpierw ciało, przy pomocy niezwykle skutecznych bólobotów. Czułe punkty, igły, ogniste ostrza, elektronakłuwacze... Zniosła tamten ból, jak teraz znosiła obrzydliwe dotknięcia Jabby — z naturalną, wewnętrzną siłą.

Hutt przestał zwracać na nią uwagę, więc odsunęła się na dwa kroki. Wyjrzała przez szczeliny żaluzji, by poprzez tumany kurzu popatrzeć na skiff, niosący jej wybawców.

Hamował.

Cały konwój zatrzymał się nad wielką jamą w piasku. Barka Żaglowa i skiff eskorty stanęły nad skrajem zagłębienia, a pojazd więźniów zawisł nad samym jego środkiem, na wysokości mniej więcej siedmiu metrów.

W dole, na dnie piaskowego leja, ział obrzydliwy, pokryty śluzem otwór średnicy dwóch i pół metra. Błoniaste ścianki były prawie nieruchome. Na obwodzie wyrastały trzy rzędy ostrych jak igły zębów, skierowanych do wewnątrz. Piasek lepił się do śluzu i z rzadka sypał w głąb otworu,

To była paszcza Sarlacca,

Z burty skiffa więźniów wysunięto stalowy pomost, Strażnicy rozwiązali Luke'owi ręce i pchnęli go na trap, nad otwór w piasku. Jama zaczęła falować lekko perystaltycznym ruchem i wydzielala więcej śluzu — czuła mięso, jakie wkrótce miała otrzymać.

Jabba z orszakiem przenieśli się na pokład widokowy.

Luke roztarł nadgarstki, by przywrócić krążenie krwi. Drżące nad gorącą pustynią powietrze rozgrzewało duszę — ta planeta zawsze przecież pozostanie domem. Urodził się i wychował na skórze bantha, Przy relingu barki dostrzegł Leię i mrugnął porozumiewawczo. Odpowiedziała tym samym.

Jabba przywołał Trzypeo i szepnął mu coś do ucha. Robot podszedł do konsoli komunikatora, Jabba wzniosł rękę i zbieranina kosmicznych piratów ucichła natychmiast. Głos androida zabrzmiał potężnie, wzmocniony przez megafony.

— Jego wysokość wyraża nadzieję, że umrzecie z honorem — oznajmił Trzypeo. Coś tu nie pasowało, Ktoś chyba powinien skorygować program. Był przecież tylko robotem o ściśle określonych funkcjach. Wyłącznie tłumaczyć i lepiej zapomnieć o wolnej woli. Potrząsnął głową i kontynuował. — Gdyby jednak jeden z was chciał błagać o łaskę, Jabba wysłucha teraz jego próśb.

Han wystąpił, by przekazać tej nadętej beczie śluzu swe ostatnie myśli — na wypadek, gdyby się im nie udało.

— Powiedz temu zaślinionemu, robaczywemu śmieciowi...

Pechowo Han stanął twarzą do pustyni i plecami do barki. Chewie wyciągnął rękę i ustawił go należycie, przodem do robaczywego śmiecia, do którego przemawiał.

Han skinął głową, nie przerywając wystąpienia.

— .. że nie sprawimy mu tej przyjemności.

Chewie wydał kilka gardłowych pomruków, oznaczających zgodę z tezami mówcy. Luke był gotów.

— To twoja ostatnia szansa, Jabbo! — krzyknął. — Uwolnij nas lub giń!

Spojrzał za siebie. Lando przesunął się dyskretnie na rufę skiffa. O to właśnie chodzi, myślał. Po prostu wyrzucą strażników za burtę i uciekną tamtym sprzed nosa.

Bandyci na barce ryknęli śmiechem. Tymczasem Erdwa wtoczył się cicho po rampie i zatrzymał na skraju górnego pokładu.

Jabba podniósł rękę i jego pacholki umilkli.

— Jestem przekonany, że się nie mylisz, mój młody przyjacielu Jedi — uśmiechnął się, wysuwając zwrócony w dół kciuk. — Zrzucić go.

Widzowie klaskali, gdy Weequay popychał skazańca na koniec pomostu, Luke spojrzał na Erdwa, samotnego przy relingu, po czym żartobliwie zasalutował małemu robotowi. Na ten umówiony znak, w kopule maszyny odskoczyła klapka, przez którą wyleciał w powietrze jakiś pocisk. Łagodnym łukiem wznosił się nad pustynią.

Luke zeskoczył z trapu. Rozległ się kolejny krzyk radości. Jednak w ułamku sekundy Luke obrócił się w powietrzu i czubkami palców chwycił krawędź pomostu. Cienka metalowa płyta ugięła się pod ciężarem, znieruchomiła na moment przed pęknięciem i wyrzuciła Jedi do góry. W locie wykręcił salto i wylądował na środku trapu — w miejscu, które przed chwilą opuścił, lecz tym razem za plecami zdumionych strażników. Od niechcenia wyciągnął rękę, a wystrzelony przez Erdwa świetlny miecz trafił dokładnie w otwartą dłoń.

Luke błyskawicznie uaktywnił klingę i po chwili strażnik, stojący między nim a skiffem, spadał z krzykiem prosto w drżącą paszczę Sarlacc'a.

Kolejni strażnicy rzucili się na niego. Błysnął świetlny miecz.

Jego własny miecz — nie ojca. Tamten stracił w pojedynku z Darthem Vaderem, Stracił także rękę. Va-der powiedział wtedy, że to on jest ojcem Luke'a,

Ten świetlny miecz konstruował sam, w opuszczonej chacie Obi-wana Kenobiego po drugiej stronie Tatooine — zrobił go, korzystając z narzędzi i części, pozostawionych przez starego Mistrza Jedi, wkładając w dzieło uczucie, sztukę i palącą potrzebę. Teraz trzymał rękę, jakby wrosła mu w dłoń, jakby była przedłużeniem ramienia.

Lando siłował się ze sternikiem, próbując przejąć instrumenty kontrolne skiffa. Laser żołnierza wystrzelił, rozbijając sąsiednią tablicę. Skiff pochylał się mocno, następny strażnik runął do leja, a wszyscy pozostali upadli na pokład. Luke wstał szybko i unosząc miecz ruszył do sternika, Ten cofnął się, przerażony groźnym widokiem, potknął, i wypadł za burtę.

Oszołomiony wylądował na miękkim zboczu jamy i niepowstrzymanie zsuwał się wprost do zębatego, drapieżnego otworu. Krzyczał, rozpaczliwie wbijając palce w piach. Nagle z paszczy Sarlaccy wystrzeliła gruba macka, podpełzła kawałek, pochwyciła sternika za kostkę i ściągnęła w dół. Zniknął z głośnym młaśnięciem.

Wszystko to zdarzyło się w ciągu kilku sekund. Jabba ryknął z wściekłości i z furją wykrzykiwał polecenia. Przez chwilę panowało absolutne zamieszanie, a dworacy wbiegali i wybiegali wszystkimi drzwiami. Wtedy właśnie, podczas ogólnego chaosu, Leia ruszyła do akcji.

Wskoczyła na podium, chwyciła mocno łańcuch, którym była przykuta, i owinęła wokół nabrzmiałego gardła Jabby. Potem przebiegła za oparcie i szarpnęła z całej siły. Niewielkie, metalowe ogniwa jak garota wpiły się w luźne fałdy skóry.

Leia ciągnęła z nadludzką siłą, Hutt szarpnął swe potężne cielsko, niemal łamiąc jej palce, wrywając ramiona ze stawów. Nie miał się o co oprzeć, jego tułów nie był dostatecznie gibki, lecz sama masa wystarczała prawie, by zerwać wszelkie więzy,

Lecz chwyt Lei nie był efektem jedynie siły fizycznej. Zamknęła oczy, zablokowała uczucie bólu w palcach, skoncentrowała całą swą siłę życiową na jednym celu — by zadusić obrzydliwego stwora!

Ciągnęła spocona, wyobrażając sobie, jak milimetr po milimetrze łańcuch wrzyna się w tchawicę Jabby — on zaś szarpał i wykręcał szaleńczo całe cielsko, by się uwolnić od najbardziej nieoczekiwanego przeciwnika,

W ostatnim porywie Hutt napiął wszystkie mięśnie i rzucił się do przodu. Gadzie oczy wystąpiły z orbit, gdy zaciskał się łańcuch, gruby ogon dygotał w spazmatycznym wysiłku, aż wreszcie znieruchomiał. Był martwy.

Leia zaczęła rozpinać obrożę. Na zewnątrz wrzała bitwa.

Boba Fett uruchomił swój plecak rakietowy, wyskoczył w powietrze i płynnym łukiem wylądował na skif-fie w chwili, gdy Luke uwalniał z więzów Hana i Che-wiego. Boba wymierzył w niego laser, ale nim zdołał wystrzelić, młody Jedi odwrócił się błyskawicznie i zatoczył świetlnym mieczem ciasny krąg, rozcinając miotacz na połowę.

Działo na pokładzie barki odezwało się nagle i seria strzałów trafiła w burtę skiffa. Lando spadł z pochyło

nego pod kątem czterdziestu stopni pokładu, W ostatniej chwili chwycił złamany drążek i zawisł nad paszczą Sarlaccy. To, co się działo, całkowicie odbiegało od jego planów i Lando poprzysiągł, że już nigdy nie pozwoli się wplątać w sprawę, której nie prowadzi osobiście od początku do końca,

Skiff otrzymał kolejne bezpośrednie trafienie z działa pokładowego barki. Wstrząs cisnął Hana i Chewie-go na reling. Ranny Wookie zawył z bólu, Luke obejrzał się na kosmatego przyjaciela, a Boba Fett, wykorzystując chwilę nieuwagi, odpalił linę z opancerzonego rękawa.

Kabel kilkakrotnie opasał Luke'a i przycisnął mu ręce do tułowia. Jedynie dłonie pozostały wolne. Młodzieniec wygiął nadgarstek, kierując miecz w górę... i machnął nim wzdłuż liny, w stronę Boby. Świetlne ostrze na moment dotknęło drucianego łańcucha, rozcinając je natychmiast. Luke uwolnił się jednym ruchem w chwili, gdy następny strzał trafił skiff, a Boba runął nieprzytomny na pokład. Niestety, wybuch oderwał także drążek i Lando potoczył się wprost do jamy Sarlaccy.

Wybuch wstrząsnął Luke'em, ale nie wyrządził mu krzywdy. Lando upadł na zbocze, krzyknął o pomoc i próbował wygrzebać się na górę, jednak zjeżdżał coraz głębiej w lawinie luźnego piachu. Zamknął oczy. Myślał, w jaki sposób zdoła zapewnić Sarlaccowi tysiąc lat niestrawności. Założył się sam z sobą, że przeżyje wszystkich, którzy trafią do żołądka potwora. Gdyby przekonał ostatniego strażnika, by oddał mu swój mundur...

— Nie ruszaj się! — wrzasnął Luke, lecz natychmiast musiał skoncentrować uwagę na nadlatującym skiffie eskorty. Strażnicy strzelali bez przerwy,

Dla Jedi taki manewr był jak reguła prawej ręki, ale żołnierze zostali zaskoczeni całkowicie: kiedy

przeciwnik ma przewagę — atakuj. Wtedy siła nieprzyjaciela kieruje się przeciwko niemu. Luke przeskoczył na pokład drugiego skiffa i błyskawicznymi cięciami świetlnego miecza rozpoczął rzeź napastników.

Na więziennym skiffie Chewie wygrzebywał się spod odłamków, a Han stanął niepewnie. Wookie warknął krótko, by skierować go ku leżącej na pokładzie włócznie.

Lando wrzasnął. Zsunął się bliżej lśniącej śluzem paszczy. Był hazardzistą, ale w tej chwili nie obstawiałby zbyt wysoko swoich szans na ocalenie.

— Spokojnie, Lando! — zawołał Han. — Idę do ciebie! I dodał ciszej:

— Gdzie to jest, Chewie?

Przesuwał ręce po pokładzie, a Wookie kierował jego ruchami. Wreszcie pochwycił włócznie.

Wtedy właśnie ocknął się Boba, wciąż lekko oszołomiony wybuchem. Na pokładzie skiffa eskorty trwała walka Jedi z sześcioma strażnikami. Łowca jedną ręką przytrzymał się relingu, drugą wymierzył miotacz w Luke'a.

Chewie warknął coś do Hana,

— W którą stronę? — spytał Solo. Chewie warknął znowu.

Niewidomy pirat machnął długą włócznią. Boba instynktownie zablokował cios przedramieniem i znowu wymierzył laser.

— Nie wchodź mi w drogę, ślepy durniu! — wrzasnął.

Chewie szczeknął gorączkowo. Han ponownie zatoczył włócznią krąg, tym razem w przeciwnym kierunku. Cios trafił w sam środek plecaka raketowego Boby.

Wstrząs spowodował zapłon. Fett wystartował nagle, jak pocisk przemknął nad drugim skiffem i ryko

szetem trafił w sam środek jamy. Obciążony pancerzem przejechał po piasku obok Calrissiana wprost w paszczę Sarlaccy.

— Rrgrowrrbroo fro bo — skwitował Chewie.

— Naprawdę? — uśmiechnął się Solo. — Szkoda, że tego nie widziałem.

Celne trafienie z działa przewróciło skiff na bok, a niemal wszystko, co było na pokładzie — w tym Solo — zsunęło się za burtę. Han zaczepił stopą o reling i zawisł niepewnie nad Sarlaccem. Ranny Wookie ostatkiem sił trzymał się jakiegoś poskręcane go żelastwa na rufie,

Luke zakończył swój spór na skiffie eskorty, szybko ocenił sytuację i skoczył nad piaskiem wprost na stromą, stalową burtę wielkiej barki. Wolno zaczął się wspinać na pokład, gdzie stało działo.

Tymczasem na pokładzie widokowym Leia bezskutecznie walczyła z łańcuchem, przykuwającym ją do martwego gangstera. Gdy przebiegali strażnicy, kryła się za jego masywnym cielskiem. Teraz starała się pochwycić porzucony przez kogoś laser, lecz łańcuch nie pozwalał go dosięgnąć. Na szczęście Erdwa, który zgubił drogę i pojechał nieprawidłową rampą, przybył w końcu z pomocą. Wysunął z obudowy końcówkę tnącą i uwolnił księżniczkę z więzów.

— Dziękuję, Erdwa. Dobra robota, A teraz wynośmy się stąd,

Pobiegli w stronę drzwi. Po drodze natrafili na Trzypeo. Wrzeszczał leżąc na podłodze, przygnieciony ciężarem bulwiastego cielska osobnika imieniem Her-mi Odle. Lubieżny Okruch, gadzia mała, przykucnął obok głowy androida i wydłubywał mu prawy wizjer.

— Nie! Nie! Tylko nie oczy! — jęczał Trzypeo. Erdwa wystrzelił elektryczną iskrą w bok Hermiego Odle'a, aż ten z jękiem wyleciał przez okno. Druga iskra cisnęła Lubieżny Okruch na sufit, skąd już nie spadł. Trzypeo wstał; oko zwiślało mu na wiązce przewodów. Wraz z Erdwą pospieszyli za Leia do bocznego wyjścia,

Działo raz jeszcze trafiło w przechylony skiff. Za burtę wypadło praktycznie wszystko, co jeszcze pozostało wewnątrz — oprócz Wookiego. Rozpaczliwie zaciskając palce zranionej ręki, przewieszony przez reling ścisnął za kostkę dyndającego w powietrzu Hana, który z kolei na ślepo wyciągał dłoń ku przerażonemu Calrissianowi. Lando zdołał powstrzymać zjazd w dół. Leżał teraz nieruchomo, a każda próba sięgnięcia do ręki Solo kończyła się przesunięciem odrobinę bliżej żarłocznego otworu. Miał nadzieję, że Han nie ma już pretensji o tę idiotyczną aferę na Bepinie.

Chewie wywarczał przyjacielowi kolejną wskazówkę.

— Tak, wiem. Widzę już o wiele lepiej. To pewnie przez całą krew, jaka mi spływa do głowy.

— To świetnie! — zawołał Lando, — A czy nie mógłbyś urosnąć o dziesięć centymetrów?

Artylerzyści na barce mierzyli w ten ludzki łańcuch, gotowi do coup de grace, gdy nagle stanął przed nimi Luke. Szczęrzy! zęby niby piracki król. Zapalił świetlny miecz zanim zdążyli wystrzelić; w chwilę później byli już tylko dymiącymi zwłokami,

Grupa strażników wybiegła z dolnych pokładów. Strzał jednego z nich wytrącił Luke'owi miecz. Rzucił się do ucieczki, lecz szybko został otoczony. Dwaj żołnierze znowu obsadzili działo, Luke spojrział na rękę;

złożony mechanizm metalu i obwodów elektronicznych, który zastąpił odciętą przez Vadera dłoń, był odsłonięty.

Poruszył palcami; wszystko działało prawidłowo,

Żołnierze wystrzelili z działa. Trafienie w burtę wyrzuciło niemal Chewbaccę, ale pokład przechylił się mocniej i Han pochwycił nadgarstek Lando.

— Ciągnij! — wrzasnął do Wookiego,

— Złapał mnie! — jęknął Calrissian. Patrzył przerażony, jak macka Sarlaccy oplata wolno jego kostkę. Co tu gadać o asach w rękawie — co pięć sekund zmieniały się reguły gry. Macki! Kto by stawiał na macki? Teraz pewnie każdy, pomyślał fatalistycznie. Każdy i dużo.

Strzelcy ustawili celownik do ostatniego strzału, lecz bitwa skończyła się dla nich, zanim pociągnęli za spust — Leia opanowała drugie działo pokładowe, po przeciwnej stronie barki. Jej pierwszy strzał zniósł nadbudówki, drugi stanowisko artyleryjskie.

Eksplozje zakłótyły barką i na moment odwróciły uwagę otaczających Luke'a strażników. Wtedy właśnie wyciągnął rękę i leżący trzy metry od niego świetlny miecz wskoczył płynnie w dłoń. Chłopiec skoczył w górę. Dwaj strażnicy, którzy strzelili do niego w tej samej chwili, pozabijali się nawzajem. Luke jeszcze w powietrzu zapalił klingę i lądując szybko załatwił pozostałych.

— Celuj w dół! — krzyknął do Lei. Posłusznie skierowała lufę działa w pokład. Skinęła głową Trzypeo, stojącemu przy relingu.

Erdwa zapiszczał gwałtownie.

— Nie mogę! — jęknął android. — To za wysoko... aaa!

Erdwa pchnął go za burtę. Sam także potoczył się na piasek.

Tymczasem trwał konkurs przeciągania między Sar-laccem a Solo, w którym baron Calrissian pełnił równocześnie funkcję liny i nagrody, Trzymając nogę Hana, Chewbacca stanął pewniej, a wolną ręką z trudem wy dobył spod złomowiska laserowy miotacz. Wymierzył w stronę Lando, lecz zaraz opuścił lufę. Warknął zmartwiony.

— Ma rację! — krzyknął Lando, — To za daleko!

— Chewie — Solo podniósł głowę. — Daj mi laser. Wookie posłuchał. Han chwycił miotacz, drugą ręką nadal podtrzymując Calrissiana.

— Momencik, chłopie — zaprotestował Lando,

— Myślałem, że jesteś ślepy!

— Już prawie dobrze widzę. Możesz mi zaufać — uspokoił go Han.

— A mam jakiś wybór? Hej! Trochę wyżej, jeśli wolno — Calrissian zniżył głowę.

Han zmrugał oczy,.. pociągnął spust,.. i trafił prosto w mackę, która natychmiast zwolniła chwyt i popęzła z powrotem do paszczy.

Chewbacca szarpnął mocno, wciągając na pokład najpierw Solo, potem Calrissiana.

Luke objął lewym ramieniem Leię, prawym złapał linę zwisającą z pękniętego masztu, a nogą kopnął spust działa. Skoczył w powietrze, gdy pocisk eksplodował pod pokładem.

Na rozkołysanej linii zjechali w dół, aż do pustego, stojącego w powietrzu skiffa eskorty. Luke uruchomił go natychmiast i podleciał do przechylnego pojazdu więziennego. Han, Lando i Chewbacca przeszli na pokład.

Wybuchy wstrząsały Żaglową Barką. Wszystkie pokłady stały w ogniu,

Luke poprowadził skiffa nad miejsce, gdzie z piasku sterczały złote nogi Trzypeo. Peryskop był jedynym fragmentem Erdwa, widocznym ponad wydmą. Pojazd zatrzymał się i z komory dziobowej wysunął duży elektromagnes. Oba roboty wystrzeliły w górę i z głośnym brzękiem przyłgnęły do stalowej płyty.

— Oj! — stęknął Trzypeo.

— biiiDUU duIT! — zgodził się z nim Erdwa, Po chwili wszyscy byli już razem, mniej więcej cali i zdrowi. Przez kilka minut śmiali się, ściskali, płakali i buczeli, Potem ktoś przypadkiem trącił zranione ramię Chewiego. Wookie ryknął. Jakby na dany znak, rozbiegli się, by zabezpieczyć niewielką łódkę, skontrolować horyzont, poszukać zapasów. I odlecieli.

Wielka Żaglowa Barka opadała z wolna w huku eksplozji i pożarów. Małe skiffy były już daleko nad pustynią, gdy rozpadła się do końca w potężnym wybuchu płomienia, częściowo tylko przyćmionym przez palący, popołudniowy blask bliźniaczych słońc Tatooine,

III

Burza piaskowa paraliżowała wszystko — wzrok, oddech, myśli i ruchy, Ryk wichru dobiegał ze wszystkich stron, utrudniając orientację. Zdawało się, że wszechświat złożony jest wyłącznie z hałasu, a tu właśnie znajduje się jego centrum,

Siódemka bohaterów maszerowała krok za krokiem w tumanach pyłu. Trzymali się jeden drugiego, by nie odstawać od grupy, Erdwa szedł pierwszy, podążając za sygnałem radionamiernika, który śpiewał w języku nie zniekształconym burzą. Za nim kroczył Trzypeo, potem Leia prowadziła Hana, wreszcie Luke i Lando podtrzymywali kulejącego Wookiego.

Erdwa pisnął głośno. W kurzawie rysowały się niewyraźne, ciemne sylwetki.

— Co się dzieje? — krzyknął Han. — Widzę tylko masę piasku!

— Nikt więcej nie widzi! — odkrzyknęła Leia.

— Więc chyba wzrok mi wraca!

Po kilku krokach ciemne sylwetki stały się jeszcze ciemniejsze; potem, z obłoków pyłu, wynurzył się „Sokół Millenium”, a obok X-skrzydłowiec Luke’a i dwumiejsowy Y-skrzydłowiec. Gdy tylko cała grupa skryła się za burtą „Sokoła”, wiatr ucichł nieco i można go było teraz określić jako „ciężkie warunki meteorologiczne”.

— Muszę ci przyznać, mały — odezwał się Solo do Skywalkera — że dobrze sobie radziłeś.

Luke poczuł zakłopotanie. Nie bardzo wiedział, jak reagować na słowa przemytnika, wyjątkowo nie zawierające złośliwości ani kpiny.

— Nie ma o czym mówić — mruknął w końcu.

— Owszem, jest. Karbonadyzacja to coś bardzo bliskiego śmierci. I nie zasypiasz w tej bryle. To wielkie, absolutnie przytomne Nic.

Luke i pozostali ocalili go przed tym Niczym — dla niego narażali życie. I to nie z żadnych innych powodów niż ten, że... był ich przyjacielem, Ta idea wydała się dumnemu przemytnikowi oszałamiająco świeża — straszna i piękna równocześnie. Niebezpieczna. Nagle poczuł się bardziej ślepy niż poprzednio — ale i mądrzejszy. Kiedyś był sam. Teraz stał się częścią,

Zrozumienie tego sprawiło, że czuł się jak dłużnik, a tego nie znosił. Jednak dług był także nowym rodzajem więzów — tym razem braterstwa. I — niewytłu-maczałnie — wyzwalał.

Han nie był już taki samotny.

Nie był samotny!

Luke dostrzegł przemianę zachodzącą w umyśle przyjaciela. Była niby zmiana przyływu. Nie chciał zakłócać tej chwili, więc tylko skinął głową.

Chewie warknął serdecznie i gestem wuja, dumnego z młodego siostrzeńca, rozwichrzył włosy niedoświadczonego jeszcze Rycerza Jedi, a Leia uścisnęła go serdecznie.

Wszyscy kochali Solo, choć łatwiej im było okazywać to Luke’owi.

— Zobaczymy się we flocie! — krzyknął Skywalker i ruszył do statku,

— Zostaw tego grata i leć z nami — zaproponował Solo.

— Najpierw muszę dotrzymać obietnicy..., złożonej staremu przyjacielowi. Bardzo staremu, pomyślał z uśmiechem.

— Spiesz się — poprosiła Leia. — Całe Sprzymierzenie powinno już zebrać siły.

Dostrzegła coś niezwykłego w wyrazie twarzy Luke’a. Nie potrafiła określić, co to jest. Budziło lęk, ale równocześnie sprawiało, że stał się jej dziwnie bliski.

— Spiesz się — powtórzyła.

— Na pewno — przyrzekł. — Chodź, Erdwa. Robot potoczył się w stronę myśliwca, wygwizdując do Trzypeo słowa pożegnania.

— Do zobaczenia — zawołał czule android. — Niech Wielki Konstruktor ma cię w opiece.

Panie Luke, proszę na niego uważać!

Lecz Skywalker i robot zniknęli już za kadłubem maszyny,

Reszta stała przez chwilę nieruchomo, próbując z piaskowych wirów odczytać przyszłość. Drgnęli, gdy w końcu odezwał się Lando.

— Lepiej wynośmy się z tej kuli piachu. Szczęście opuściło go tutaj zupełnie. Miał nadzieję, że następna rozgrywka będzie dla niego korzystniejsza. Nie on będzie ustalał reguły, ale może uda się dyskretnie ukryć asa w rękawie. Solo klepnął go po ramieniu.

— Tobie też sporo zawdzięczam, Lando.

— Pomyślałem, że jeśli zostawię cię zamrożonego, do końca życia będziesz mi przynosił pecha. Więc równie dobrze od razu mogę cię rozmrozić.

— Chciał powiedzieć, że się cieszy — wyjaśniła z uśmiechem Leia. — Wszyscy się cieszymy, Pocałowała Hana w policzek, by raz jeszcze wyrazić swą radość.

Weszli na pomost „Sokoła”. Solo zatrzymał się przy luku i delikatnie poklepał wspornik.

— Nieźle wyglądasz, staruszk — szepnął, — Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Wszedł do wnętrza i zamknął za sobą klapę.

Luke w swoim X-skrzydłowcu zrobił to samo. Potem zapiął pasy, uruchomił silniki i wsłuchał się w ich uspokajający szum. Spojrzał na uszkodzoną dłoń — kable przecinały aluminiowe kości niby linie układanki. Zastanawiał się, jakie jest jej rozwiązanie. Wciągnął czarną rękawiczkę, by zakryć odsłoniętą konstrukcję, przesunął dźwignię i po raz drugi w życiu wystrzelił z ojczystej planety ku gwiazdom.

Gwiezdny Superniszczyciel zawisł w przestrzeni ponad nie dokończoną Gwiazdą Śmierci i jej zielonym sąsiadem, Endorem. Była to potężna jednostka, otoczona rojem mniejszych statków najrozmaitszego przeznaczenia, szybujących bądź latających wokół niby dzieci w różnym wieku i o różnym wyposażeniu:

średniego zasięgu, pękate statki transportowe i TIE — myśliwce eskorty.

Główne stanowisko startowe Niszczyciela stało otworem. Panowała tu cisza kosmosu. Imperialny prom w towarzystwie czterech eskadr myśliwców odleciał do Gwiazdy Śmierci.

Darth Vader obserwował, jak się zbliżają. Siedział przed ekranem w głównej sterowni stacji bojowej. Gdy do lądowania pozostało najwyżej kilka minut, wyszedł i wraz z komendantem Jerjerrodem, w otoczeniu oddziału szturmowców, ruszył w stronę lądowiska, Szedł na spotkanie swego pana.

Jego puls i oddech regulowała maszyna, nie mógł więc przyspieszyć. Jednak miał wrażenie, że w piersi zbiera się elektryczny ładunek. Nie wiedział, jak to możliwe. Spotkanie z Imperatorem dawało poczucie spełnienia, władzy, mrocznej, demonicznej mocy; wspomnienie tajemnych żądz, niepowstrzymanych namiętności, szalonej pokory. Wszystkie te uczucia kłę-

biły się w sercu Yadera, gdy zbliżał się do Imperatora. Wszystko to i jeszcze więcej.

Kiedy wkroczył na płytę lądowiska, tysiące szturmowców z głośnym stukiem stanęły na baczność. Prom znieruchomiał na stanowisku, opuścił pomost niby szczękę smoka, a ze śluzy wybiegli gwardziści Imperatora. Ich czerwone płaszcze powiewały jak języki ognia, które strzelając z paszczy potwora zwiastują gromowy ryk. Natychmiast stanęli w dwuszeregu po obu stronach pomostu. W hali zaległa cisza. U wyjścia stanął Imperator.

Z wolna ruszył w dół. Był niski, zgarbiony pod ciężarem lat i zła. Podpierał się sękatą laską i okrywał ciało długą opończą z kapturem, podobną do strojów Jedi, lecz czarną. Na pomarszczonej twarzy pozostało tak niewiele ciała, że sprawiała wrażenie nagiej czaszki. Przenikliwe, żółte oczy zdawały się przepalać na wylot wszystko ku czemu się zwróciły.

Imperator stanął na płycie lądowiska. Komendant Jerjerrod, jego generałowie i Vader uklękli. Najwyższy Władca Ciemności skinął na Yadera.

— Wstań, przyjacielu. Chcę z tobą porozmawiać — rzucił, ruszając wolno wzdłuż szeregu żołnierzy.

Czarny Lord poszedł za swoim panem. Za nimi dworzanie, królewscy gwardziści, Jerjerrod i elitarna gwardia Gwiazdy Śmierci, Wszyscy, choć w różnym stopniu, okazywali strach i szacunek.

Obecnością, bliskością Imperatora Vader czuł się dopełniony. Wprawdzie wewnętrzna pustka nie opuszczała go nigdy, lecz w powodzi blasku zimnego światła władcy stawała się pustką wspaniałą, pustką szlachetną, która może objąć cały wszechświat. I obojmie pewnego dnia... gdy umrze Imperator.

To bowiem było najskrytszym marzeniem Yadera. Kiedy pozna mroczną potęgę tego geniusza zła, wtedy odbierze mu ją, pochwyci i zamknie we własnym wnętrzu to zimne światło... zabije Imperatora, wchłonie jego mrok i zawładnie wszechświatem. Będzie rządził ze swym synem u boku.

To było inne marzenie — odzyskać chłopca, pokazać Luke'owi majestat ciemnej strony Mocy. Wyjaśnić, czemu jest tak potężna, dlaczego słusznie wybrał swą drogę. Wiedział, że Luke za nim pójdzie. Ziarno zostało zasiane. Razem będą władać kosmosem, ojciec i syn.

Marzenie było bliskie spełnienia, Wyczuwał to. Kolejne zdarzenia układały się w pożądaną wzór, gdy sterował nimi z subtelnością Jedi, popychał delikatnie ciemną Mocą.

— Gwiazda Śmierci zostanie ukończona według planu, panie — szepnął.

— Tak, wiem — odparł Imperator. — Dobrze sobie radziłeś, Lordzie Vader, A teraz wyczuwam, że chciałbyś podjąć poszukiwania młodego Skywalkera.

Vader uśmiechnął się pod maską. Imperator zawsze zgadywał, co się dzieje w jego sercu, choć nie domyślał się szczegółów.

— Tak, panie.

— Cierpliwości, przyjacielu — ostrzegł Najwyższy Władca. — Zawsze miałeś kłopoty z cierpliwością. W odpowiednim czasie on sam cię odnajdzie, A wtedy musisz go do mnie przyprowadzić. Jest silny. Tylko razem zdołamy go nawrócić na ciemną stronę Mocy.

— Tak, panie.

Razem złamią charakter chłopca. Ku chwale ciemności. Imperator umrze wkrótce, a choć Galaktyka zadrzy, dotknięta stratą, Vader pozostanie u władzy z młodym Skywalkerem u boku. Tak jak było przeznaczone.

Imperator uniósł odrobinę głowę, badając wzrokiem wszystkie możliwe przyszłości. — Wszystko przebiega tak, jak przewidziałem. On także, jak Vader, miał swoje plany — plany przemocy, miażdżenia ducha, manipulacji istnieniami i przeznaczeniem. Uśmiechnął się do siebie, smakując bliskie już zwycięstwo — zdobycie umysłu młodego Skywalkera.

Luke pozostawił X-skrzydłowca tuż nad wodą i ostrożnie ruszył przez trzęsawisko. Wokół unosiła się kłębamii gęsta mgła — opary dżungli. Niezwykłe owady wyfrunęły z płataniny zwisających lian, zaroily się wokół głowy i odleciały. Wśród traw coś nagle zawarczało, Luke skoncentrował się. Warkot ucichł. Chłopiec szedł dalej,

Żywił ambiwalentne uczucia dla tej planety. Dago-bah, miejsce prób i szkolenia. Tu stał się Jedi, tu w pełni opanował Moc, pozwalał, by popłynęła przez niego ku celowi, na jaki ją kierował. Tu zrozumiał potrzebę ostrożności, niezbędną dla prawidłowego wykorzystywania Mocy. Proces przypominał spacer po świetlnym promieniu; lecz dla Jedi promień był równie pewny, jak kamienna podłoga.

W bagnie czaiły się niebezpieczne stwory, lecz dla Jedi żaden nie był z gruntu zły. Czekały żarłoczne ruchome piaski, niby spokojne kałuże, z lian zwisały macki. Luke poznał wszystko; bestie stały się częścią żywej planety, zespolonej z Mocą, której i on był tylko jasnym impulsem,

Były tu również cienie, niewyobrażalnie ciemne odbicia mrocznych zakątków jego duszy. Widział je, uciekał przed nimi, czasem stawiał im czoła, walczył. Niektóre nawet pokonał.

Niektóre jednak pozostały.

Wyminął barykadę ze splątanych, śliskich od mchu korzeni. Za nią gładka, wygodna ścieżka prowadziła w pożądanym kierunku. Luke nie wkroczył na nią, lecz na powrót zagłębił się w zarośla.

Coś czarnego i trzepoczącego nadleciało z wysoka i skręciło w bok. Luke nie zwrócił na to uwagi. Po prostu szedł dalej.

Dżungla przerzedziła się. Za kolejnym mokradłem dostrzegł cel wędrówki — niewielką chatkę o niezwykłym kształcie. Ciepłe, żółte światło padało przez małe okienka w mrok nasączonego deszczem lasu. Wyminął błotnistą kałużę, i pochylony nisko, wszedł do domku.

Yoda stał uśmiechnięty na środku izby, ściskając zielonymi palcami laskę.

— Czekałem na ciebie — skinął głową na powitanie i wskazał gościowi miejsce w kącie.

Luke był zaskoczony. Yoda stał się delikatny. Dłoń mu drżała, mówił słabym głosem. Chłopiec bał się odezwać, by nie zdradzić, jak bardzo zaszokował go wygląd starego Mistrza.

— Dziwne robisz miny — Yoda zmarszczył brwi.

— Czyżbym w młodych oczach tak fatalne wrażenie sprawiał?

Luke próbował ukryć pełne litości spojrzenie. Odwrócił się, skulił i wcisnął w kąt,

—Nie, Mistrzu... oczywiście, że nie.

— Owszem, sprawiam! — maleńki Mistrz Jedi zachichotał radośnie. — Chorowity się stałem. Stary i słaby

— wyciągnął koślawy palec w stronę swego ucznia.

— Kiedy dziewięciuset lat dożyjesz, tak dobrze wyglądać nie będziesz — pokuśtykał do łóżka i wciąż chichocząc, położył się z trudem.

—Wkrótce odpocznę. Tak, zasnę na zawsze, Zasłużyłem sobie. Na pewno.

— Nie możesz umrzeć, Mistrzu Yodo — Luke pokręcił głową. — Nie pozwolę ci.

—Dobrze przeszkolony i silny Mocą jesteś... ale nie aż tak silny! Zmierzch mnie ogarnął i niedługo noc nastanie. Takie jest prawo. Taka jest droga Mocy,

—Jesteś mi potrzebny! — nie ustępował Luke. — Chcę dokończyć szkolenia,

Nauczyciel nie mógł go teraz opuścić — zbyt wiele pozostało jeszcze do zrozumienia. Tak wiele od niego otrzymał, nic nie dając w zamian. Czy nigdy nie zdoła mu odpłacić?

— Szkolenia więcej nie potrzebujesz — zapewnił Yoda, — Wszystko wiesz, czego potrzebujesz.

— Więc jestem Jedi?

Nie, wiedział, że jeszcze nie. Nie do końca. Czegoś brakowało. Yoda skrzywił pooraną zmarszczkami twarz.

— Nie. Jedno ci pozostało: Vader. Z Vaderem spotkać się musisz. Wtedy, i tylko wtedy w pełni Jedi zostaniesz. I spotkasz go, wcześniej czy później.

Luke wiedział, że będzie to ostatnia próba. Tak musiało się stać. Każde poszukiwanie miało swój cel, a osoba Vadera była nierozdzielnie powiązana z jego losem. Zadanie kluczowego pytania sprawiało ból, ale po długiej chwili milczenia chłopiec odezwał się znowu,

—Mistrzu Yodo... czy Darth Vader jest moim ojcem?

W oczach starego Jedi błysnęło współczucie — ten młodzik nie był jeszcze mężczyzną.

— Odpoczynku potrzebuję — szepnął z uśmiechem tak smutnym, że zdawało się, iż zmalął na łożu, — Odpoczynku.

Luke spoglądał na swego mistrza, mocą swej miłości i woli próbując dodać mu sił.

— Yodo, muszę to wiedzieć.

— Twoim ojcem jest — odparł z prostotą Yoda. Luke zamknął oczy, usta i serce, by nie uznać faktu, o którym wiedział, że jest prawdziwy.

— Powiedział ci, prawda? — spytał Yoda. Chłopiec kiwnął głową. Milczał. Chciałby zatrzymać tę chwilę, zachować ją tutaj, zamknąć w tej izbie przestrzeń i czas, by nie zdołały umknąć i ponieść reszcie wszechświata straszliwej wiedzy, bezlitosnej prawdy. Yoda spoglądał na niego z troską.

— Nieoczekiwany to i nieszczęśliwy przypadek,...

— Nieszczęśliwy, bo poznałem prawdę? — w głosie chłopca zabrzmiała gorycz. Nie wiedział, czy ma żal do Vadera, Yody, do siebie czy do wszechświata w całości.

Yoda uniósł się z wysiłkiem, który pochłonał resztki jego energii,

—Nieszczęśliwy, ponieważ stanąłeś przed nim... ponieważ niekompletne szkolenie twoje było... a ty nieprzygotowany, by ten ciężar ponieść, Obi-wan powiedziałby ci już dawno, gdybym mu pozwolił. Teraz wielką słabość w sobie niesiesz. Lęk o siebie czuję. Lęk, tak.

Opuściły go siły. Przymknął oczy.

— Przepraszam, Mistrzu Yodo — Luke drżał widząc potężnego Jedi w takim stanie.

— Wiem, ale Vadera jeszcze raz spotkać musisz i przeprosiny nie pomogą — pochylił się i skinął na chłopca. Luke podszedł i usiadł na łożu Mistrza. Głos Yody był coraz słabszy. — Pamiętaj, siła Jedi pochodzi od Mocy, Kiedy ratowałeś przyjaciół, miałeś w sercu zemstę. Strzeż się gniewu, strachu i agresji. Ciemną stroną są one. Płyną lekko, szybko stają w walce obok ciebie. Ciemna ścieżka, gdy raz tylko na niej staniesz, na zawsze zdominuje twoje przeznaczenie.

Położył się oddychając płytko. Luke stał nieporuszony. Bał się choćby drgnąć, by nie odwrócić uwagi starca od sprawy utrzymywania Mocy na odległość wyciągniętej ręki.

Po kilku minutach Yoda raz jeszcze otworzył oczy. Uśmiechnął się z najwyższym wysiłkiem. Jedynie moc ducha utrzymywała przy życiu sterane ciało,

—Luke... Imperatora strzec się musisz. Jest potężny. Uważaj, by los ojca i ciebie nie spotkał. Kiedy odejdę, ty... ostatnim Jedi zostaniesz. Moc jest silna w twojej rodzinie. Przekaż... czego się... nauczyłeś

— głos słabł. Starzec zamknął oczy. — Jest... jeszcze... jeden...

Wstrzymał na chwilę oddech, a gdy wypuścił powietrze, jego duch odpląnął niby letni wiatr wiejący ku innym niebiosom. Ciało zadrżało krótko i zniknęło.

Ponad godzinę siedział Luke obok małego, pustego łóżka, próbując pojąć głębię straty. Nie potrafił.

Pierwszym uczuciem była bezgraniczna rozpacz

— nad sobą i nad wszechświatem. Jak ktoś taki jak Yoda mógł odejść na zawsze? Chłopiec miał wrażenie, że czarna, bezdenna otchłań pochłania tę część jego serca, w której żył stary Mistrz Jedi.

Luke przeżył już śmierć nauczycieli. Było to zawsze nieskończenie smutne i nieodmiennie stawało się etapem dorastania. Czy na tym polega dojrzewanie? Kiedy musi patrzeć, jak dawni przyjaciele starzeją się i odchodzą? Czy żegnanie ich ma dodać mu siły i rozwagi?

Ciężar bezradności przygniatał. Światła w małym domku zamigotały i zgasły, a on siedział jeszcze przez chwilę czując, że to już koniec wszystkiego, że tak samo zamigotały i zgasły wszystkie światła wszechświata. Ostatni Jedi trwał zamyślony wśród mokradeł, podczas gdy Galaktyka szykowała się do ostatecznej bitwy.

Ogarnął go chłód, zakłócając pustkę, w którą zapadł umysł. Luke zadrżał, spojrzał wokół siebie. Mrok był nieprzenikniony.

Schyłony wyszedł na zewnątrz i wyprostował się. Tu, na bagnach, nic nie uległo zmianie. Skroplone opary ściekały z nagich korzeni w błoto w powtarzanym milion razy cyklu, który miał trwać po wieczność. Może to właśnie miało być dla niego lekcją... jeśli tak, nie poprawiło nastroju.

Bezwiednie wrócił do statku, Erdwa popiskując wybiegł mu na spotkanie. Smutny Luke zignorował wiernego robota, który zrozumiał stan ducha swego pana. Wybuczał więc tylko krótkie kondolencje i zapadł w pełne szacunku milczenie.

Luke usiadł ponuro na jakimś pniu i wsparł głowę na rękach.

— Nie potrafię — szepnął do siebie. — Nie mogę iść dalej sam. Z kłębow mgły nadpłynął znajomy głos.

— Yoda i ja zawsze będziemy przy tobie. To był głos Bena. Luke spojrzał za siebie i zobaczył świetlistą postać Obi-wana Kenobiego.

— Ben! — szepnął. Tak wiele chciał powiedzieć i wszystko to kłębiło się w jego myślach niby szczątki rozbitego przez maelstrom statku. Jedno pytanie szybko wyparło wszelkie inne sprawy, — Dlaczego, Ben? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nie pytał z pustej ciekawości.

— Chciałem ci powiedzieć, kiedy zakończysz szkolenie — odparło widmo Bena. — Ale uznałeś za konieczne, by uciec stąd bez należytego przygotowania. Ostrzegałem cię przed niecierpliwością.

Głos-był taki, jak dawniej. Brzmiały w nim nuty wymówki i nuty miłości.

— Mówiłeś, że Darth Vader zdradził i zamordował mojego ojca — cała gorycz, jaką odczuwał podcs rozmowy z Yoda, teraz skoncentrowała się na Benie.

Obi-wan spokojnie przyjął wyrzut.

— Twój ojciec, Anakin, został skuszony ciemną stroną Mocy — wyjaśnił, — Przestał być Anakinem Skywalkerem, a stał się Darthem Yaderem. Gdy to nastąpiło, zdradził wszystko, w co wierzył Anakin Skywalker. Dobry człowiek, który był twoim ojcem, zginął. Zatem to, co ci mówiłem, jest prawdą... z pewnego punktu widzenia.

— Pewien punkt widzenia! — parsknął pogardliwie Luke. Czuł się zdradzony — bardziej przez samo życie niż przez kogokolwiek innego. Niestety, jedynie biedny Ben mógł wziąć na siebie impet wewnętrznego konfliktu.

— Luke — odezwał się łagodnie Kenobi. — Sam zobaczysz, że wiele prawd, w które wierzymy, zależy jedynie od punktu naszego widzenia.

Chłopiec milczał. Pragnął zachować swój gniew, strzec go jak skarbu. Nic więcej mu nie pozostało, więc nie pozwolił go sobie odebrać, jak ukradziono wszystko inne. Czuł jednak, jak złość opada, słabnie pod tchnieniem współczucia Bena.

— Nie winie cię, że się złościsz. Jeśli podjąłem błędną decyzję, to z pewnością nie pierwszy raz. Widzisz, to, co spotkało twojego ojca, nastąpiło z mojej winy,..

Luke z nagłym zaciekawieniem podniósł głowę. To było coś nowego. Gniew zmieniał się szybko w zainteresowanie i fascynację — wiedza była jak narkotyk: im więcej jej zdobywał, tym większe odczuwał pragnienie.

Siedział na pniu i słuchał. Erdwa przysunął się bliżej, by swoim towarzystwem dodać mu otuchy.

— Kiedy po raz pierwszy spotkałem twojego ojca

— mówił Ben — był już znakomitym pilotem. Zaskoczyło mnie, jak silna była w nim Moc.

Postanowiłem osobiście wyszkolić Anakina na sposób Jedi. Błędnie uznałem, że jestem równie

dobrym nauczycielem jak Yoda. Nie byłem. To tylko pycha przemawiała przeze mnie. Imperator wyczuł potęgę Anakina i zwabił go na ciemną stronę — przerwał. Spojrzał prosto w oczy chłopca, jakby prosił o przebaczenie.

— Galaktyka straszliwie ucierpiała z powodu mojej pychy.

Luke doznał szoku. To potworne, że zarozumiałość Obi-wana mogła spowodować upadek ojca. Potworne, ponieważ ojciec nie musiał stać się tym, kim jest w tej chwili, i potworne, gdyż Obi-wan nie był doskonały, nie był nawet doskonałym Jedi, i potworne, że ciemna strona uderzyła tak blisko, z taką łatwością zmieniła dobro na zło. W duszy Dartha Vadera z pewnością tli się jeszcze isierka Anakina Skywalkera.

— Jest w nim jeszcze dobro — oznajmił.

— Też miałem nadzieję, że potrafi wrócić do jasnej strony Mocy. — Ben z żalem potrząsnął głową. — To niemożliwe. Jest teraz bardziej maszyną niż człowiekiem. .. zwichrowaną i złą.

Luke dostrzegł ukryte znaczenie słów Bena; zabrzmiały w jego duszy jak rozkaz. Otrząsnął się, przerażony tą wizją,

— Nie mogę zabić własnego ojca.

— Nie myśl o tej maszynie jak o ojcu — przemówił znowu dawny nauczyciel. — Kiedy zobaczyłem, kim się stał, próbowałem go przekonać, zawrócić na jasną stronę. Walczyliśmy. Twój ojciec runął w jezioro lawy. A kiedy wypełził z tej ogniowej kąpieli, przemiana była w nim wypalona na zawsze. To Darth Vader, bez najmniejszego śladu po Anakinie Skywalkerze. Nieodwracalnie mroczny, Naznaczony. Utrzymywany-przy życiu jedynie maszyną i własną, ciemną wolą...

Luke spojrzął na własną mechaniczną dłoń.

— Raz już próbowałem go powstrzymać. Nie potrafiłem.

Nie wyzwie po raz drugi własnego ojca. Nie zdoła.

— Vader poniżył cię przy pierwszym spotkaniu... ale to przeżycie było częścią szkolenia. Dzięki niemu poznałeś, między innymi, wartość cierpliwości. Gdybyś nie próbował wtedy pokonać Vadera, mógłbyś dokończyć szkolenia u Yody. Byłbyś przygotowany.

— Musiałem pomóc przyjaciółom.

— I pomogłeś im? To oni musieli cię ratować. Obawiam się, że niewiele zyskałeś przedwczesnym atakiem,

Oburzenie chłopca zniknęło, pozostawiając jedynie smutek.

— Dowiedziałem się, że Darth Vader jest moim ojcem — szepnął.

— By zostać Jedi, Luke, musisz stanąć naprzeciw ciemnej strony Mocy i przejść przez nią dalej. Twój ojciec tego nie potrafił. Niecierpliwość jest najprostszą ścieżką, dla ciebie i dla niego. Tyle że jego skusiło to, co znalazł na końcu tej ścieżki. Ty wytrwałeś. Nie jesteś już taki lekkomyślny. Jesteś silny i cierpliwy. Jesteś gotów do ostatniej próby.

Luke pojmował sens przemowy starego Jedi. Raz jeszcze pokręcił głową.

— Nie mogę, Ben.

Obi-wan zgarbił się pod ciężarem porażki.

— Zatem Imperator już zwyciężył. Byłeś naszą jedyną nadzieją.

Chłopiec gorączkowo poszukiwał innych rozwiązań.

— Yoda mówił, że mogę wyszkolić kogoś, by...

— Ten ktoś to twoja bliźniacza siostra. Zniszczenie Vadera nie będzie dla niej łatwiejsze, niż dla ciebie.

Informacja wyraźnie wzburzyła chłopca. Wstał, by spojrzeć duchowi w oczy.

— Siostra? Nie mam żadnej siostry, Obi-wan przemówił łagodnie, starając się uspokoić wir uczuć szalejących w duszy młodego przyjaciela.

— Dla uratowania przed Imperatorem zostaliście rozdzieleni zaraz po urodzeniu. On wiedział, tak samo jak ja, że mając Moc po swojej stronie potomstwo Skywalkera pewnego dnia mu zagrozi. Z tego powodu twoja siostra zachowała bezpieczną anonimowość.

Z początku Luke nie chciał uwierzyć. Nie chciał i nie potrzebował rodzeństwa. Był wyjątkowy! Niczego mu nie brakowało... z wyjątkiem dłoni, której mechaniczną protezę zacisnął teraz w pięść. Pionek w pałacowej intrydze? Pomieszane kołyski, dzieci zamienione i rozdzielone, by prowadzić osobne, tajemnicze życie? Niemożliwe, Przecież wiedział, kim jest! Luke Skywalker, syn Lorda Sith, wyszkolonego na Jedi, wychowany na piaskowej farmie na Tatooine przez wujka Owena i ciocię Beru, przygotowany do spokojnego życia pracowitego, uczciwego biedaka — ponieważ matka... jego matka,.. Co z matką? Co mówiła, kim była? Co mu powiedziała?

Zwrócił swe myśli do wnętrza, ku miejscu i chwili dalekiej od wilgotnych bagien Dagobah, do komnaty matki i... siostry. Jego siostry...

— Leia! Leia jest moją siostrą! — zawołał. Niewiele brakowało, by przewrócił się o pień drzewa.

— Intuicja wystawia ci dobre świadectwo — skinął głową Ben, Zaraz jednak spoważniał. — Ukryj swe uczucia jak najgłębiej, Luke, Możesz być z nich dumny, lecz Imperator potrafi je wykorzystać.

Luke nie do końca pojmował, o czym mówi nauczyciel. Tak wiele informacji, tak nagle, tak ważnych... Niemal tracił zmysły.

— Kiedy twój ojciec odszedł — mówił dalej Ben — nie podejrzewał, że matka jest w ciąży. I ona, i ja wiedzieliśmy, że wkrótce to odkryje. Chcieliśmy jednak zapewnić wam bezpieczeństwo na możliwie długi okres. Dlatego przewiozłem cię na Tatooine i oddałem swojemu bratu, Owenowi,.. a twoja matka zabrała Leię na Alderaan, gdzie żyła jako córka senatora Organy.

Luke usiadł, a Erdwa stał obok i mrucał uspokajająco w niesłyszalnym paśmie. Ben mówił cicho, by przynajmniej głos, jeśli nie słowa, niósł ukojenie.

— Rodzina Organa pochodziła z arystokracji i miała szerokie wpływy polityczne w systemie. Leia została księżniczką, Nikt przecież nie wiedział, że jest adoptowanym dzieckiem. Zresztą, był to tytuł bez żadnego znaczenia, gdyż na Alderaan od bardzo dawna panowały demokratyczne rządy. Mimo to rodzina zachowała swe wpływy, a Leia poszła w ślady przybranego ojca i także została senatorem. Naturalnie, nie tylko. Została też szefem komórki Sprzymierzenia. A że chronił ją immunitet dyplomatyczny, była ważnym ogniwem łańcucha informacyjnego. Właśnie przenosiła wiadomość, gdy jej droga życia przecięła twoją; rodzice kazali jej szukać kontaktu ze mną na Tatooine, gdyby sytuacja stała się rozpaczliwa.

Luke usiłował uporządkować swe uczucia. Miłość, jaką żywił dla Lei, nawet z daleka, teraz znalazła wyraźną przyczynę. Nagle jednak poczuł się opiekuńczy, jak starszy brat, chociaż mógł przecież być młodszy o kilka minut.

— Nie możesz pozwolić, żeby się w to wszystko mieszała — powiedział. — Vader ją zniszczy.

Vader. Ich ojciec. Może Leia zdoła wskrzesić w nim dobro.

— Nie została przeszkolona na sposób Jedi, Luke, Lecz Moc jest w niej silna. Zawsze była w waszej rodzinie. Dlatego nasze ścieżki skrzyżowały się — ponieważ jej Moc musi być pielęgnowana przez Jedi. A teraz ty jesteś ostatnim Jedi, Luke. Ona jednak wróciła do nas... do mnie... by się uczyć i dojrzewać, Jej przeznaczeniem jest uczyć się i dojrzewać, A moim — nauczać,

Mówił wolniej, ważąc każde słowo, akcentując każdą frazę.

— Nie umkniesz przed przeznaczeniem, Luke

— spojrzał chłopcu w oczy, przekazując wzrokiem tyle siły woli, ile potrafił. Chciał, by na zawsze odcisnęła się w jego duszy. — Nie zdradź tożsamości swej siostry. Jeśli zawiedziesz, ona będzie naszą naprawdę ostatnią szansą. Popatrz mi w oczy, Luke. Walka, która cię czeka, jest wyłącznie twoją walką, lecz wiele zależy od jej wyniku, Może spojrzenie w głąb mojej pamięci doda ci sił. Nie zdołasz uniknąć starcia, gdyż nie unikniesz przeznaczenia, Raz jeszcze będziesz musiał stanąć twarzą w twarz z Yaderem...

IV

Darth Vader opuścił wąską, cylindryczną kabinę windy i znalazł się w pomieszczeniu, pełniącym do niedawna funkcje sterowni Gwiazdy Śmierci, przekształconym teraz w salę tronową Imperatora. Dwaj gwardziści przy wejściu byli od stóp do głów okryci czerwienią, czerwone hełmy zasłaniały im twarze z wyjątkiem szczelin wizjerów, będących w istocie elektronicznymi ekranami. Zawsze trzymali broń w pogotowiu.

W sali panował mrok. Płonęły jedynie światłowody biegnące po obu stronach szybu windy, przenoszące energię i informacje do wszystkich zakątków stacji bojowej. Vader pomaszerował po gładkiej, metalowej podłodze, obok mrujących cicho, olbrzymich konwertorów, potem po kilku stopniach na platformę, gdzie stał tron. Poniżej, z prawej strony, otwierał się wylot szybu prowadzącego w głąb stacji, do samego rdzenia układu energetycznego. Z ciemnego otworu dolatywał zapach ozonu i niski, głuchy pomruk.

Na krańcu platformy, w ścianie, umieszczono duży, okrągły ekran wizyjny. Tam, w skomplikowanym fotelu sterowniczym, wpatrzony w przestrzeń siedział Imperator.

Tuż za oknem widoczna była nie dokończona część Gwiazdy Śmierci. Promy i pojazdy transportowe roily się dookoła, ludzie w skafandrach, z plecakami raketowymi, pracowali na powierzchni lub przy urządzeniach zewnętrznych. Poza granicą ich działań, na pozór całkiem blisko, lśnił szafirowozielony księżyc En-dor, niby klejnot na czarnym aksamicie kosmosu, Dalej, rozproszone w nieskończoności, połyskiwały brylanty gwiazd.

Imperator podziwiał ten widok, gdy Vader zbliżył się, przyklęknął i czekał. Imperator pozwolił mu czekać. Zapatrzone w oszalamiającą ogromem wizję, odczuwał dumę przekraczającą wszelkie granice — to wszystko należało do niego. Co więcej, zdobył to osobiście.

Nie zawsze tak było. Kiedyś, kiedy był jeszcze zwykłym senatorem Palpatine, w Galaktyce panowała Republika Gwiazd, chroniona i wspomagana przez Zakon Rycerzy Jedi, którzy od wieków pełnili swą służbę. Nieuchronnie jednak Republika przerosła samą siebie. Wymagała zbyt potężnej biurokracji. Zaczęła się szerzyć korupcja.

Kilku chciwych senatorów zapoczątkowało reakcję łańcuchową. Niektórzy mówili: kto mógł to przewidzieć? Kilku zdeprawowanych, aroganckich, egoistycznych biurokratów... i nagle zaraza ogarnęła gwiazdy. Gubernator zwalczał gubernatora, następowała erozja wartości, łamano układy... W tamtych latach strach szerzył się niby epidemia, gwałtownie i bez wyraźnych przyczyn. Nikt nie wiedział, co się dzieje i dlaczego.

Senator Palpatine wyczuł odpowiedni moment. Oszustwem, obietnicami i chytrą manipulacją polityczną skłonił Radę, by wybrała go na Przewodniczącego. Wtedy, wykorzystując podstęp, przekupstwo i terror, ogłosił się Imperatorem.

Imperator. Brzmiało to niezłe. Republika legła w gruzach, a Imperium świeciło własnym blaskiem, i tak miało być już zawsze — gdyż Imperator wiedział to, w co inni nie chcieli uwierzyć: że najpotężniejsze są siły ciemności.

W głębi serca wiedział o tym zawsze, codziennie jednak przekonywał się na nowo: dzięki oficerom,

którzy donosili na swoich przełożonych, by zyskać przychylność władcy; dzięki pozbawionym zasad urzędnikom, zdradzającym tajemnice rządów gwiazdnych systemów; dzięki chciwej arystokracji, sadystycznym gangsterom i żądnym władzy politykom. Nikt nie potrafił się oprzeć, wszyscy chłonili ciemną Moc u samego źródła. Imperator po prostu dostrzegł tę prawdę i wykorzystał ją — naturalnie dla budowania własnej wielkości.

Ponieważ jego dusza była ciemnym ośrodkiem Imperium.

Podziwiał nieprzeniknioną czerń kosmosu za oknem. Czarny jak jego myśli... jakby on sam był w jakiś sposób tą czernią, jakby jego duch wypełniał pustkę, którą władał. Uśmiechnął się na tę myśl: on sam był Imperium, był wszechświatem.

Za jego plecami klęczał Vader. Jak dawno temu przybył Czarny Lord? Pięć minut? Dziesięć? Nieważne. Imperator nie zakończył jeszcze medytacji.

Yadera nie irytowało długie oczekiwanie. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. To wielki zaszczyt i szlachetne zajęcie: klęczeć u stóp władcy. Wpatrywał się we własne wnętrze, szukając odbicia bezdennej otchłani duszy. Dysponował wielką potęgą, większą niż kiedykolwiek. Moc migotała z głębi, rezonując z falami ciemności płynącymi od Imperatora. Moc pochłaniała go, płonęła jak czarny ogień, jak elektroniczny demon szukający ofiary... ale zaczeka. Imperator nie był jeszcze gotów; jego syn nie był gotów i nie nadeszła właściwa chwila. Czekał więc.

Wreszcie fotel obrócił się wolno i Imperator spojrział na swego sługę.

Czarny Lord przemówił pierwszy.

— Czego sobie życzysz, panie?

— Odeślij flotę na drugą stronę Endoru. Niech tam oczekuje wezwania.

— A co z raportami i koncentracji sił Rebeliantów w pobliżu Sullusta?

— To bez znaczenia. Wkrótce Rebelia zostanie zmiażdżona, a młody Skywalker będzie jednym z nas. Twoja praca tutaj dobiegła końca, przyjacielu. Wracaj na statek dowodzenia i czekaj na rozkazy.

— Tak, panie — miał nadzieję, że osobiście pokieruje zniszczeniem buntowników. Miał nadzieję, że już niedługo.

Powstał i oddalił się, a Imperator wrócił do panoramy Galaktyki na ekranie, Lubiał podziwiać swoje włości.

W odległej, czarnej pustce poza krańcem Galaktyki czekała powstańcza flota. Ludzki wzrok nie sięgał od straży przedniej do ostatnich jednostek. Kore-liańskie okręty, niszczyciele, bazy i bombowce, sal-lustiańskie frachtowce, kalamariańskie tankowce, alderaaniańskie okręty szturmowe, kesseliańskie łama-cze blokady, bestiniańskie skoczki, X-skrzydłowe, Y-skrzydłowe i A-skrzydłowe myśliwce, promy, statki transportowe i eskortujące. Wszyscy Powstańcy Galaktyki, żołnierze i cywile, czekali w napięciu na rozkazy. Na czele floty znalazł się największy z powstańczych Gwiezdnym Krążowników, „Fregata Sztabowa”.

Setki oficerów Powstania, reprezentujących wszelkie gatunki i formy życia, zebrały się w centralnej hali gigantycznego Gwiezdnego Krążownika, by czekać na rozkazy dowództwa. Krążyły najrozmaitsze pogłoski, a atmosfera napięcia udzielała się kolejnym oddziałom.

W samym centrum sali stała duża, kolistą platforma, nad którą unosił się holograficzny obraz nie dokończony Gwiazdy Śmierci zawieszony obok księżycy Endor, Migotliwe pole ochronne deflektora spowijało oba obiekty.

Na salę wkroczyła Mon Mothma. Stateczna i piękna kobieta w średnim wieku zdawała się sunąć ponad tłumem. Ubrana w białą suknię ze złoceniami, surowa i poważna, została wybrana przywódcą Powstańczego Sprzymierzenia.

Jak przybrany ojciec Lei, jak sam Imperator Palpatine, była senatorem Republiki i członkiem Rady Najwyższej. Gdy Republika rozsypywała się w gruzy, Mon Mothma do końca pozostała na stanowisku, łagodząc spory i stabilizując coraz bardziej nieefektywny rząd,

W końcowym okresie zakładała także komórki ruchu oporu, załączki buntu, nie wiedzące o sobie nawzajem. Każda z nich przyczyniła się do wybuchu Powstania, gdy Imperium w końcu zrzuciło maskę.

Byli też inni przywódcy, wielu jednak poległo, gdy pierwsza Gwiazda Śmierci zniszczyła planetę Alderaan. Przybrany ojciec Lei zginął w tej masakrze,

Mon Mothma zeszła do podziemia. Połączyła swe komórki ruchu oporu z tysiącami partyzantów i buntowników, jakich zrodziła okrutna dyktatura Imperium. Kolejne tysiące stanęły w szeregach Powstańczego Sprzymierzenia. Mon Mothma stała się powszechnie uznawanym przywódcą wszystkich istot, które Imperator pozbawił domu. Byli bezdomni, mieli jednak nadzieję.

Przeszła przez salę i wspięła się na platformę pod holograficznym obrazem. Zamieniła kilka słów z dwójką głównych doradców, generałem Madine i admirałem Ackbarem. Madine był Korelianinem — twardy i pomysłowy, choć czasem przesadnie pedantyczny. Ackbar, czystej krwi Kalamarianin, był łagodną istotą o łososiowej skórze, smutnych oczach osadzonych po bokach wysoko sklepionej głowy i zrosniętych błoną palcach. Lepiej czułby się w wodzie lub w przestrzeni, niż na pokładzie. Jeśli jednak ludzie tworzyli ramię Powstania, to Kalamarianie byli jego duszą. Nie oznacza to, naturalnie, że doprowadzeni do granic wytrzymałości nie potrafili stanąć ramię w ramię z najdzielniejszymi. Przestępcze Imperium osiągnęło te granice.

Lando Calrissian przeciskał się przez tłum i pilnie obserwował twarze. Zauważył Wedge'a, który był pilotem w jego skrzydle. Kiwnęli do siebie głowami, wystawili w górę kciuki; Lando poszedł dalej. To nie Wedge'a wypatrywał. Dotarł do wolnej przestrzeni w środku sali, rozejrzał się i w końcu dostrzegł przy drzwiach grupkę przyjaciół. Podeszedł z uśmiechem.

Han, Chewie, Leia i dwa roboty powitali go nierównym chórem krzyków, śmiechów, pisków i warknięć.

—Popatrzcie tylko! — zakpił Han, przyglądając kłapy nowego munduru Calrissiana i przecierając insygnia. — Generał!

— Jestem człowiekiem o wielu twarzach i wielu kostiumach — roześmiał się Lando, — Ktoś musiał im opowiedzieć o moim drobnym manewrze w bitwie o Taanab.

Taanab był rolniczą planetą, regularnie grabioną przez bandytów z Norulac. Calrissian — zanim jeszcze wybrał karierę gubernatora Miasta Chmur — wbrew wszelkim przewidywaniom rozbił bandytów w proch, wykorzystując legendarną później sztukę pilotażu i strategię, o jakiej nikt wcześniej nie słyszał. A dokonał tego z powodu zakładu.

Han wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— Nie patrz tak na mnie. Ja tylko powiedziałem, że jesteś niezłym pilotem. Nie miałem pojęcia, że szukają kogoś, kto poprowadzi ten wariacki atak,

— Nie ma sprawy. Sam poprosiłem. Chcę dowodzić tą akcją.

Lubił ubierać się jak generał. Ludzie okazywali mu wtedy należyty szacunek. Mógł dać się we znaki tym nadętym ropuchom Imperium. I jeszcze coś — w końcu dokopie tej ich flocie, i to

mocno, żeby ich zabolalo. Za te wszystkie razy, kiedy sam oberwał. Dokopie im i zostawi podpis: generał Calrissian, do usług.

Solo spojrzal na starego przyjaciela z podziwem i niedowierzaniem równocześnie.

— Widziałeś kiedy Gwiazdę Śmierci? Niedługo ponosisz generalskie szlify, chłopie.

— Dziwię się, że nie poprosili ciebie — mruknął z uśmiechem Lando.

— Może i poprosili — przyznał Han. — Ale nie zwariowałem. Zresztą, to ty jesteś szacownym człowiekiem, nie pamiętasz? Baron-Administrator Miasta Chmur Bepin,

Leia podeszła bliżej i ujęła Solo pod rękę,

— Han zostanie ze mną na okręcie dowodzenia

— oświadczyła. — Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za to, co robisz, Lando. I dumni z ciebie.

Na środku sali Mon Mothma skinęła ręką, by zwrócić na siebie uwagę. Natychmiast zapadła cisza. Wszyscy czekali niecierpliwie.

— Dane dostarczone przez bothańskich szpiegów zostały potwierdzone — oznajmiła przywódczyni,

— Imperator popełnił brzemienne w skutki błąd. Nadeszła pora, by zaatakować,

W sali wybuchł gwar. Jakby ta wiadomość wyrwała zawór emocji, Sypnęły się rozgorączkowane komentarze. Mothma wskazała hologram Gwiazdy Śmierci i mówiła dalej.

— Znamy już dokładną pozycję nowej stacji bojowej Imperatora, Systemy uzbrojenia Gwiazdy Śmierci

jeszcze nie funkcjonują. Flota Imperium rozproszona jest po całej Galaktyce w bezowocnych wysiłkach związania nas walką. Dlatego stacja jest praktycznie pozbawiona ochrony — przerwała na chwilę, by następna wiadomość wywarła odpowiednie wrażenie.

— Co najważniejsze, dowiedzieliśmy się, że sam Imperator osobiście nadzoruje budowę.

Rozległ się chór podnieconych okrzyków, To było to. Szansa. Możliwość, w którą nikt nie wierzył. Imperator na tarczy.

— Przedsięwziętę tę wyprawę w absolutnej tajemnicy — podjęła Mon Mothma, gdy gwar nieco przycichł.

— Nie docenił jednak naszej siatki wywiadowczej, Wielu Bothan zginęło, by przekazać tę wiadomość.

Spoważniała, a jej głos zabrzmiał surowo, by przypomnieć wszystkim o cenie, jaką zapłacili.

Wystąpił admirał Ackbar. Był specjalistą w sprawach obronności Imperium. Uniósł płetwę, wskazując holo-graficzny model pola siłowego, emanującego z Endoru.

— Choć nie ukończona, Gwiazda Śmierci nie jest pozbawiona systemów ochrony — oznajmił z miękkim, kalamariańskim akcentem. — Ośłania ją pole energetyczne, generowane na pobliskim księżycu Endor, o tu. Żaden statek nie zdoła przez nie przelecieć, żadna broń go nie przebije.

Przerwał. Chciał, by dobrze pojęli jego słowa. Gdy uznał, że to nastąpiło, zaczął znowu, wolniej.

— Zanim nastąpi jakikolwiek atak, należy zdezaktywować to pole. Gdy zniknie, krążowniki ustawią zaporę, a myśliwce wleczą do wnętrza konstrukcji, tędy

— wskazał nie dokończony fragment Gwiazdy Śmierci

— i spróbują trafić główny reaktor. Gdzieś tutaj. Kolejny pomruk ogarnął salę niby fala przyływu,

— Generał Calrissian będzie dowodził atakiem myśliwców — zakończył Ackbar.

Han spojrzal na Lando z powątpiewaniem, ale i szacunkiem.

— Życzę ci szczęścia, stary.

— Dzięki.

— Przyda ci się.

Admirał Ackbar ustąpił miejsca generałowi Madi-ne, kierującemu tajnymi operacjami.

— Zdobyliśmy niewielki prom imperialny — oświadczył ze skrywaną dumą Madine. — Za jego pomocą grupa uderzeniowa wylądowała na księżycu, by unieruchomić generator pola. Bunkier kontrolny jest dobrze strzeżony, ale niewielki oddział powinien przedrzeć się przez ochronę.

Ta wiadomość wywołała kolejną falę pomruków.

— Ciekawe, kogo znaleźli do tej roboty? — spytała cicho Leia.

— Generale Solo — zawołał Madine. — Czy zebrał pan już swoją grupę?

Leia spojrzała na Hana; zdumienie szybko ustąpiło miejsca radosnemu zachwytowi, Wiedziała, że nie bez powodu go kocha — mimo typowego braku wycucia i skłonności do niemądrej brawury. Poza tym wszystkim miał jeszcze serce.

Zresztą, karbonadyzacja naprawdę go odmieniła. Przestał być samotnikiem, nie pracował tylko dla pieniędzy, Stracił swój egoizm i "niezauważalnie stał się częścią większej całości. Teraz rzeczywiście robił coś dla kogoś, a Leia uznała ten fakt za wzruszający. Madine nazwał go generałem, a więc Han formalnie wstał do armii. Był częścią ruchu.

— Moja grupa jest gotowa, sir — odpowiedział Solo. — Potrzebuję jeszcze załogi promu — spojrzał pytająco na Chewbaccę i dodał ciszej: — Będzie ciężko. Nie chciałem decydować za ciebie.

— Ruu ruuwfl — Chewie z uczuciem potrząsnął głową i podniósł kosmatą łapę.

— To jeden — zawołał Han.

— Dwóch! — Leia uniosła rękę, — Nie spuszczę cię już z oka, wasza generalska mość — szepnęła.

— Ja też! — rozległ się jakiś głos spod ściany. Zebrani obejrzeni się równocześnie. Na stopniach przy drzwiach stał Luke. Wszyscy zaklaskali na powitanie ostatniego z Jedi.

I choć nie było to w jego stylu, Han nie potrafił ukryć radości.

— To już trójka — stwierdził z uśmiechem, Leia podbiegła do Luke'a i uściskała go serdecznie, Stał się jej dziwnie bliski. Sądziła, że wynika to z powagi chwili, ze znaczenia ich misji. Potem jednak wyczuła w nim zmianę, subtelną różnicę, która zdawała się promieniować z samej głębi duszy — coś, co tylko ona potrafiła dostrzec.

— Co się stało, Luke? — szepnęła. Nagle zapragnęła go przytulić, choć nie wiedziała, dlaczego.

— Nic. Kiedyś ci wytłumaczę — odparł również szeptem. Ale to wyraźnie nie było „nic“.

— Jak chcesz — nie nalegała, — Zaczekam.

Próbowała zgadnąć. Może po prostu inaczej się ubrał. Cały w czerni — wydawał się przez to starszy. Tak, starszy. To pewnie dlatego.

Han, Chewie, Lando, Wedge i kilku innych otoczyło Luke'a, wykrzykując powitania i najróżniejsze komentarze. Całe zebranie podzieliło się na wiele takich grup. Nadszedł czas ostatnich pożegnań i życzeń powodzenia.

Erdwa wybrzczała jakąś uwagę do nastawionego mniej optymistycznie Trzypeo.

— Nie sądzę, by „ekscytujące” było tu właściwym określeniem — odparł złoisty robot. Z racji programu

głównego był przede wszystkim tłumaczem, więc nic dziwnego, że troszczył się o znalezienie odpowiedniego słowa, określającego sytuację.

„Sokół Millenium” spoczywał na głównym stanowisku startowym powstańczego Gwiezdnego Krążownika. Trwał załadunek i tankowanie. Tuż obok stał zdobyty prom imperialny, wyglądający jak dziwaczna anomalia między rzędami X-skrzydłowych myśliwców.

Chewie doglądał załadunku sprzętu i uzbrojenia oraz rozmieszczenia grupy uderzeniowej na promie. Han i Lando stali między dwoma statkami. Żegnali się — może na zawsze,

— Nie żartuję. Weź go — nalegał Solo, wskazując „Sokoła”. — Przyniesie ci szczęście. Wiesz, że jest najszybszy we flocie. Teraz.

Han mocno podrasował wygrany od Lando statek. „Sokół” zawsze był szybki, a obecnie szybszy niż kiedykolwiek. A modyfikacje, jakie wprowadził, uczyniły maszynę częścią Hana. Włożył w pracę miłość i trud. Całą duszę. Oddając go teraz Lando dowodził, że istotnie dokonała się w nim głęboka przemiana. Jeszcze nigdy nie ofiarował nikomu tak wspaniałego daru.

Lando rozumiał to wszystko.

— Dzięki, stary. Będę na niego uważał. Zresztą, sam wiesz, że zawsze lepiej nim kierowałem niż ty. Ze mną u steru nie będzie nawet zadrapany.

Solo spojrział na niego ciepło.

— Trzymam cię za słowo. Żadnej rysy.

— Startuj już, piracie. Za chwilę każesz mi zdeponować zastaw.

— Do zobaczenia wkrótce.

Rozstali się nie demonstrując prawdziwych uczuć, jak zwykle ludzie czynu w tamtych czasach. Każdy z nich wspiął się na rampę wejściową innego statku,

Kiedy Han wkroczył do sterowni imperialnego promu, Luke dokonywał właśnie jakichś precyzyjnych poprawek na tylnym pulpicie nawigacyjnym. Chewbacca w fotelu drugiego pilota usiłował odgadnąć funkcje obcych przyrządów. Han zajął miejsce, a Chewie warknął jakąś zgryźliwą uwagę o układzie pulpitu.

— Wiem, wiem — odparł Solo, — Ale nie sądzę, żeby projektant planował to dla Wookiego. Leia wyszła z ładowni i usiadła obok Luke'a,

— Z tyłu wszystko gotowe — oznajmiła.

—Rrrwfr — stwierdził Chewie i wałnął pięścią w pierwszą serię przełączników. Spojrzał na Solo, ten jednak siedział nieruchomo, wpatrzony w okno. Leia i Wookiee podążyli za jego wzrokiem, ku obiektowi skoncentrowanej uwagi: „Sokołowi Millenium”.

Księżniczka szturchnęła go lekko.

— Hej, może się obudzisz?

— Ogarnęło mnie dziwne przeczucie — westchnął Han. — Jakbym go już nigdy nie miał zobaczyć.

Wspominał chwile, gdy statek swą szybkością ocalił mu życie, i te, gdy on sam sprytem lub wiedzą ocalił statek. Myślał o wszechświecie, który oglądali razem, o tym, jak zawsze znajdował schronienie w jego wnętrzu, jak go poznał. O nocach spędzonych w jego objęciach, gdy płynęli niby spokojny sen przez czarną ciszę dalekiego kosmosu.

Chewbacca także posłał za „Sokołem” tęskne spojrzenie. Leia położyła dłoń na ramieniu Hana. Wiedziała, że kochał swój statek, i nie chciała przerywać pożegnania. Jednak czas stawał się cenny. Coraz cenniejszy.

— Dalej, dowódcu — szepnęła, — Ruszajmy. Solo wrócił już do rzeczywistości.

— Dobra. Już. Chewie, sprawdźmy, co potrafi ta zabawka.

Zdobyczny prom uruchomił silniki, uniósł się nad płytą lądowiska i wypłynął w nieskończoną noc.

Budowa Gwiazdy Śmierci trwała. Przestrzeń wokół stacji roiała się od statków transportowych, myśliwców TIE i promów technicznych. Od czasu do czasu Gwiezdny Superniszczyciel przelatywał nad tym obszarem budowy, ze wszystkich stron kontrolując postępy prac.

Mostek Niszczyciela przypominał ul. Pośtańcy pędzili tam i z powrotem wzdłuż szeregu stanowisk kontrolerów, pochylonych nad ekranami śledzącymi. Ukazywały one wszelkie pojazdy wchodzące i wychodzące z zasięgu pola deflektora. Nadawano i odbierano kody, przekazywano polecenia, kreślono diagramy. Operacja wymagała współdziałania tysięcy jednostek. Mimo to wszystko szło jak najlepiej do chwili, gdy kontroler Jhoff nawiązał kontakt z promem klasy Lambda, zbliżającym się do pola z Sektora Siódmego.

—Prom do kontroli, czekam — zabrzmiał w słuchawkach Jhoffa czyjś głos wraz z normalną porcją trzasków.

— Mamy cię na ekranie — odpowiedział kontroler. — Przekaż swoje dane.

— Prom „Thidirim” prosi o dezaktywację pola deflektora.

— Prom „Thidirim”, transmituj kod wejściowy korytarza przelotowego osłony. W sterowni Han spojrzał niepewnie na przyjaciół.

— Początek transmisji — rzucił do mikrofonu. Chewie wdusił rząd klawiszy i rozległy się synko-powe piski emisji wysokiej częstotliwości.

Leia przygryzła wargę i napięła mięśnie, jak do walki lub ucieczki.

— Przekonamy się, czy ten kod był wart swojej ceny.

Chewie zawył nerwowo.

Luke spoglądał na gigantyczną sylwetkę Gwiezdnego Superniszczyciela, wypełniającą całą przestrzeń przed dziobem. Przyciągał wzrok migotliwą czernią, przesłaniał źrenice jak katarakta. Lecz nie tylko źrenice. Wypełniał mrokiem duszę i serce. Mrokiem, lękiem i szczególną emanacją zła.

— Na tym statku jest Vader — szepnął chłopiec.

— To nerwy, Luke — uspokoił jego i wszystkich pozostałych Han. — Mało to statków? Ale wiesz, Chewie — dodał — trzymaj się od niego z daleka, ale tak, żeby nie wyglądało, że się trzymasz z daleka,

— Awroff rwrgh rrfrough?

—Nie wiem. Leć tak... od niechcienia — mruknął w odpowiedzi Han.

— Dużo czasu zajmuje im nasz kod wejściowy — zauważyła nerwowo Leia, Co będzie, jeśli ich nie przepuszczą? Sprzymierzenie nic nie robi, jeśli będzie działało pole deflektora, Leia

starła się uporządkować myśli, skoncentrować je na generatorze pola, który mieli zdobyć. Usiłowała stłumić złe przeczucia, wątpliwości, strach, że będą musieli zrezygnować.

— Narażam misję na niepowodzenie — odezwał się Luke, jakby jego umysł wpadł w rezonans z mózgiem siostry. Myślał o Vaderze, ich ojcu. — Nie powinienem z wami lecieć. Han spróbował dodać im otuchy.

— A może by tak trochę optymizmu? — zaproponował. Nie mógł już znieść tych ponurych min.

— Wie, że tu jestem — stwierdził Luke. Wciąż patrzył na okręt widoczny na przednim ekranie. Zdawało się, że drwi z niego. I czeka.

— Daj spokój, mały. Masz wybujałą wyobraźnię,

— Ararh gragh — mruknął Chewie. Nawet on był ponury.

Lord Vader stał nieruchomo przy wielkim ekranie wizyjnym, ukazującym Gwiazdę Śmierci. Czuł dreszcz, patrząc na ten monument ciemnej strony Mocy. Pieścił ją lodowatym spojrzeniem.

Mrugnęła do niego, jak fruujące świciełko. Maleńkie punkciki blasku przebiegały po powierzchni, hipnotyzując Czarnego Lorda, jakby był małym dzieckiem zafascynowanym nową zabawką. Ogarnął go niezwykły nastrój, stan podwyższonej percepcji.

Wtedy, nagle, wśród spokoju kontemplacji, znieruchomiał całkowicie. Ani oddech, ani uderzenia serca nie zakłócały ciszy i koncentracji. Wszystkimi zmysłami badał eter. Co takiego wyczuł? Słuchał, Jakieś echo, jakaś wibracja dostrzeżona tylko przez niego. Zniknęła? Nie, nie zniknęła. Zawirowała tylko i odmieniła kształt rzeczy. Świat nie był już taki, jak przedtem,

Przeszedł wzdłuż rzędu stanowisk namiaru do miejsca, gdzie admirał Piett pochylał się nad ekranem śledzącym kontrolera Jhoffa. Widząc Vadera, Piett wyprostował się i sztywno skłonił głowę.

— Dokąd leci ten prom? — spytał cicho Vader, bez żadnych wstępów. Piett podniósł mikrofon.

— Prom „Thidirium”, jaki masz ładunek i przeznaczenie?

— Części i personel techniczny dla księżycy-sanktuarium — rozległ się przefiltrowany przez aparaturę głos pilota.

Admirał spojrzał z uwagą na zwierzchnika. Miał nadzieję, że wszystko jest w porządku. Vader niechętnie wybaczał pomyłki.

— Podali kod wejściowy?

— Podali starszy kod, ale wszystko się zgadza, Właśnie miałem ich przepuścić.

Nie warto było okłamywać Lorda Sith, Zawsze poznawał, kiedy rozmówca nie mówi prawdy; kłamstwa śpiewały do niego głośno.

— Mam dziwne przeczucie co do tego statku — mruknął Vader, raczej do siebie, niż do admirała.

— Zatrzymać ich? — zaproponował szybko Piett, Chciał zadowolić zwierzchnika.

— Nie. Przepuść. Sam to załatwię.

— Jak sobie życzysz, panie — tym razem oficer skłonił się nisko, by ukryć wyraz zdziwienia na twarzy. Skinął kontrolerowi, który wziął do ręki mikrofon.

Pasażerowie promu „Thidirium” czekali w napięciu, Im częściej musieli wyjaśniać kwestie ładunku i przeznaczenia, tym większa była szansa na zdemaskowanie.

Han spojrzał z sympatią na starego partnera.

— Chewie, jeśli nie uwierzą, trzeba będzie się spieszyć.

To była mowa pożegnalna. Obaj wiedzieli, że mały prom nie prześcignie niczego w tej okolicy.

Nagle wśród trzasków rozległ się głos kontrolera.

— Prom „Thidirium”, dezaktywacja pola rozpocznie się natychmiast. Utrzymujcie dotychczasowy kurs.

Wszyscy, prócz Luke'a, odetchnęli z ulgą, jakby wszystkie kłopoty zostały zażegnane, a nie dopiero się rozpoczynały. Chłopiec nadal wpatrywał się w ni-szczyciela. Robił wrażenie pogrążonego w niesłyszalnej i trudnej rozmowie.

Chewie szczechnął głośno.

— A co, nie mówiłem? — zawołał Han. — Jak po maśle,

— Niezupełnie tak mówiłeś — zauważyła z uśmiechem Leia.

Solo pchnął dźwignię i zdobyczny prom ruszył płynnie w stronę księżycy-sanktuarium.

Vader, Piett i Jhoff obserwowali, jak na ekranie wizyjnym pajęcza siatka deflektora rozsuwa się przed promem „Thidirim”, płynącym wolno do centrum pajęczyny — do Endor,

Vader zwrócił się do oficera pokładowego.

— Przygotujcie mój prom — polecił. Nikt nie pamiętał u niego takiego pośpiechu. — Muszę lecieć do Imperatora.

I nie czekając na odpowiedź, Czarny Lord odszedł, wyraźnie pogrążony w mrocznych myślach.

V

Drzewa na Endorze miały do trzystu metrów wysokości. Pokryte szorstką, brunatną korą pnie wznosiły się prosto niby kolumny, niektóre szerokie u podstawy jak domy, inne cienkie jak męskie udo. Wrzecionowate liście rzucały na ziemię delikatne, błękitno-zielone cienie.

Wśród tych prastarych olbrzymów krzewiła się zwykła płatanina leśnej roślinności — kilka gatunków sosen, drzewa liściaste, mniej lub bardziej pokrzywione. Poszycie tworzyły głównie paprocie, miejscami tak gęste, że przypominały zielone morze, marszczone delikatnie poranną bryzą.

Taki był ten księżyc: zielony, dziewiczy i milczący, Światło sączyło się przez strop gałęzi niby złota krew, jakby samo powietrze tętniło życiem. Było ciepło i było chłodno. Taki był Endor.

Zdobyczny prom imperialny stał na polance, wiele mil od lądowiska, zamaskowany dywanem gałęzi, liści i próchna. Niewielki pojazd zupełnie ginął przy gigantycznych drzewach. Stałowy kadłub wyglądałby w tym miejscu bardzo nieestosownie, gdyby nie fakt, że zupełnie nie rzucał się w oczy.

Na zboczu przylegającego do polanki wzgórze oddział Powstańców posuwał się wolno stromą ścieżką, Leia, Chewie, Han i Luke szli przodem, a za nimi ob-szarpani członkowie grupy uderzeniowej. Jednostka składała się z najlepszych żołnierzy Sprzymierzenia, dobieranych specjalnie według inicjatywy, sprytu i zaciętości. Niektórzy byli przeszkolonymi komandosami, inni zwolnionymi warunkowo przestępcami, ale u wszystkich nienawiść do Imperium była silniejsza

niż instynkt samozachowawczy. I wszyscy wiedzieli, że ich misja ma kluczowe znaczenie. Jeśli nie zdołają zniszczyć generatora pola, Powstanie będzie skazane na klęskę. I nie będą już mieli następnej szansy.

Nikt nie musiał nakazywać czujności, gdy bezgłośnie posuwali się leśną ścieżką. Byli czujni bardziej niż kiedykolwiek.

Erdwa i Trzypeo zamykali kolumnę. Kopuła Erdwa wirowała wkoło, a mały robot mrugał światełkami sensorów ku olbrzymim drzewom.

— Biii-doop! — oświadczył.

— Nie, wcale mi się tu nie podoba — odparł nerwowo jego złocisty przyjaciel. — Przy naszym szczęściu, ten las zamieszkują pewnie wyłącznie robotożerne potwory.

Żołnierz idący przed nimi odwrócił się nagle.

— Cicho — szepnął gniewnie.

— Uspokój się, Erdwa — przekazał polecenie Trzypeo. Wszyscy byli trochę zdenerwowani.

Na przedzie Leia i Chewie dotarli do szczytu wzgórze. Padli na ziemię, przeczołgali się ostatnie kilka metrów i wyrzeli ostrożnie. Chewbacca podniósł wielką łapę, sygnalizując pozostałym, by się zatrzymali. W jednej chwili las wydał się jeszcze bardziej cichy.

Luke i Han przyczołgali się bliżej, by spojrzeć na to, co zobaczyła pierwsza dwójka. Za gąszczem paproci, w kotlinie nad czystym jeziorkiem, rozbili biwak dwaj zwiadowcy Imperium. Właśnie szykowali posiłek i podgrzewali swoje racje na przenośnym palniku. Obok stały dwa skutery.

— Obejdziemy ich? — szepnęła Leia.

— Stracimy za dużo czasu — pokręcił głową Luke. Han wyrzał zza głazu.

— Owszem. Ale jeśli nas zauważą i zameldują, cała wyprawa na nic,

— Jest ich tylko dwóch? — Leia nadal była sceptyczna.

— Sprawdźmy — uśmiechnął się Luke. Westchnął, jakby spłynęło z niego napięcie. Wszyscy odpowiedzieli uśmiechami — mieli wkroczyć do akcji.

Leia gestem nakazała grupie pozostać na miejscu. Potem wraz z Hanem, Luke'em i Chewbacca zaczęła się przekradać bliżej obozowiska wroga.

Kiedy znaleźli się blisko kotlinki, wciąż ukryci w gęstwie poszycia, Solo wysunął się na czoło.

— Zaczekajcie tu — szepnął gorączkowo. — Chewie i ja załatwimy tę sprawę.

Błysnął zębami w jednym ze swych najbardziej szelmowskich uśmiechów.

— Ostrożnie — ostrzegł Luke. — Może., Zanim skończył, Han i jego kudłaty przyjaciel zerwali się na nogi i pognali w stronę polanki.

— ...ich tam być więcej — dokończył Luke, już do siebie. Spojrzał na Leię.

— Co chcesz? — wrzuciła ramionami. — Niektórzy nigdy się nie zmieniają.

Luke chciał odpowiedzieć, ale ich uwagę przyciągnęło zamieszanie w kotlinie. Przypadli do ziemi i patrzyli.

Han walczył na pięści z jednym ze zwiadowców. Od dawna nie miał tak uszczęśliwionej miny. Drugi przeciwnik wskoczył na skuter, by spróbować ucieczki. Gdy jednak uruchamiał silniki, Chewie zdążył oddać kilka strzałów z ręcznego lasera i nieszczęsny żołnierz natychmiast po starcie trafił w pień gigantycznego drzewa. Nastąpiła krótka, stłumiona eksplozja.

Leia chwyciła miotacz i ruszyła biegiem. Tuż za nią pędził Luke. Natychmiast jednak tuż obok rozległy się wystrzały z ciężkich miotaczy. Padli na ziemię. Leia zgubiła broń.

Oszołomieni, dostrzegli drugą parę zwiadowców, wynurzających się z zarośli po drugiej stronie polany. Pędzili do swoich skuterów, ukrytych wśród listowia. Chowając broń, zajęli miejsca i uruchomili silniki.

Leia wstała niepewnie.

— Widzisz? Jeszcze dwóch!

— Widzę — Luke powstał także. — Zostań tu! Leia miała jednak inne plany. Podbiegła do ocalałego skutera, włączyła silnik i wystrzeliła z miejsca, ruszając w pogoń za zwiadowcami. Gdy mijała Luke'a, chłopiec wskoczył za nią na siedzenie. Lecieli razem.

— Szybko, środkowy wyłącznik! — wrzasnął jej przez ramię, przekrzykując ryk rakietowych silników. — Zablokuj im łączność!

Gdy Luke i Leia znikali wśród drzew, Han i Chewie właśnie rozprawiali się z ostatnim zwiadowcą.

— Czekać! — krzyknął Han, ale tamtych już nie było. W poczuciu bezsilności cisnął miotaczem o ziemię. Powstańcy z grupy uderzeniowej przekroczyli grzbiet wzgórza i wbiegli na polankę.

Luke i Leia mknęli wśród gęstego poszycia, kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Leia prowadziła. Zwiadowcy mieli sporą przewagę, ale przy trzystu kilometrach na godzinę księżniczka była lepszym pilotem. Odziedziczyła rodzinne talenty.

Od czasu do czasu oddawała strzał z działka laserowego skutera, jednak wciąż spora odległość nie pozwalała na dokładne celowanie. Strzały trafiały obok ruchomych tarcz, rozszczepiając pnie drzew i paląc liście. Skutery leciały zygzakiem pomiędzy masywnymi konarami,

— Bliżej! — krzyknął Luke.

Leia otworzyła dopływ paliwa do dyszy. Odstęp zmalał. Zwiadowcy wyczuli, że ścigający zmniejszają dystans, ruszyli więc szybciej i przemknęli przez wąską szczelinę między dwoma drzewami. Jeden za skuterów zahaczył o pień, pilot stracił niemal kontrolę nad pojazdem i musiał zwolnić.

— Leć obok! — wrzasnął Luke w samo ucho Lei.

Podciągnęła skuter bliżej, aż płyty sterujące obu pojazdów zderzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Luke błyskawicznie przeskoczył z pojazdu Lei za plecy imperialnego zwiadowcy, złapał go za szyję i rzucił w dół. Okryty białym pancerzem żołnierz z trzaskiem uderzył o pień drzewa i na zawsze spoczął pod zielonym morzem paproci.

Luke przesunął się na siedzenie pilota, wcisnął kilka przełączników i skoczył naprzód śladem Lei. Oboje pędzili teraz za ostatnim z przeciwników.

Przelecieli nad wzgórzem i pod kamiennym nawisem, z trudem unikając zderzenia i wypalając suche pnącza płomieniami z dyszy. Skręcili na północ, mijając wąwóz, gdzie odpoczywała kolejna para zwiadowców. W chwilę później oni ruszyli w pościg; pomknęli za Luke'em i Leią, strzelając seriami z działek. Luke wciąż nieco z tyłu, rzucił okiem przez ramię.

— Goń tamtego! — krzyknął do księżniczki. — Ja zajmę się tą dwójką za nami!

Leia wyskoczyła do przodu. W tej samej chwili Luke odpalił ładunki hamujące, zmuszając skuter do ostrej deceleracji. Tamci nie zdołali zredukować pędu i przemknęli obok niego niby rozmazane plamy. Chłopiec natychmiast ruszył pełną mocą, strzelając z działka. Teraz on stał się ścigającym,

Trzeci strzał osiągnął celu. Trafiony zwiadowca stracił panowanie nad pojazdem, wykręcił ostro i wybuchając ogniem zderzył się ze skałą. Drugi spojrzął tylko na płomień eksplozji i włączył dopalacze, zwiększając jeszcze prędkość, Luke dotrzymał tempa.

Daleko z przodu Leia i pierwszy zwiadowca wykonywali slalomowy taniec między niewzruszonymi pniami i zwisającymi nisko konarami. Hamując na licznych zakrętach, księżniczka nie potrafiła się zbliżyć do uciekającego. Nagle nieprawdopodobnie stromym torem wzniosła się w górę i zniknęła zwiadowcy z oczu.

Żołnierz zwolnił. Nie wiedział, czy może się uspokoić, czy raczej zwiększyć czujność po niespodziewanym zniknięciu prześladowcy. Przekonał się szybko. Leia runęła lotem nurkującym znad czubków drzew, Odezwął się laser. Skuter zwiadowcy podskoczył, ogarnięty falą uderzeniową bliskiego trafienia. Księżniczka osiągnęła większą szybkość, niż zaplanowała, i przez chwilę pędziła obok przeciwnika. Zanim zdążyła zareagować, zwiadowca sięgnął do kabury, wyciągnął ręczny miotacz i wystrzelił.

Skuter przekoziółkował. Zeskoczyła w ostatniej chwili — pojazd eksplodował w zetknięciu z drzewem, a Leia stoczyła się w płytką kałużę. Płatolina lian i gnijących korzeni zamortyzowała upadek. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, była pomarańczowa kula ognia i dymiące liście. Potem ciemność.

Zwiadowca obejrzał się, z uśmiechem zadowolenia. Kiedy znów spojrzął przed siebie, wyraz satysfakcji na jego twarzy zniknął jak zdmuchnięty — skuter pędził kursem kolizyjnym ku powalonemu drzewu. Po chwili było już po wszystkim; pozostały tylko płomień.

Tymczasem Luke szybko zmniejszał dystans do ostatniego przeciwnika. Gdy śmigali między drzewami, podciągnął bliżej i nagle znalazł się obok uciekiniera, Żołnierz skrzyknął gwałtownie, uderzając swoim skuterem w pojazd chłopca. Przechylił się ryzykownie i o centymetry minęli powalony pień. Zwiadowca przeleciał dołem, Luke górą — a kiedy pikował w dół, trafił dokładnie w dziób drugiego skutera. Płaty sterujące szepiły się na dobre.

Skutery miały w przybliżeniu kształt jednoosobowych sań, z długimi, cienkimi prętami sterczącymi z dziobów. Na końcach prętów umieszczono lotki sterujące, Kiedy te lotki zaczepiły o siebie, oba pojazdy leciały razem, choć każdy z pilotów mógł sterować.

Zwiadowca wykręcił ostro w prawo, próbując zepchnąć Luke'a w pędzącą naprzeciw kępę młodych drzew. W ostatniej chwili jednak chłopiec przerzucił ciężar ciała na lewo i sprzęgnięte skutery przechyliły się całkiem na bok. Luke leciał u góry, zwiadowca w dole.

Żołnierz przestał nagle stawiać opór i pchnął swój pojazd także w lewo. W rezultacie oba skutery zatoczyły niemal pełny krąg, wracając do pozycji pionowej... lecz przed gigantycznym drzewem dokładnie blokującym tor lotu Luke'a.

Chłopiec zeskoczył bez chwili namysłu. Ułamek sekundy później żołnierz odleciał w lewo — płaty sterujące rozdzieliły się — a pozbawiony kontroli skuter trafił w gigantyczny pień.

Luke koziółkował, wyhamowując pęd na porośniętym mchem zboczku. Przeciwnik zwiększył wysokość i zawrócił.

Chłopiec wstał, gdy skuter pędził ku niemu pełną mocą silnika, strzelając z działka. Luke zapalił świetlny miecz i stanął, gotów do walki. Odbijał wszystkie laserowe impulsy, lecz skuter nadlatywał z przerażającą szybkością. Za chwilę się zderza; żołnierz zwiększył prędkość, zdecydowany rozciąć młodego Jedi na dwie części. W ostatnim ułamku sekundy Luke odskoczył niby matador schodzący z drogi szarżującemu raketowemu bykowi. Jednym ruchem miecza ściął oba płaty sterujące pojazdu.

Skuter zadygotał, zakołysał się i zawirował. Po sekundzie pilot zupełnie stracił nad nim panowanie, a po następnej zmienił się w kulę ognia toczącą się wśród leśnego poszycia.

Luke wyłączył miecz i ruszył z powrotem, na spotkanie pozostałym.

Prom Vadera wyminął nie dokończony fragment Gwiazdy Śmierci i osiadł miękko na płycie głównego lądowiska. Bezszelustne siłowniki opuściły trap. Bezszelustnie kroczył Czarny Lord po zimnej, stalowej płycie. Sam, zimny i szybki, zmierzał do celu.

W głównym korytarzu tłoczyli się dworacy, czekający na audiencję u Imperatora, Vader skrzywił się pogardliwie — to głupcy, bez wyjątku. Napuszone ropuchy w aksamitnych szatach, z wymalowanymi twarzami;

uperfumowani biskupi, wymieniający sądy między sobą, bo kogo jeszcze mogły obchodzić; śliscy handlarze przywilejowi przygięci pod ciężarem kosztowności, przechowujących jeszcze

resztkę ciepła stygnących ciał prawowitych właścicieli; łatwi i zbrodniczy mężczyźni i kobiety, marzący o tym, by ktoś skorzystał z ich usług.

Vader nie miał cierpliwości dla tej prymitywnej zgrai. Mijał ich obojętnie, choć wielu dużo by dało za łaskawe spojrzenie wpływowego Czarnego Lorda.

Drzwi windy do wieży Imperatora były zamknięte. Okryci czerwienią, zbrojni po zęby gwardziści stali wyprężeni obok szybu, jakby nie dostrzegali obecności Vadera. Z cienia wysunął się oficer i stanął przed Czarnym Lordem, blokując mu drogę.

— Nie możesz wejść — oznajmił obojętnie.

Vader nie tracił czasu na słowa. Podniósł dłoń i wyciągnął palce w stronę gardła żołnierza, Ten zaczął się dusić. Kolana ugięły się pod nim, a twarz przybrała barwę popiołu.

—To... rozkaz... Imperatora — wykrztusił, z trudem chwytając powietrze.

Vader uwolnił go ze zdalnego uścisku. Oficer odetchnął i drżąc osunął się na podłogę. Ostrożnie rozmasowywał szyję.

— Zaczekam, aż zechce mnie przyjąć — poinformował obojętnie Vader. Odwrócił się i spojrzał przez okno widokowe. Zielony Endor jaśniał blaskiem unosząc się w mroku kosmosu, jakby emanował jakąś własną, wewnętrzną energią. Czarny Lord czuł, że księżyc przyciąga go jak magnes, jak próżnia, jak pochodnia wśród martwej nocy.

Han i Chewie przykucnęli obok siebie, Milczeli. Żołnierze grupy uderzeniowej, odprężeni tak, jak to było możliwe, rozstawili się wokół polanki dwójkami i trójkami, Wszyscy czekali,

Nawet Trzypeo milczał. Siedział obok Erdwa i z braku lepszego zajęcia polerował swe palce. Inni sprawdzali zegarki, czyścili broń, a popołudnie odpływało powoli.

Erdwa stał bez ruchu. Jedynie niewielka antena radaru nad srebrnobłękitną kopułą wirowała badając otaczający ich las. Robot emanował spokojem płynącym z użyteczności swojej funkcji, z wykonywanego poprawnie programu.

Nagle zahuczał.

Trzypeo przerwał obsesyjne polerowanie i spojrzał z lękiem w gęstwinę drzew.

— Ktoś idzie — przetłumaczył.

Żołnierze stanęli w pogotowiu unosząc broń. Jakaś gałązka trzasnęła po zachodniej stronie. Wszyscy wstrzymali oddech.

Spomiędzy gałęzi wyszedł ciężkim krokiem Luke. Zebrani uspokoili się i opuścili broń. Chłopiec był

zbyt zmęczony, by zwracać na to uwagę. Usiadł na ziemi obok Solo i z westchnieniem opadł na plecy.

— Ciężki dzień, mały — zauważył Han. Luke oparł się na łokciu i uśmiechnął. Wiele wysiłku i hałasu kosztowało pozbycie się ledwie kilku imperialnych zwiadowców. A przecież prawdziwe kłopoty jeszcze się nie zaczęły. Han jednak potrafił zachować lekki ton. U niego było to jak stan łaski, szczególnie forma uroku, Luke miał nadzieję, że takie charaktery nigdy nie znikną z Galaktyki.

—Poczekaj, aż dojdziemy do generatora — odpowiedział. Solo spojrzał na las, z którego wyszedł przed chwilą.

— Gdzie Leia? — zapytał. Chłopiec spoważniał nagle.

— Nie wróciła? — zdziwił się zatroskany.

— Myślałem, że jest razem z tobą — Han mówił odrobinę głośniejsze.

— Rozdzieliliśmy się — wyjaśnił Luke, Wymienili ponure spojrzenia i wstali. — Trzeba jej poszukać.

— Nie chciałbyś trochę odpocząć? — zaproponował Han. Widział, że przyjaciel jest zmęczony, i chciał zaoszczędzić mu trudów. Czekał na ich walka będzie wymagała sił, których wszystkim brakowało.

— Chcę znaleźć Leię — odparł cicho chłopiec. Han nie oponował. Skinął na oficera, pełniącego w grupie obowiązki jego zastępcy. Żołnierz podbiegł i zasalutował.

— Poprowadzisz oddział — polecił Solo. — Spotkamy się przy generatorze pola o zero trzydzieści,

Oficer zasalutował znowu i natychmiast ustawił ludzi w szyku. Po chwili zniknęli wśród drzew, zadowoleni, że znowu są w ruchu.

Luke, Chewbacca, generał Solo i oba roboty ruszyli w przeciwną stronę. Erdwa prowadził; wirująca ante

na skanera badała parametry, charakteryzujące jego panią. Pozostali szli za nim przez las.

Pierwsze, co dotarło do świadomości Lei, był jej łokieć. Mokry. Spoczywał w kałuży wody i ubranie zdążyło już nasiąknąć.

Z cichym pluskiem wyciągnęła łokieć z wody i wtedy odkryła coś jeszcze: ból. Bolało całe ramię. Postanowiła przez pewien czas nim nie poruszać,

Potem usłyszała dźwięki. Plusk poruszonej łokciem wody, szelest liści, świergot ptaków. Odgłosy lasu. Jęknęła, odetchnęła głębiej i odnotowała swój jęk.

Później nozdrza wypełniły się zapachami. Wilgotny zapach mchu, zapach liści, lekka woń miodu i aromat rzadkich kwiatów.

Smak wrócił wraz z węchem — smak krwi na języku. Kilka razy otworzyła i zamknęła usta, by ustalić miejsce krwawienia. Nie potrafiła. Nieudana próba spowodowała nowy ból — ból głowy, karku i ból pleców. Zaczęła przesuwać ramiona, ale to pociągnęło całą serię nowych bólów. Znowu znieruchomiła.

Następnie pozwoliła, by do jej zmysłów dotarła temperatura. Słońce grzało palce prawej ręki, a leżącą w cieniu dłoń pozostawiała chłodna, Lekka bryza owiewała z tyłu jej nogi. Lewa dłoń, przyciśnięta do brzucha, była ciepła.

Leia czuła, że jest... przytomna.

Powoli — nawet niechętnie, gdyż nie chciała oglądać ran, ponieważ widzenie czyni rzeczy realnymi, a okaleczeń ciała nie chciałyby uznać — powoli otworzyła oczy. Na poziomie gruntu wszystko pokrywała mgła. Rozmyte brzozy i zieleń przed nią stawały się ze wzrostem odległości bardziej jaskrawe i wyraziste. Z wolna nabierały ostrości.

Potem rozpoznała Ewoka.

Niewielka, kudłata istota stała nie dalej niż metr od twarzy Lei i miała nie więcej niż metr wzrostu, ciemne, wielkie, ciekawe oczy i krótkie łapki z palcami. Od stóp do głów pokryta futrem, najbardziej przypominała lalkę-Wookiego, jaką Leia bawiła się będąc dzieckiem. Właściwie, kiedy dostrzegła przed sobą to stworzenie, uznała je za element snu, wspomnienie z dzieciństwa, które snuje oszołomiony umysł.

Ale to nie był sen. To był Ewok. I miał na imię Wicket.

Nie był też całkiem nieszkodliwy. Gdy wzrok Lei wyostrzył się jeszcze bardziej, zauważyła nóż przypięty do pasa. Poza tym odzież Ewoka składała się tylko z cienkiego, skórzanego kaptura, kryjącego jedynie głowę.

Przez długą minutę patrzeli na siebie nieporuszeni. Zdawało się, że Ewok jest zdziwiony obecnością księżniczki, nie wie, kim jest, ani co zamierza, W pewnej chwili Leia zamierzała sprawdzić, czy zdoła usiąść.

Usiadła z głośnym jękiem.

Dźwięk najwyraźniej przestraszył pluszową kulkę;

Ewok cofnął się raptownie, potknął i przewrócił.

— liiip! — pisnął.

Leia przyjrzała się sobie z uwagą, szukając poważniejszych urazów. Miała podarte ubranie, pełno skaleczeń, siniaków i zadrapań, ale kości chyba całe. Za to zupełnie nie wiedziała, gdzie jest. Jęknęła znowu.

To było już dla Ewoka za wiele. Odskoczył, złapał półtorametrową włócznię i wysunął ku Lei. Obszedł ją wokół, wyraźnie bardziej przestraszony niż wojowniczy.

— Daj spokój — z irytacją odsunęła drzewce. Tego jej tylko brakowało: żeby pluszowy miś chciał ją przebić. — Nie zrobię ci krzywdy — dodała łagodnie.

Wstała ostrożnie, wypróbując nogi. Ewok cofnął się przezornie.

— Nie bój się — Leia usiłowała tonem głosu dodać mu odwagi. — Chcę tylko sprawdzić, co się stało z moim skuterem.

Wiedziała, że im dłużej mówi, tym stworzonko bardziej się uspokaja. A mówienie było dowodem, że organizm funkcjonuje prawidłowo,

Na niezbyt pewnych nogach podeszła do tego, co pozostało z jej skutera, a teraz leżało w nadtopionym stosie u korzeni poczerńiałego częściowo pnia. Oddaliła się od Ewoka, a ten — niby strachliwy szczeniak — uznał to za oznakę bezpieczeństwa i podążył za nią. Leia podniosła z ziemi miotacz laserowy imperialnego zwiadowcy. To było wszystko, co z niego zostało.

— Wysiadłam w ostatniej chwili — mruknęła. Ewok obserwował całą scenę wielkimi, lśniącymi oczami. Potrząsnął głową i popiskiwał przez kilka sekund.

Leia rozejrzała się dookoła i z westchnieniem usiadła na pniu. Jej twarz znalazła się teraz na poziomie twarzy Ewoka. Znowu przyglądali się sobie, trochę zdziwieni, trochę niespokojni.

— Problem w tym, że utknęłam tu na dobre — wyznała dziewczyna. — I nawet nie wiem, gdzie jest to „tu”.

Oparła głowę na dłoniach, po części, by przemyśleć całą sytuację, po części, by rozmasować skronie, Wicket usiadł obok i przyjął identyczną pozę: głowa na łapach, łokcie na kolanach. Potem wydał z siebie pełne współczucia, ewokowe westchnienie.

Leia zaśmiała się i podrapała go pomiędzy uszami. Zamruczał jak kociak,

— Nie masz tu przypadkiem komunikatora? — Dobry żart, ale miała nadzieję, że może mówienie o łączności nasunie jej jakiś pomysł. Ewok mrugnął kilka razy, ale odpowiedział jedynie zdumionym spojrzeniem. — Nie, chyba nie — dodała Leia z uśmiechem.

Nagle Wicket zamarł, Zastrzygł uszami i wciągnął w nozdrza powietrze. Pochylił głowę i nasłuchiwał w napięciu.

— O co chodzi? — szepnęła Leia. Najwyraźniej zbliżało się coś groźnego. Po chwili usłyszała cichy trzask łamanej gałązki i dyskretny szelest rozsuwanych liści,

Nagle Ewok zaskrzeczał przerażony. Leia chwyciła miotacz i skryła się za pnem. Wicket padł obok i wczółgał się pod pień. Przez chwilę panowała cisza, Leia wyteżyła wszystkie zmysły, gotowa do walki.

Mimo czujności, nie oczekiwała strzału akurat z tej strony — z góry, po prawej. Pocisk trafił w pień, wybuchając snopem iskier i sosnowych drzazg. Natychmiast odpowiedziała ogniem i zaraz potem wyczuła coś za plecami. Odwróciła się wolno. Z tyłu stał imperialny zwiadowca, mierząc jej prosto w głowę. Wyciągnął rękę i odebrał jej miotacz,

— Ja to wezmę — burknął.

Bez żadnego dźwięku kudłata łapka wysunęła się spod pnia i wbiła nóż w łydkę żołnierza. Ten krzyknął z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

Leia skoczyła po upuszczony miotacz. Przetoczyła się i wystrzeliła, trafiając prosto w pierś przeciwnika i wypalając dziurę w miejscu serca,

W lesie znów zapanował spokój, który pochłonął błyski i hałasy, jakby nigdy nie istniały. Księżniczka leżała nieruchomo, oddychała szybko i czekała na kolejny atak. Nie nastąpił.

Wicket wystawił spod drzewa kudłatą głowę i rozejrzał się.

— Iiip rrp skrp oooh — mruknął tonem podziwu. Leia wyskoczyła z kryjówki i obeszła teren, co kilka

kroków rozglądając się uważnie. Na razie nic im chyba nie groziło.

— Chodźmy — skinęła na swego krępego przyjaciela, — Lepiej stąd zniknąć.

Gdy zagłębili się w gęstwinę, Wicket objął prowadzenie. Z początku Leia nie była zdecydowana, ale piszcząc ponaglająco i ciągnął ją za rękaw, W końcu więc podążyła za nim.

Zamyśliła się, gdy stopy niosły ją dróżką wśród gigantycznych drzew. Uderzyły ją skromne rozmiary — nie kosmatego przewodnika, ale jej własne, w porównaniu z ogromem lasu. Drzewa miały po dziesięć tysięcy lat, przynajmniej niektóre, a ich wierzchołki wznosiły się poza zasięg wzroku. Były świątyniami siły życia, w której imieniu walczyła; sięgały kosmosu, Czuła się częścią ich potęgi, ale i karłem wobec nich. I ogarnęło ją poczucie samotności. Była sama w tym lesie gigantów. Całe życie spędziła wśród gigantów własnego ludu: jej ojciec, wielki senator Organa; matka — minister edukacji; znajomi i przyjaciele; wszyscy byli gigantami ducha.,,

Ale te drzewa... Przypominały ogromne wykrzykniki, akcentujące własną przewagę. Były tu! Starsze niż czas! Zostaną długo po tym, jak odejdzie Leia, Sprzymierzenie, Imperium...

Nagle przestała się czuć samotna. Znowu była częścią całości, częścią tych wspaniałych istot. Złączona z nimi ponad czasem i przestrzenią przez promienistą, żywą moc, która.,,

Nie pojmowała tego. Złączona i rozdzielona. Nie mogła tego pogodzić. Czuła się wielka i mała, dzielna i przestraszona. Niby słaba iszka stworzenia, tańcząca wokół ognia życia... tańcząca za plecami karłowatego, skradającego się misia, który prowadził ją wciąż głębiej w las.

Właśnie o to, tutaj i teraz, walczyło Sprzymierzenie. O kudłate istoty w mamucich lasach, które prowadzą dzielne, choć przestraszone księżniczki w bezpieczne miejsce. Żałowała, że jej rodzice nie żyją. Mogłaby im o tym opowiedzieć.

!”

Lord Vader wyszedł z windy i stanął u wejścia sali tronowej. Światłowody po obu stronach szybu brzęczały cicho, zalewając gwardzystów niesamowitym blaskiem. Vader pewnym krokiem zszedł z pomostu, wszedł na schody i zatrzymał się za tronem, Przyklęknął,

Niemal natychmiast usłyszał głos Imperatora.

— Wstań, Wstań i mów, przyjacielu.

Vader powstał. Tron odwrócił się i Czarny Lord stanął twarzą w twarz z Imperatorem. Patrzyli sobie w oczy ponad latami świetlnymi i tchnieniem duszy. I zza tej otchłani Vader odpowiedział.

— Panie mój, niewielki oddział Rebeliantów przedostał się przez osłonę i wylądował na Endorze,

— Tak, Wiem — w głosie władcy nie słyhać było zaskoczenia, raczej satysfakcję. Vader dostrzegł to i mówił dalej:

— Jest z nimi mój syn.

Imperator uniósł brew o niecały milimetr. Jego głos pozostał chłodny, spokojny, z lekkim akcentem zaciekawienia.

— Jesteś pewien?

— Wyczułem go — to było niemal wyzwanie. Widział, że władca boi się młodego Skywalkera i jego mocy. Jedynie razem, Imperator i Vader, mogą próbować przeciwną rycerza Jedi na ciemną stronę. Czarny Lord powtórzył, by podkreślić własną wyjątkowość: —Ja go wyczułem, panie.

— To dziwne, że ja nie — mruknął Imperator mrużąc oczy w wąskie szparki. Obaj wiedzieli, że Moc nie

jest wszechpotężna i nikt nie jest nieomylny, gdy ją wykorzystuje. Wszystko zależało od świadomości, od wizji. Na pewno Vader był mocniej związany z młodym Skywalkerem, niż Imperator. Jednak władca dostrzegł teraz jakiś przeciwny prąd, którego dotąd nie zauważył, jakieś niezrozumiałe zawirowania Mocy. — Zastanawiam się, czy twoje uczucia w tej sprawie są całkiem wyraźne, Lordzie Vader.

— Zupełnie wyraźne, panie — wiedział o przybyciu syna. Jego obecność pchała go, przyciągała, wabiła i wzywała własnym głosem.

— Musisz więc udać się na księżyc-sanktuarium i tam go oczekiwać — stwierdził krótko Imperator Palpatine. Póki wszystko było wyraźne, nie miał wątpliwości.

— Przyjdzie do mnie? — zapytał sceptycznie Va-der. Nie wyczuwał tego. To jego coś ciągnęło.

— Z własnej, nieprzymuszonej woli — zapewnił Imperator. Koniecznie z wolnej woli, inaczej wszystko stracone. Nie można siłą zmusić ducha do przejścia na stronę złą; można go tylko zwabić. Ofiara musi aktywnie uczestniczyć w przejściu. Luke Skywalker wiedział o tym, a jednak krążył wokół czarnego ognia niby kot. Przeznaczenia nie da się odczytać z absolutną pewnością, ale Skywalker przybędzie, nie miał wątpliwości. — Przewidziałem to. Litość nad tobą stanie się jego zgubą.

Litość zawsze była słabym punktem Jedi, I zawsze będzie. Z tej strony byli bezbronni. Imperator nie miał żadnych słabych punktów.

— Chłopiec przyjdzie do ciebie, a ty przyprowadzisz go do mnie.

— Jak sobie życzysz, panie — Vader skłonił się nisko. Imperator odprawił Czarnego Lorda z obojętną wyższością, Ten, snując mroczne plany, opuścił salę tronową, by wsiąść na prom i odlecieć na Endor.

Luke, Chewie, Han i Trzypeo ostrożnie podążali za Erdwa, którego antena wirowała bez przerwy. Zdumiewała łatwość, z jaką mały robot torował sobie drogę przez dżunglę. Niemal bezszelestnie miniaturowe narzędzia zamontowane na kołach i w kopule wycinały wszystko, co było zbyt gęste lub twarde, by odepchnąć na bok.

Nagle stanął, powodując lekkie zamieszanie wśród idących za nim. Radar zawirował szybciej, Erdwa pstryknął, warknął cicho i pomknął do przodu,

— Wrrr dlp dWp buuuuu dUll op! — zawołał podniecony. Trzypeo popędził za nim.

— Mówi, że skutery raketowe są niedaleko,.. ojej! Wpadli na polankę i zatrzymali się na jej granicy. Teren zaścielały osmalone resztki skuterów i szczątki imperialnych zwiadowców.

Zbadali cmentarzysko. Nie znaleźli nic ciekawego, poza oderwanym skrawkiem kurtki Lei. Han przyglądał mu się ponuro,

— Czujniki Erdwa nie wykrywają żadnych innych śladów księżniczki — odezwał się Trzypeo,

— Mam nadzieję, że jest daleko stąd — Han zwracał się do drzew. Nie chciał nawet myśleć, że mógłby ją stracić. Po wszystkim, co między nimi zaszło, nie potrafił uwierzyć, że jej droga właśnie tutaj dobiegła końca.

— Wygląda na to, że spotkała ich dwóch naraz — wtrącił Luke, byle coś powiedzieć. Nikt nie próbował wyciągać żadnych wniosków.

— Chyba sobie poradziła — odparł Han. Patrzył na Luke'a, ale mówił do siebie.

Jedynie Chewbacca nie przejawiał zainteresowania polanką na której stali. Patrzył na gęstwinę liści i marszczył nos.

— Rahrr! — krzyknął nagle i skoczył między gałęzie. Pobiegli za nim. Erdwa świstnął cicho i nerwowo.

— Co wykrywasz? — warknął Trzypeo. — Mógłbyś wyrażać się bardziej jasno.

Drzewa były tu wyraźnie większe. Wprawdzie nie mogli dostrzec wierzchołków, ale pnie stały się bardziej masywne. Mniej gęste poszycie ułatwiało marsz, lecz wywoływało uczucie, że stają się mniejsi — bardzo nieprzyjemne wrażenie.

Nagle krzaki całkiem zniknęły i przed grupą poszukiwaczy otworzyła się następna polanka. Na samym środku ktoś wbił wysoki pał, do którego przywiązano kilka płatów surowego mięsa. Spojrzeli zdziwieni, po czym wolno podeszli bliżej,

— Co to jest? — Trzypeo głośno wypowiedział nurtujące wszystkich pytanie.

Nos Chewiego oszalał, jakby popadł w wężowe delirium. Wookie powstrzymywał się, jak mógł, w końcu jednak nie zdołał się opanować. Wyciągnął łapę i chwycił kawał mięsa,

— Zaczekaj! — krzyknął Luke, — Nie,,,

Ale było już za późno. Gdy Chewie zdjął mięso z pała, gruba sieć zacisnęła się wokół komandosów i w plątaniu rąk i nóg poderwała ich nad ziemię.

Erdwa zagwizdał głośno — został tak zaprogramowany, by nie znosić pozycji kołami do góry. Wookie szczeknął krótkie przeprosiny.

Han zsunął z ust kosmatą łapę i wypluł sierść,

— Znakomicie, Chewie. Dobra robota, Zawsze myślisz tylko żołądkiem...

— Spokojnie — zawołał Luke. — Lepiej zastanówmy się, jak się stąd wydostać.

Mimo wysiłków, nie zdołał uwolnić ramion. Jedną rękę sieć unieruchomiła na plecach, drugą blokowała

noga Trzypeo. — Czy ktoś może sięgnąć do mojego świetlnego miecza?

Erdwa znalazł się na samym dole. Wysunął końcówkę tnącą i zaczął rozcinać oka sieci.

Solo tymczasem usiłował przesunąć ramię obok Trzypeo, by pochwycić miecz zwisający Luke'owi u pasa. Wszyscy osunęli się nagle, gdy Erdwa przeciął kolejną linę i Han pozostał z twarzą przyciśniętą do głowy androida protokolarnego,

— Z drogi, Złota Sztabo... uhh... odsuń,,,

— A myślisz, że ja się dobrze czuję? — zaatakował Trzypeo. W takiej sytuacji protokół nie obowiązywał,

—Nie bardzo mnie... — zaczął Han, lecz Erdwa właśnie zakończył swe dzieło i cała grupa wysypała się z sieci na ziemię. Stopniowo dochodzili do siebie, siadali, sprawdzając, czy inni są cali i zdrowi, i dostrzegając kolejno, że otacza ich dwadzieścia niewielkich, kudłatych istot, noszących miękkie, skórzane kaptury lub czapki i groźnie potrząsających włóczniami.

Jedna z istot podeszła do Hana, podsuwając mu grot pod sam nos.

— llll wk! — krzyknęła, Solo odsunął drzewce.

— Celuj tym w inną stronę — zaproponował uprzejmie.

Inny Ewok skoczył do Hana, Ten jeszcze raz odbił włócznię, choć ostrze skaleczyło mu ramię.

Luke sięgnął po miecz, lecz właśnie wtedy trzeci Ewok wybiegł do przodu, odepchnął tych bardziej agresywnych i wykrzyczał ku nim długą litanię inwektyw — tak się przynajmniej zdawało. Wyraźnie ich beształ. Luke postanowił zaczekać jeszcze ze świetlnym mieczem.

Za to Han był ranny i zirytowany. Chwycił rękojeść miotacza, lecz Luke powstrzymał go, nim wydobyl broń z kabury.

— Zostaw. Wszystko będzie dobrze,

Nie należy mylić możliwości z wyglądem, mawiał Ben. Ani działania z motywacją. Luke nie był pewien, co myśleć o tych pluszakach, ale miał niejasne przeczucia.

Han cofnął rękę i zachował spokój, gdy stworzenia otoczyły ich i skonfiskowały całą broń. Nawet Luke oddał świetlny miecz. Chewie warknął podejrzliwie.

— Trzypeo — zwrócił się młody Jedi do złocistego androida. — Rozumiesz, co oni mówią?

Trzypeo powstał z płataniny lian i obmacał pancierz, szukając wgnieceń i zadrapań.

— Oj, moja głowa — jęknął.

Na widok jego postaci w całej okazałości, Ewoki zaczęły popiskiwać między sobą, wskazywać i gestykulować gwałtownie.

— Chrii briib a szurr du — zagadnął Trzypeo tego, który wyglądał na przywódcę.

— Bloh wriii dbliiop wiischiriii! — odparło kosmate stworzenie.

— Du wii sziiiss?

— Riioop giwah wrrripsz,

— Szriiii?

Nagle jeden z Ewoków odrzucił włócznię i padł na ziemię przed lśniącem androidem. Po krótkiej chwili wszyscy poszli za jego przykładem. Trzypeo spojrzał na przyjaciół, z zakłopotaniem wzruszając ramionami,

Chewie szczechnął zdziwiony, Erdwa zabrzączał domyślnie. Luke i Han w zdumieniu obserwowali oddział leżących plackiem Ewoków.

Wtedy, na jakiś niewidoczny sygnał, małe stworzonka zaśpiewały chórem:

— likii whoh, iikii whoh, Rheakii rhiikii whoh... Han z niedowierzaniem spojrzał na Trzypeo.

— Coś ty im powiedział?

— Chyba „dzień dobry” — odparł przepraszającym tonem robot. — Mogę się mylić — dodał pospiesznie. — Używają bardzo prymitywnego dialektu... Oni chyba uważają mnie za jakiegoś boga.

Chewbacca i Erdwa uznali to za znakomity dowcip. Przez kilka sekund histerycznie wyli i piszczele. Z trudem zdołali się uspokoić. Wookie otarł łzę z oka.

Han tylko pokręcił głową z wszechogarniającą, ogólnogalaktyczną cierpliwością.

— Może wykorzystasz swe boskie wpływy, żeby nas stąd wyciągnąć? — zaproponował zatroskanym tonem.

Trzypeo wyprostował się na całą wysokość,

— Proszę wybaczyć, generale Solo — odparł ociekając godnością. — Ale to nie byłoby właściwe.

— Właściwe?! — ryknął Han. Zawsze wiedział, że pewnego dnia ten napuszony robot posunie się za daleko. Ten dzień właśnie nastąpił,

— Udawanie istoty boskiej jest wbrew mojemu oprogramowaniu — wyjaśnił android, jakby tłumaczył rzeczy oczywiste.

Han ruszył groźnie ku niemu. Palce go świerzbiły, by wyciągnąć wtyczkę.

— Posłuchaj, ty worku śrubek... Zanim zrobił kolejny krok, piętnaście włóczy Ewoków mierzyło mu prosto w twarz.

— Żartowałem tylko — uśmiechnął się grzecznie.

Procesja Ewoków kroczyła wolno przez mroczny las — niewielkie, pełne powagi stworzenia torowały sobie drogę przez gigantyczny labirynt. Słońce zachodziło, a kraina ciszy okryta gęstniejącymi cieniami wywierała jeszcze bardziej imponujące wrażenie. Ewoki jednak czuły się tu jak w domu, bez wahania skręcając w kolejne korytarze wśród listowia.

Na ramionach niosły czwórkę więźniów: Hana, Chewbacę, Luke'a i Erdwa, przywiązanych do długich drągów, owiniętych lianami tak, że przypominali larwy wijące się w szorstkich kokonach.

Za jeńcami jechał w lektyce, skleconej z gałęzi na podobieństwo tronu, Trzypeo niesiony na barkach pokornych Ewoków. Niby udzielny władca spoglądał wokół siebie, na seledynowy blask zachodzącego słońca, sączący się przez gałęzie, na egzotyczne kwiaty, zamykające swe płatki, na pradawne drzewa i lśniące liście paproci. Wiedział, że nikt jeszcze nie podziwiał tych zjawisk w taki sposób. Nikt nie posiadał jego sensorów, obwodów, programów i bloków pamięci... a więc, w rzeczywistości, to on stworzył ten mały wszechświat, wszystkie jego obrazy i barwy.

To było przyjemne uczucie.

VI

Gwiazdziste niebo zawieszane było tuż nad czubkami drzew — tak przynajmniej zdawało się Lu-ke'owi, gdy Ewoki wniosły go wraz z przyjaciółmi do wioski. Z początku nawet się nie zorientował, że to wioska; maleńkie, pomarańczowe iskierki wziął za gwiazdy. Nietrudno było o pomyłkę, podczas gdy zwiślał z drąga, a światełka migotały w górze, między gałęziami.

Potem jednak zaczęli wchodzić do góry złożonym systemem schodów i ukrytych ramp wiodących dookoła ogromnych pni. Im wyżej się wspinali, tym większe i bardziej jaskrawe stawały się światła. Wreszcie Luke zrozumiał, że to ogniska — ogniska na konarach drzew.

Stanęli na rozchybotanym, drewnianym pomoście, zbyt wysoko nad ziemią, by dostrzec w dole cokolwiek poza przepastną otchłanią. Luke obawiał się, że Ewoki zrzucą ich po prostu, by zbadać znajomość magii lasu. Lecz stworzonka miały inne plany,

Pomost urywał się w połowie drogi między dwoma drzewami. Pierwsza z istot chwyciła długą lianę i przeskoczyła na daleki pień, w którym — Luke mógł to zobaczyć wykręcając głowę do tyłu — otwierała się wielka, podobna do groty dziupla. Nad przepaścią szybko przerzucono liany, budując z nich coś w rodzaju siatki. Potem przeciągnięto jeńców, wciąż przywiązanych do drągów. Luke raz tylko spojrzął w dół, w pustkę. Nie było to miłe przeżycie.

Czekali na wąskiej, chwiejnej platformie, aż wszyscy dotrą na miejsce. Później małeńkie małpko-nie-dźwiadki zwinęły sieć i poniosły więźniów do wnętrza pnia. Panowała tu absolutna ciemność, Luke jednak odniósł wrażenie, że znalazł się raczej w tunelu, niż w grocie. Wyczuwał wokół twarde, solidne ściany, jak w górskiej sztolni. Kiedy wynurzyli się znowu, pięćdziesiąt metrów od wejścia, byli już na wioskowym placu.

Otoczał ich labirynt platform, pomostów i chodników rozciągniętych w gęstej kępie olbrzymich drzew. Na tym rusztowaniu stały chaty, zbudowane z utwardzonej skóry, wikliny i gałęzi, z glinianymi klepiskami i dachami krytymi strzechą. Przed wieloma z nich płonęły ogniska. Wymyślny system lian wychwytywał iskry i niby komin wypuszczał, gdy już zgasły. A wszędzie krążyły setki Ewoków.

Kucharze, garbarze, strażnicy, starcy... Matki Ewoków, na widok jeńców, chwyciły piszczące dzieci i uciekały do chat albo mrucząc coś pokazywały im palcami. Dym palenisk wypełniał powietrze; dzieci bawiły się, muzykanci grali dziwne, harmonijne melodie na wydrążonych pniach i trzciniowych piszczałkach,

W dole rozciągała się czarna otchłań, a w górze druga, jeszcze większa. Między nimi znalazła się jedynie ta nieduża wioska. Luke wyczuwał ciepło, światło i szczególny spokój.

Grupa myśliwych i jeńcy zatrzymali się przed największą chatą. Luke'a, Chewie i Erdwa oparto, wciąż przywiązanych do drągów, o pobliski pień, Hana natomiast przywiązano do kija nad jamą, podejrzenie przypominającą palenisko do rożna.

Z chaty wyszedł Teebo. Był odrobinę tęższy od pozostałych i z pewnością bardziej wojowniczy. Futro miał w jasne ciemnoszare pasy. Zamiast normalnego skórzanego kaptura nosił na głowie górną, rogatą część zwierzęcej czaszki, ozdobioną dodatkowo piórami. Trzymał kamienny topór i nawet jak na kogoś tak niskiego, wyraźnie zadzierał nosa.

Spojrzał obojętnie na grupę, po czym złożył jakieś oświadczenie. Wtedy wystąpił jeden z myśliwych — Paploo, Ewok w krótkiej pelerynce, który miał bardziej przyjazny stosunek do jeńców.

Teebo rozmawiał z nim przez chwilę. Dyskusja szybko przekształciła się w gorący spór, w którym Paploo wyraźnie brał stronę obcych, a Teebo odrzucał wszelkie argumenty, przeciwne własnej opinii. Reszta szczepu obserwowała debatę, z rzadka tylko wykrzykując jakieś komentarze czy popiskując z emocji.

Trzypeo, którego lektykę-tron ustawiono na honorowym miejscu, tuż obok związanego Hana, przysłuchiwał się rozmowom zafascynowany. Raz czy dwa zaczął tłumaczyć, ale przerywał po kilku słowach, gdyż dyskutanci mówili tak szybko, że bał się stracić sens całej narady. W rezultacie nie przekazał właściwie żadnych informacji, prócz imion obu Ewoków,

Han spoglądał na Luke'a, ze zwątpieniem marszcząc czoło.

— Wcale mi się to nie podoba — oznajmił,

Chewie warknął głośno, gdyż całym sercem zgadzał się z przyjacielem.

Nagle z wielkiej chaty wyszedł Logray. Wszyscy umilkli. Niższy od Teebo, cieszył się wyraźnie większym poważaniem. On także nosił na głowie połowę czaszki, chyba jakiegoś wielkiego ptaka, z pojedynczym piórem umocowanym na czubku. Miał pasiaste, jasnobrazowe futro i inteligentną twarz. Nie nosił broni, jedynie woreczek u pasa i laskę z kości potężnego niegdyś wroga.

Kolejno obejrzał jeńców; obwąchał Hana, zbadał palcami materiał ubrania Luke'a. Teebo i Paploo mamrotali do niego, przedstawiając swe przeciwstawne opinie. Sprawiał jednak wrażenie, że ich wywody zupełnie go nie interesują, więc wkrótce ucichli,

Wyraźnie zaciekawiony Logray stanął przed Chewbacca i szturchnął go kościaną laską. Chewie nie był zachwycony; warknął groźnie na małego niedźwiadka. Logray nie potrzebował wyjaśnień, odstał szybko, równocześnie sięgając do woreczka i sypiąc jakieś zioła w stronę Wookiego,

— Ostrożnie, Chewie — ostrzegł Han. — To pewnie ich główny boss.

— Nie — zaprotestował Trzypeo. — Moim zdaniem to szaman.

Luke miał już zacząć działać, ale postanowił zaczekać, Lepiej, żeby ta poważna, choć mała społeczność uzgodniła opinie na ich temat.

Logray podszedł do Erdwa, najbardziej niezwykłego z jeńców. Powąchał, postukał, pogładził pancerz, po czym wykrzywił twarz w głębokim namyśle. Po chwili rozkazał uwolnić robota.

Tłum cofnął się z pomrukiem, gdy spadły ostatnie liany, rozcięte nożami dwóch strażników. Erdwa zsunął się z drąga i zwałił na pomost.

Strażnicy ustawili go pionowo. Erdwa natychmiast wpadł we wściekłość, Namierzył Teebo, jako sprawcę wszelkiej niegodziwości, i bucząc gniewnie zaczął ścigać przerażonego Ewoka. W tłumie zabrzmiały okrzyki — niektórzy kibicowali Teebo, inni piszczeli, by dodać otuchy Erdwa.

Wreszcie robot znalazł się dostatecznie blisko i wystrzelił elektryczną iskrą. Trafiony Ewok wyskoczył w powietrze, pisnął chrapliwie i pognął przed siebie tak szybko, jak tylko zdołały go nieść krótkie nóżki. Gdy widzowie krzyczeli ze złości lub zachwytu, Wicket wślizgnął się niepostrzeżenie do wielkiej chaty.

Trzypeo był oburzony.

— Erdwa! — zawołał. — Przestań natychmiast. Tylko pogarszasz sytuację.

Erdwa podjechał, stanął przed złocistym androidem i zaczął gniewną tyradę buceń.

— Wriii op vrrr gk gdk huu dop dhop vree duu duiit...

Jego wybuch najwyraźniej poruszył Trzypeo. Wyprostował się, aż zadrżał drewniany tron.

— Nie wolno ci tak mówić do kogoś na moim stanowisku.

Luke uznał, że sytuacja za chwilę wymknie się spod kontroli,

— Trzypeo! — krzyknął z ledwie zaznaczoną nutą zniecierpliwienia w głosie. — Chyba już czas, żebyś zabrał głos w naszej obronie.

Android bez entuzjazmu zwrócił się do zgromadzenia kudłatych istot i wygłosił krótką przemowę, od czasu do czasu wskazując na swych przywiązanych do drągów przyjaciół.

Logray wyraźnie się zirytował. Zamachał laską, tupnął nogą i przez pełną minutę wrzeszczał na złocistego robota. Na zakończenie swego wystąpienia skinął na kilku usłużnych współplemieńców, a ci kiwnęli głowami i zaczęli jamę pod Hanem wypełniać drewnem,

— I co powiedział? — zawołał nieco zatroskany Han.

— To dość krępujące, generale Solo — odparł smutno Trzypeo. — Ale wydaje się, że ma pan być głównym daniem podczas bankietu na moją cześć. Był urażony, że się nie zgodziłem.

Zanim ktokolwiek zdążył znowu zabrać głos, drewniane bębny zadudniły w złowróbnym rytmie. Kudłate głowy jak jedna zwróciły się w stronę wejścia do wielkiej chaty. Stanął w nim Wicket, a za nim Wódz Chirpa.

Chirpa miał siwe futro. Na głowie nosił wieniec z liści oraz zębów i rogów dzikich zwierząt, które pokonał w walce. W prawej ręce trzymał laskę z rzeźbionej kości latającego gada, a w lewej iguanę, swego ulubieńca i doradcę.

Jednym rzutem oka ocenił sytuację na placu, po czym odwrócił się, by przepuścić swego gościa.

Tym gościem była piękna, młoda księżniczka Alderaan.

— Leia! — krzyknęli równocześnie Han i Luke.

— Rahrhah!

— Buu dllduii!

— Wasza Wysokość!

Leia chciała podbiec do więźniów, lecz drogę zagroził jej szereg uzbrojonych we włócznie Ewoków. Spojrzała na Wodza Chirpę, potem na swego tłumacza.

— Trzypeo, powiedz im, że to moi przyjaciele. Muszą ich uwolnić.

— lip squee rhiou — robot bardzo grzecznie zwrócił się do Lograya i Chirpy. — Squeeou roah miip miib iirah.

Chirpa i Logray pokręcili głowami w geście jednoznacznej odmowy. Logray wydał pomocnikom jakiś rozkaz, a ci z zapalą wrócili do układania drew pod Solo.

Han spojrział bezradnie na Leię.

— Mam wrażenie, że ta mowa niewiele nam pomogła.

— Luke, co robić? — spytała zrozpaczona księżniczka, Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Miała nadzieję na przewodnika i powrót do statku, a w najgorszym razie kolację i nocleg w wiosce. Zupełnie nie rozumiała tych stworzeń, — Luke!

Han miał właśnie coś zaproponować, gdy nagle zdał sobie sprawę z tego, jak głęboko wierzy Leia w możliwości Luke'a. Nigdy dotąd tego nie zauważył.

Nie zdążył przedstawić swego planu.

— Trzypeo — odezwał się Luke. — Powiedz, że jeśli nas nie uwolnią, rozgniewasz się i użyjesz czarów.

— Ależ panie Luke, jakich czarów? — zaprotestował robot. — Nie mogę przecież...

— Powiedz im — powtórzył Luke podnosząc głos. Trzypeo potrafił czasem nadwerżyć nawet cierpliwość Jedi.

Robot zwrócił się do tłumu i przemówił z powagą:

— Imibli skrisz oarr aisz sz szistii mip ip ip, Ewoki bardzo zaniepokoiło to oświadczenie.

Cofnęły się wszystkie, z wyjątkiem Lograya, który wystąpił naprzód. Krzyknął coś do Trzypeo — coś przypominającego wyzwanie.

Luke zamknął oczy i skoncentrował się. Trzypeo mamrotał niespokojnie, jakby ktoś go przytąpał na fałszowaniu własnego programu.

— Nie wierzą mi, panie Luke, przecież uprzedzałem...

Luke jednak nie słuchał; wyobrażał sobie. Widział, jak złocisty i błyszczący siedzi na tronie z gałęzi, kiwa głową na wszystkie strony, papie o sprawach zupełnie nieistotnych, siedzi w czarnej pustce świadomości Luke^... i z wolna zaczyna się unosić.

I Trzypeo zaczął z wolna się unosić.

Z początku tego nie zauważył, podobnie zresztą jak pozostali. Po prostu gadał dalej, a lektyka spokojnie wznosiła się coraz wyżej.

— ...uprzedzałem, mówiłem przecież, wiedziałem, że nie uwierzą. Nie wiem, czemu pan..., co... chwileczkę... co się dzieje?

Trzypeo i Ewoki równocześnie spostrzegli, co się wydarzyło. Ewoki w milczeniu i przerażeniu odstąpiły od latającego tronu. Trzypeo zawirował powoli, płynnie i majestatycznie,

— Ratunku — szepnął. — Pomóż mi, Erdwa. Wódz Chirpa szybko wydał rozkazy załężnionym poddanym. Podbiegli natychmiast i rozciąli więzy krępujące jeńców. Leia, Han i Luke uściskali się mocno. W tych niezwykłych okolicznościach odnieśli swe pierwsze zwycięstwo w kampanii przeciwko Imperium.

Luke usłyszał nagle z tyłu błagalny pisk. To Erdwa, wciąż obserwujący zawieszony w powietrzu Trzypeo, prosił o pomoc dla towarzysza. Luke ostrożnie opuścił złocistego robota na pomost,

— Dzięki, Trzypeo — z wdzięcznością poklepał go po ramieniu,

Android, wciąż wstrząśnięty, wstał niepewny i zdumiony.

— Naprawdę, panie Luke, nie wiedziałem, że jestem do tego zdolny,

Chata wodza Chirpy była wielka według norm Ewoków, lecz Chewbacca, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, niemal dotykał głową sufitu. Wookie z przyjaciółmi zajmował miejsce pod jedną ze ścian, naprzeciw Wodza i dziesięciu Starszych. Pośrodku, między obiema grupami, płonęło niewielkie ognisko, rzucając migotliwe cienie na gliniane ściany.

Na zewnątrz cała wioska oczekiwała na decyzję Rady, Noc była jasna i cicha, lecz mimo późnej pory żaden z Ewoków nie kładł się do snu.

Przemawiał Trzypeo, Pętłe dodatnich i ujemnych sprzężeń zwrotnych zwiększyły jego możliwości płynnego posługiwania się skrzekliwą mową gospodarzy; właśnie streszczał historię Galaktycznej Wojny Domowej. Opowieść była pełna pantomimicznych gestów, krasomówczych zwrotów, wybuchowych efektów dźwiękowych i komentarzy odautorskich, W pewnej chwili robot zaczął nawet naśladować ciężki, imperialny łązik.

Starsi Ewoków słuchali z uwagą, od czasu do czasu wymrukując do siebie jakieś uwagi. Fascynująca opowieść pochłaniała ich bez reszty, raz przerażonych, innym razem oburzonych. Logray i Chirpa naradzali się i kilkakrotnie przerywali Trzypeo pytaniami, na które robot odpowiadał wyczerpująco. Raz nawet Erdwa gwizdnął, zapewne dla emfazy,

W końcu jednak, po dość krótkiej dyskusji wśród Starszych, Wódz przecząco pokręcił głową, z wyrazem niezadowolenia na twarzy, Przemówił do Trzypeo.

— Wódz Chirpa uważa, że to porywająca historia — przetłumaczył robot. — Ale nie ma nic wspólnego z Ewokami.

Zaległa pełna napięcia cisza. Jedynie gasnące ognisko trzaskami prowadziło swój monolog. Wreszcie przemówił Solo, właśnie on, przemówił w imieniu całej grupy. W imieniu Sprzymierzenia.

— Powiedz im, Złota Sztabo — po raz pierwszy uśmiechnął się do androida z sympatią. — Powiedz, że trudno jest przetłumaczyć powstanie, może więc nie tłumacz powinien o nim opowiadać. Ja opowiem. Powinni nam pomóc nie dlatego, że ich o to prosimy. Nawet nie dlatego, że leży to w ich interesie, choć tak jest. Sam wiesz. Na przykład, Imperium wyciąga z księżycy masę energii generującej pole deflektora, I tej energii zabraknie im zimą, a to znaczy, że mocno ucierpią. Ale to nieważne, Powiedz im, Trzypeo.

Trzypeo powiedział. Han mówił dalej,

— Więc nie dlatego powinni nam pomóc. Kiedyś ja robiłem tylko to, co przynosiło korzyści. Ale teraz już nie. No, w każdym razie nie wyłącznie. Teraz pomagam przyjaciółom... bo co jeszcze ma znaczenie? Pie

niądze? Władza? Jabba je posiadał i sam wiesz, co się z nim stało. Dobrze, dobrze, rzecz w tym, że przyjaciele, to... przyjaciele. Wiesz?

Była to najbardziej nieprecyzyjna definicja, jaką Leia w życiu słyszała. Mimo to lzy stanęły jej w oczach. Ewoki jednak pozostały milczące i obojętne. Teebo i ten drugi, Paploo, zamienili szeptem kilka słów. Reszta siedziała nieruchomo, z nieodgadnionymi minami.

Po długiej chwili Luke odchrząknął.

— Zdaję sobie sprawę, że to pojęcie może się wydać abstrakcyjne... i niełatwo dostrzec związek — zaczął wolno. — Ale jest niezwykle ważne dla całej Galaktyki, by nasz oddział zniszczył garnizon Imperium na Endorze. Popatrzcie w górę, przez otwór dymny w dachu. Przez ten niewielki otwór widzicie setki gwiazd. Na niebie są ich miliony, a całych miliardów nie możecie stąd zobaczyć. Wszystkie mają planety, księżyce i szczęśliwych mieszkańców, takich jak wy. Imperium chce je zniszczyć. Możecie... możecie dostać zawrotu głowy, kiedy położycie się na plecach i spojrzycie na te gwiazdy. Możecie... czasem niemal eksplodować, takie są piękne. Jesteście częścią tego piękna, fragmentem tej samej Mocy. A Imperium próbuje pogasić światła.

Długo trwało, nim Trzypeo zakończył tłumaczenie, Chciał jak najlepiej dobrać słowa. Gdy przestał mówić, wśród Starszych rozległy się popiskiwanie, bardziej i mniej głośnie, cichnące i wzmagające się,

Leia wiedziała, co próbował powiedzieć Luke, lecz obawiała się, że Ewoki tego nie zrozumieją. A przecież wszystko to było ściśle powiązane. Gdyby tylko zdołała przerzucić most nad luką pojęciową. Wspomniała swe przeżycia w lesie, wrażenie jedności z drzewami, których wyciągnięte ramiona zdawały się dosięgać gwiazd — tych samych, których blask sączył się w dół jak kaskady magii. Czuła w sobie potęgę tej magii, wibrującą we wnętrzu chaty, płynącą od istoty do istoty i znowu do niej, czyniąc ją jeszcze silniejszą. Aż poczuła, że stanowi jedno z Ewokami, że zna ich i rozumie, że myśli i oddycha wraz z nimi.

Debata zakończyła się wreszcie i raz jeszcze zapanowała cisza. Leia zwolniła tempo oddechu, jakby w rezonansie z Ewokami. Wreszcie, z godnością i powagą, zabrała głos przed Radą.

— Zróbcie to dla drzew — powiedziała. Nic więcej. Wszyscy czekali na dalszy ciąg, którego nie było. Tylko to proste, krótkie zdanie.

Wicket stał z boku i z troską przyglądał się obradom, Kilka razy już z wyraźnym trudem powstrzymał się od zabrania głosu. Teraz jednak wyskoczył na środek, przez chwilę spacerował tam i z powrotem, wreszcie stanął przed Starszymi i zaczął mówić z pasją.

— Ip ip mip squii...

— Dostojni Starsi — przekładał Trzypeo. — Tej nocy otrzymaliśmy groźny i wspaniały dar. To wolność. Złoty Bóg... — robot przerwał na chwilę, by napawać się tymi słowami, — Złoty Bóg — podjął — którego przybycie zostało przepowiedziane jeszcze w czasach Pierwszego Drzewa, mówi nam teraz, że nie będzie naszym panem. Mówi, że możemy wybierać swobodnie... że musimy wybrać, jak wszystkie żywe stworzenia wybierają swe przeznaczenie. Przybył tu, dostojni Starsi, i stąd odejdzie. Nie będziemy już niewolnikami jego boskich nakazów. Jesteśmy wolni. Lecz co mamy począć z wolnością? A czy miłość Ewoka do lasu jest głęboka dlatego, że

może go opuścić? Nie; jest tym większa, ponieważ może odejść, a jednak zostaje. Tak też jest z głosem Złotego Boga: możemy zatkać uszy, a jednak słuchamy. Jego przyjaciele mówią o Mocy,

wielkim, żyjącym duchu, którego wszyscy jesteście częścią, jak liście, oddzielne istnienia, a jednak części drzewa. My znamy tego ducha, dostojni Starsi, choć nie nazywamy go Mocą. Przyjaciele Złotego Boga mówią, że owa Moc jest zagrożona, tutaj i wszędzie. Któż jest bezpieczny, gdy wybuchnie pożar lasu? Nikt, nawet Wielkie Drzewo, z którego zrodziło się wszystko, ani jego liście, ani korzenie. Wszystko jest w niebezpieczeństwie, teraz i zawsze. Dzielną jest rzeczą stanąć na drodze pożaru, dostojni Starsi. Wielu zginie, by przeżyć las. Lecz Ewoki są dzielne.

Mały niedźwiadek mierzył wzrokiem zebranych w chacie. Nie padło ani jedno słowo, lecz trwała wymiana spojrzeń. Wreszcie, po minucie Wicket dokończył przemowę,

— Dostojni Starsi, powinniśmy pomóc tym szlachetnym przybyszom, nie tylko dla drzew, ale bardziej jeszcze dla liści. Ci Powstańcy są jak Ewoki, zaś Ewoki jak liście. Szarpane wichrem, pożerane bezmyślnie przez chmury szarańczy, które zamieszkują świat. Lecz to my dorzucamy na gasnące ogniska, by inni poznali ciepło i blask. My układamy się w miękkie łóża, by inni poznali odpoczynek. My szeleścimy na wietrze, by wzbudzić lęk w sercach wrogów. My zmieniamy kolory, gdy pory roku wzywają nas do zmiany. Musimy teraz pomóc naszym braciom-liściami, tym Powstańcom... gdyż nadeszła pora zmiany.

Stał nieruchomo, a płomyki gorzały w jego oczach, Przez jedną chwilę zdawało się, że świat cały zamarł,

Starsi byli wyraźnie poruszeni. Bez słowa, równocześnie pokiwali głowami. Może mieli zdolności telepatyczne? W każdym razie wódz Chirpa powstał i bez żadnych wstępów wygłosił krótkie oświadczenie.

Natychmiast w całej wiosce załomotały bębny. Starsi zerwali się i, już nie tak poważni, popędzili, by ścisnąć Powstańców, Teebo chciał nawet objąć Erdwa, lecz robot cofnął się z ostrzegawczym pomrukiem i Ewok zrezygnował. Odstąpił i radośnie skoczył na plecy Wookiego.

— Co się dzieje? — spytał z niepewnym uśmiechem Han.

— Nie jestem pewna — odparła Leia. — Ale wygląda obiecująco,

Luke, jak jego przyjaciele, uśmiechał się i ścisnął wesołe Ewoki, gdy nagle ciemna chmura wypełniła jego serce, dmuchnęła chłodem w zakamarki duszy. Nie okazał po sobie niczego. Nikt niczego nie zauważył,

Trzypeo kiwał głową, słuchając wyjaśnień Wicketa. Z szerokim gestem ręki zwrócił się do Powstańców.

— Jesteśmy teraz członkami plemienia,

— Tylko o tym marzyłem — stwierdził Solo. Robot mówił dalej, usiłując ignorować sarkastycznego generała.

— Wódz przysiągł udzielić nam wszelkiej pomocy, by uwolnić ich ziemię od najeźdźców.

— Marna pomoc jest lepsza niż żadna pomoc, zawsze to powtarzałem — zachichotał Solo,

Trzypeo po raz kolejny przegrzewał obwody niechęcią dla tego koreliańskiego niewdzięcznika.

— Teebo obiecał, że jego najlepsi zwiadowcy, Pap-loo i Wicket, pokażą nam najkrótszą drogę do generatora pola.

— Powiedz, że dziękujemy, Złota Sztabo — Han uwielbiał dogryzać Trzypeo. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

Chewie szczeknął głośno, zadowolony, że znowu rusza do akcji. Jeden z Ewoków uznał, że prosi o jedzenie, i przyniósł mu wielki kawał mięsa. Chewbacca nie odmówił. Połknął mięso za jednym zamachem,

co kilka Ewoków obserwowało ze zdumieniem. Wyczyn ten tak nimi wstrząsnął, że zachichotały głośno i tak zaraźliwie, że Wookie także zaczął parskać. Głośne prychnania wydały się Ewokom naprawdę zabawne, więc — zgodnie ze swym zwyczajem — skoczyły, by go łaskotać. Wookie rewanżował się tym samym, aż cała grupa padła bez tchu na podłogę. Chewie otarł oczy i złapał kolejny płat mięsa, który gryzł w wolniejszym już tempie,

Solo tymczasem zajmował się sprawami organizacyjnymi.

— Jak to daleko? Potrzebujemy zapasów. Nie zostało dużo czasu. Daj mi kawałek, Chewie... Chewie warknął.

Luke przeszedł pod ścianę i w ogólnym zamieszaniu wymknął się na zewnątrz. Na placu trwało święto:

tańce, śpiewy, zabawy. Chłopiec ominął wszystko to z daleka. Oddalał się od ognisk i radości, by znaleźć kryjówkę na zapomnianym pomoście po ocienionej stronie gigantycznego pnia, Leia poszła za nim.

Odgłosy lasu wypełniały noc: świerszcze, przemykające gryzonie, podmuchy wiatru wśród liści i hukanie sów. Unosił się aromat kwitnącego nocą jaśminu i sosen, niebo było krystalicznie czarne.

Luke spoglądał na najjaśniejszą z gwiazd. Zdawało się, że rozszalałe żywioły we wnętrzu wzmacniają jej blask. To była Gwiazda Śmierci.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Wtedy właśnie odnalazła go Leia,

— Co się stało? — szepnęła.

— Obawiam się, że wszystko — odparł zmęczonym głosem. — A może nic? Może wszystko zmierza do końca; jaki był przeznaczony od samego, początku...

Wyczuwał obecność Vadera, całkiem niedaleko.

Leia ujęła go za rękę. Był jej bliski, choć nie rozumiała, dlaczego. Wydawał się taki zagubiony i samotny. Niemal nie czuła jego dłoni w swych palcach.

— Co się dzieje, Luke?

Spojrzał na ich splecione dłonie.

— Leio... czy pamiętasz swoją matkę? Prawdziwą matkę?

Pytanie zaskoczyło ją całkowicie. Bardzo kochała swoich przybranych rodziców — tak, jakby to byli prawdziwi rodzice. Nie myślała o prawdziwej matce; była niby sen.

Teraz jednak pytanie Luke'a obudziło wspomnienia. Mignęły obrazy z dzieciństwa..., piękna kobieta... kryjąca się we wnętrzu pnia drzewa. Oderwane wizje groziły przypiływem emocji,

— Tak — usiłowała odzyskać spokój ducha, — Bardzo słabo. Umarła, kiedy byłam całkiem małą.

— Co pamiętasz? — nie ustępował. — Opowiedz.

— Tylko odczucia... niewyraźne obrazy... — nie chciała o tym myśleć. Pytanie padło tak niespodziewanie, bez związku z bieżącymi problemami... ale nie wiadomo czemu rozbrzmiewało w duszy potężnym dźwiękiem.

— Opowiedz — powtórzył Luke. Ten upór trochę ją zdziwił, postanowiła jednak ustąpić. Ufała mu, nawet gdy budził lęk.

— Była bardzo piękna — wspominała głośno. — Łagodna i delikatna... ale smutna — spojrzała mu w oczy, usiłując zrozumieć intencje. — Dlaczego o to pytasz?

Odwrócił się i znów spojrzał na Gwiazdę Śmierci. Już miał wyznać prawdę, lecz coś go nagle przestraszyło i zamknął się w sobie.

— Nie pamiętam swojej matki — stwierdził. — Nie znałem jej.

— Luke, powiedz, co cię martwi — chciała mu pomóc. Wiedziała, że potrafi.

Przyglądał się jej przez chwilę, badając możliwości, sondując potrzebę, pragnienie poznania odpowiedzi. Leia była silna. Czuł to wyraźnie. Mógł na niej polegać, on i wszyscy pozostali.

— Vader tu jest. Teraz. Na tym księżycu. Ogarnął ją chłód, niemal dotykalny, jakby krzepła w żyłach krew.

— Skąd wiesz?

— Czuję jego obecność, Przyleciał po mnie.

— Ale skąd mógł wiedzieć, że tu jesteśmy? Może to kod? Może pominęliśmy jakieś hasło? Wiedziała, że to nieprawda.

— Nie. To ja, Wyczuwa, kiedy jestem blisko. Chwytał ją za ramiona. Chciał wyznać wszystko, lecz teraz, kiedy próbował, jego wola osłabła.

— Muszę was opuścić, Leio. Póki jestem z wami, narażam całą grupę i powodzenie misji — ręce mu drżały. — Muszę się spotkać z Yaderem.

Leia nie pojmowała. Informacje atakowały jej umysł niby nadlatujące z ciemności sowy, muskające skrzydłami policzki, szarpiące szponami włosy, szepczące szorstko w samo ucho: „Czemu? Czemu? Czemu?”

Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem, Luke. Co to znaczy, że musisz się spotkać z Yaderem?

Przyciągnął ją do siebie, nagle delikatny i spokojny. Jeśli to powie, całkiem zwyczajnie, będzie w jakiś sposób wyzwolony.

— Jest moim ojcem, Leio.

— Twoim ojcem?

Nie mogła uwierzyć, ale oczywiście to była prawda.

Trzymał ją mocno, by być niby opoka i podpora.

— Leio, powiem ci jeszcze coś. Niełatwo przyjdzie ci się z tym pogodzić, ale musisz. Chcę, byś wiedziała, zanim jeszcze odejdę, że mogę nie wrócić. Jeżeli mi się nie uda, ty jesteś ostatnią nadzieją Sprzymierzenia.

Odwróciła się, pokręciła głową, unikała jego wzroku. To, co mówił, budziło niepokój, choć nie wiedziała dlaczego. Przecież to nonsens. Dlatego. Powiedział, że gdyby zginął, ona będzie ostatnią nadzieją Sprzymierzenia. Absurd. Jak można pomyśleć, że Luke zginie. .. i jak można ją nazwać „ostatnią nadzieją”?

Obie te rzeczy były wykluczone. Odstąpiła na krok, by zaprzeczyć głośno, a przynajmniej zyskać właściwy dystans, swobodę oddechu. Powróciły obrazy matki. Pożegnalny uścisk, oderwanie,..

— Nie mów tak, Luke. Musisz przeżyć. Zrobię, co będę mogła, jak wszyscy, ale to nie ma znaczenia. Bez ciebie... niczego nie dokonam. Ty jesteś ważny, Luke. Widziałam, Masz siłę, której nie pojmuję..., i nigdy nie zdobędę.

— Mylisz się, Leio. Ty także masz tę siłę. Moc jest silna w tobie, Z czasem nauczysz się jej używać, jak ja.

Pokręciła głową. Nie mogła tego słuchać. To nie była prawda. Nie miała żadnej siły. Siła leżała gdzie indziej, a ona mogła tylko pomagać, pocieszać i wspierać. Co on wygaduje? Czy to w ogóle możliwe?

Przyciągnął ją bliżej, ujął w dłonie jej twarz.

Był teraz tak czuły, tak ofiarny,.. Czy ofiarowywał jej Moc? Czy zdoła ją przyjąć? Co mówił?

— Luke, co się z tobą dzieje?

— Leio, Moc zawsze była silna w mojej rodzinie. Ojciec ją miał, ja ją mam i..., moja siostra także,

Spojrzała mu prosto w oczy. Wirowała w nich ciemność. I prawda. To, co zobaczyła, budziło lęk, ale tym razem nie cofnęła się. Zaczynała rozumieć.

— Tak — szepnął. — To ty, Leio.

Przytulił ją mocno,

Zacisnęła powieki, by powstrzymać jego słowa, powstrzymać łzy. Bez skutku. Wszystko spadło na nią w tej chwili, spłynęło przez nią.

— Wiem — przytaknęła szlochając.

— Wiesz zatem, że muszę się z nim spotkać. Twarz jej płonęła, myśli wirowały jak statek w sztormowej fali.

— Nie, Luke. Nie. Uciekaj stąd, jak najdalej. Jeśli wyczuwa twoją obecność, odleć z tego miejsca — wtuliła twarz w jego pierś. — Chciałabym iść z tobą.

Delikatnie gładził jej włosy,

— Wcale nie. Ty nigdy nie zawiodłaś. Han, ja i inni wątpiliśmy, ale ty zawsze byłaś silna. Nigdy nie uchylałaś się od odpowiedzialności. Nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Wspomniał przedwczesny odlot z Dagobah, gdy pognął ryzykując wszystko, zanim dokończył szkolenia, Niewiele brakowało, by przegrał. Spojrzał na czarną, mechaniczną dłoń, którą za to otrzymał. Ile jeszcze strat przyniesie jego słabość?

— A więc — wykrztusił — oboje ruszamy na spotkanie swego przeznaczenia,

— Ale dlaczego, Luke? Dlaczego musisz się z nim zmierzyć?

Pomyślał o wszystkich możliwych powodach: by zwyciężyć, by przegrać, by się przyłączyć, by walczyć, zabić, zapłakać, odejść, oskarżyć, spytać dlaczego, wybaczyć, nie wybaczyć, by zginąć... ale wiedział, że istnieje tylko jedna przyczyna, teraz i zawsze. Jeden jedyny powód, który ma znaczenie.

— Jest w nim dobro. Czuję to. Nie odda mnie Imperatorowi. Potrafię go ocalić, przeciągnąć znowu na

jasną stronę — w jego oczach błysnęła pasja i zwątpienie równocześnie. — Muszę spróbować, Leio. Jest naszym ojcem. Łzy płynęły bezgłośnie po jej twarzy.

— Żegnaj, siostrzo zagubiona i odnaleziona. Żegnaj, kochana, słodka Leio.

Teraz płakała otwarcie. On też miał łzy w oczach, gdy odwracał się i wolno odchodził pomostem, by zniknąć w mroku drzewnej groty, prowadzącej do wyjścia z wioski,

Leia spoglądała za nim zapłakana. Nie tamowała łez, Pozwoliła uczuciom wypłynąć na powierzchnię. Za to usiłowała przeżywać je w pełni, dotrzeć do źródła, podążyć ich ścieżką do wszystkich mrocznych zakątków, które teraz zostały oczyszczone,

Wspomnienia napłynęły szeroką falą, wskazówki, podejrzenia, rozmowy prowadzone szeptem, gdy wszyscy myśleli, że śpi. Luke jej bratem! A Vader ojcem. To zbyt wiele naraz. Nastąpiło przeładowanie informacyjne.

Płakała i drżała, gdy nagle Han objął ją z tyłu, Szukał jej, trafił w to miejsce i zdążył jeszcze zobaczyć odchodzącego Luke'a. Lecz dopiero teraz, gdy Leia drgnęła pod jego dotknięciem, zauważył, że szlocha.

Kpiący uśmiech znikł, zastąpiony wyrazem troski i lęku o księżniczkę.

— Co się tu dzieje?

Opanowała się z trudem, otarła oczy.

— Nic, Han, Po prostu chcę być przez chwilę sama. Coś ukrywała. To było całkiem oczywiste i nie do przyjęcia,

— Co to znaczy nic? — zapytał gniewnie. — Chcę wiedzieć, co się stało. Powiedz.

Chwyił ją za ramiona i potrząsnął. Nigdy jeszcze tak nie reagował. Chciał wiedzieć, ale nie to, co zda

wało mu się, że zgaduje, Serce wzdragało się na myśl, że Leia..., z Luke'em,, Nie mógł sobie nawet wyobrazić tego, w co nie chciał uwierzyć.

Nie pamiętał, by kiedyś do tego stopnia przestał nad sobą panować. Nie podobało mu się to, ale nie umiał przestać, Zdał sobie sprawę, że wciąż nią potrząsa, więc cofnął ręce.

— Nie mogę, Han.., — wargi jej drżały.

— Nie możesz! Mnie nie możesz powiedzieć? Sądziłem, że jesteśmy sobie bliscy, ale wyraźnie się myliłem. Może wolałabyś powiedzieć Luke'owi? Czasami myślę...

— Och, Han! — krzyknęła i raz jeszcze zalała się łzami. Wtuliła się w niego i przycisnęła mocno,

Gniew zmieniał się wolno w zakłopotanie i niepokój. Objął ją, gładził ramiona, próbował uspokoić,

— Przepraszam — szeptał w jej włosy, — Przepraszam.

Nic z tego nie rozumiał: ani jej, ani siebie, ani zamętu uczuć, ani kobiet, ani wszechświata. Wiedział tylko, że przed chwilą był wściekły, a teraz jest czuły, opiekuńczy i delikatny. Bez sensu.

— Proszę.., po prostu obejmij mnie mocno — szepnęła. Nie chciała rozmawiać. Chciała tylko, by ktoś ją przytulił.

I Han przytulił ją.

Krople porannej rosy zmieniały się w lekką mgiełkę w miarę jak słońce wschodziło coraz wyżej nad horyzontem Endor. Listowie na skraju lasu wydzielalo ciężki, wilgotny aromat. W porze świtu księżyc zamilkł, jakby wstrzymał oddech,

Imperialna platforma ładownicza kontrastowała z otoczeniem. Szorstka, metaliczna, ośmiokątna, niby szrama wcinająca się w dziewicze piękno. Krzewy wokół niej poczerniały spalone ogniem z dyszy lądujących często promów. Roślinność wokół wędła, ginęła od zanieczyszczeń, ciężkich stóp, gazów wylotowych.

Żołnierze pracowali bez przerwy, na platformie i wokół niej: ładowali i rozładowywali, badali teren i rozprawdzali warty. Imperialne dwunożne łaziki stały z boku — kanciaste, opancerzone wozy bojowe, mieszczące drużynę szturmowców i zdolne do prowadzenia ognia we wszystkich kierunkach. Imperialny prom wystartował ku Gwieździe Śmierci, a ryk silników wstrząsnął drzewami. Kolejny łazik wyszedł spomiędzy drzew, kończąc misję patrolową. Krok po kroku zbliżał się do platformy,

Darth Vader stał na dolnym pokładzie i w milczeniu obserwował puszcę. Już wkrótce. Czas nadchodził, czuł to wyraźnie. Niby coraz mocniejszy głos bębna, zbliżało się jego przeznaczenie. Wokół czaił się lęk, lecz ten lęk tylko go podniecał. Pozwolił więc, by wrzał cicho w duszy. Strach był niby środek pobudzający, wyostrzał zmysły i potęgował namiętności.

Coraz bliżej,..

Przeczuwał też zwycięstwo, Władzę. Ale między nimi jeszcze coś... co to było? Jeszcze nie potrafił rozpoznać. Przyszłość wiecznie pozostawała w ruchu. Jej obrazy kusily, jak zmienne, nietrwałe widma. Los był niewyraźny, choć brzemienny w zniszczenia i podboje,

Bardzo blisko...

Warknął głucho, niby dziki kot, który poczuł zapach ofiary.

Już prawie...

Łazik stanął po przeciwnej stronie platformy i otworzył klapy. Z wnętrza wymaszerował oddział szturmowców w ciasnym, kolistym szyku. Równym krokiem podeszli do Vadera.

Lord odwrócił się i czekał. Oddychał równo, a czarny płaszcz zwiśla luźno w bezwietrznej aurze. Szturmowcy zatrzymali się i na rozkaz dowódcy rozstąpili, odsłaniając związanego jeńca. Był nim Luke Skywalker.

Młody Jedi spoglądał na Vadera z absolutnym spokojem.

— Ten Rebeliant sam się poddał — zameldował dowódca szturmowców. — Wprawdzie zaprzecza temu, ale sądzę, że jest ich tu więcej. Proszę o zgodę na dokładne przeszukanie terenu.

Wyciągnął rękę. W dłoni trzymał świetlny miecz Luke'a.

— Nie miał broni, tylko to.

Przez chwilę Vader spoglądał nieruchomo na miecz, Potem odebrał go oficerowi.

— Możecie odejść. Zbadajcie teren i przyprowadźcie do mnie jego towarzyszy.

Cały oddział wykonał zwrot i pomaszerował do maszyny.

Luke i Vader stali naprzeciw siebie w szmaragdowej ciszy ponadczasowej puszczy. Mgła rzedła. Zaczynał się długi dzień.

VII

A więc przyszedłeś do mnie — stwierdził głucho Czarny Lord.

— A ty do mnie.

— Imperator czeka na ciebie. Wierzy, że przejdiesz na ciemną stronę Mocy.

— Wiem... ojczu.

Dla Luke'a był to trudny wyczyn — zwrócić się do Lorda „ojczu”. Ale dokonał tego, nie stracił panowania nad sobą. Chwila minęła. Udało się. Czuł się teraz silny. I spokojny.

— Nareszcie pogodziłeś się z prawdą — Vader tryumfował.

— Pogodziłem się z faktem, że byłeś kiedyś Anakinem Skywalkerem, moim ojcem.

— To imię nie ma już dla mnie znaczenia. To było imię z dawnych lat, z innego życia i innego wszechświata. Czy naprawdę był kiedyś tym człowiekiem?

— To imię twego prawdziwego ducha — Luke spoglądał nieruchomo na okrytą czarnym płaszczem postać. — Po prostu zapomniałeś. Wiem, że jest w tobie dobro. Imperator nie zdołał go zniszczyć.

Modulował głos, próbując potęgą wiary stworzyć potencjalną rzeczywistość.

— Dlatego nie potrafisz mnie zniszczyć. Dlatego nie zabierzesz mnie od razu do Imperatora,

Vader uśmiechnął się pod maską, słysząc, jak jego syn używa modulacji głosowej Jedi.

Spojrzał na świetlny miecz, który podał mu oficer — miecz Luke'a. Więc chłopiec naprawdę był Jedi. Dorósł,

Podniósł miecz.

— Zbudowałeś drugi.

— Ten jest mój — odparł Luke. — Nie używam już twojego.

Vader zapalił ostrze i niczym wirtuoz ocenił buczący cicho, jaskrawy promień światła.

— Osiągnąłeś pełnię umiejętności. Jesteś tak potężny, jak przewidywał Imperator.

Przez chwilę stali nieruchomo, rozdzieleni świetlną klingą. Iskry przebiegały po ostrzu — fotony wybite z toru energią pulsującą między dwoma rycerzami,

— Chodź ze mną, ojczu, Vader pokręcił głową.

— Ben myślał kiedyś tak jak ty...

— Nie obwiniaj Bena za swój upadek... — Luke postąpił o krok bliżej, lecz zatrzymał się natychmiast. Vader nie drgnął.

— Nie znasz potęgi ciemnej strony. Muszę być posłuszny swemu panu.

— Nie przejdę na tę stronę. Będziesz musiał mnie zniszczyć.

— Jeśli takie jest twoje przeznaczenie... — nie chciał tego, ale chłopak był silny. Jeśli w końcu dojdzie do walki... tak, zniszczy go. Nie może sobie pozwolić na wahanie, jak kiedyś.

— Zbadaj swe uczucia, ojcze. Nie możesz tego zrobić. Wyczuwam w tobie konflikt. Odrzuć nienawiść.

Vader jednak nikogo nie nienawidził. Jedynie ślepo pożądał władzy.

— Ktoś nakładł ci do głowy niemądrych idei, młodzieńcze. Imperator pokaże ci prawdziwą istotę Mocy. Teraz on jest twoim nauczycielem.

Zgasił miecz i skinął na grupę szturmowców, Ruszyli ku nim. Luke i Vader przez długą, pełną napięcia chwilę spoglądali na siebie badawczo. Czarny Lord przemówił tuż przed podejściem straży,

— Dla mnie już jest za późno, synu.

— Więc mój ojciec umarł naprawdę — odparł chłopiec. Czy coś go powstrzyma przed zabiciem tego wcielenia zła, które miał na wyciągnięcie ręki?

Może nic.

Ogromna flota powstańcza zawisła w przestrzeni, gotowa do szturm. Znajdowała się o setki lat świetlnych od Gwiazdy Śmierci, ale w hiperprzestrzeni wieczność jest tylko chwilą, a skuteczność ataku nie zależy od odległości, ale od precyzji.

Statki zmieniały szyk, od brzegów w stronę centrum, aż utworzyły wielościenną, romboidalną formację — jak gdyby kobra rozłożyła swój kaptur.

Obliczenia, wymagane do przerzucenia z prędkością światła tak skrupulatnie sformowanych sił ofensywy, wymuszały nadmiar z punktu stacjonarnego — nieruchomego względem punktu wyjścia z hiperprzestrzeni. Dowództwo Sprzymierzenia wybrało w tym celu niewielką, błękitną planetę w systemie Sullusta. Armada zajęła pozycje, a lśniący świat przypominał oko węża,

„Sokół Millennium” dokonał ostatecznej kontroli położenia statków, po czym zajął miejsce za jednostką flagową. Czas nadszedł,

Za sterami „Sokoła” zasiadł Lando. Obok jego drugi pilot, Nien Nunb — pomarszczony, mysiooki mieszkaniec Sullusta — wciskał klawisze, sprawdzał odczyty i kończył przygotowania do hiperprzestrzennego skoku.

Lando przełączył komunikator na pasmo specjalne. Ostatnie rozdanie w tej grze, on obstawia, przy stole twardzi hazardziści — lubił takie rozgrywki, Przełknął ślinę.

— Admirale, zajęliśmy pozycje — zameldował. — Wszystkie myśliwce gotowe.

— Kontynuować odliczanie — zatrzeszczał w słuchawkach głos Ackbara. — Eskadry przechodzą na współrzędne szturmowe.

Lando uśmiechnął się do kopilota.

— Nie martw się. Moi przyjaciele są tam, na dole. Wyłączą to pole we właściwym momencie. Odwrócił się i dodał pod nosem:

— Albo będzie to najkrótsza ofensywa w historii,

— Gzhung zgodio — zauważył kopilot.

— To fakt — burknął Lando. — Przygotujmy się.

Klepnął tablicę na szczęście, choć głęboko wierzył, że dobry gracz sam sobie je przynosi. Ale teraz wszystko zależało od Hana, a Han prawie nigdy go nie zawiodł. Tylko raz, bardzo dawno temu, w pewnym bardzo dalekim systemie.

To całkiem inna historia. Tym razem stworzą nową definicję szczęścia i nazwą je „Lando”. Uśmiechnął się i raz jeszcze poklepał tablicę... jak należy.

Na mostku Gwiezdnego Krążownika Ackbar spojrzał na swoich generałów. Wszyscy byli gotowi.

— Czy grupy osiągnęły już współrzędne szturmowe? — zapytał. Wiedział, że tak.

— Tak jest, admirale.

Ackbar spojrzał na ekran wizyjny. Z dumą kontemlował morze gwiazd, może już po raz ostatni. Wreszcie pochylił się nad komunikatorem.

— Na mój znak wszystkie jednostki przechodzą w hiperprzestrzeń — nadał na paśmie specjalnym, — Niech Moc będzie z nami.

Wyciągnął dłoń w kierunku klawisza sygnalizacyjnego.

Z „Sokoła” Lando patrzył na ten sam galaktyczny ocean i odczuwał tę samą powagę chwili. A także obawę. Przystępowali do akcji, jakiej siły partyzanckie nie powinny podejmować — wydawali przeciwnikowi

otwartą bitwę, jak klasyczna armia. Prowadząc wojnę partyzancką Imperium prawie zawsze ponosiło klęski. Z kolei Sprzymierzenie prawie zawsze zwyciężało. Aż doszło do najgroźniejszej

sytuacji —Powstańcy wychodzili w otwartą przestrzeń, by walczyć na warunkach Imperium. Jeśli przegrają tę bitwę, przegrają wojnę.

Nagle na pulpicie błysnęło światło sygnalizatora: znak Ackbara. Rozpoczął się atak,

Lando przerzucił wyłączniki konwersji i pchnął dźwignię. Na zewnątrz gwiazdy zmieniły się w świetlne pasma, coraz jaśniejsze i dłuższe. Eskadry osiągały prędkość światła, przez chwilę dotrzymując kroku fotonom, by przez ugięcie przestrzenne wskoczyć w hiperprzestrzeń i zniknąć w rozbłysku mionów.

Krystalicznie błękitna planeta pozostała samotna, jak ślepe oko na próżno wpatrujące się w ciemność.

Grupa uderzeniowa czekała w ukryciu za niskim grzbietem wzniesienia w pobliżu placówki Imperium, Leia badała teren niewielkim elektronicznym skanerem.

Na platformie lądowiska trwał rozładunek dwóch promów, w pobliżu stało kilka dwunożnych łazików, dookoła kręcili się żołnierze, pomagali w pracach, nosili ładunki, pełnili warty. Masywny generator pola buczał głośno w pobliżu.

Przy komandosach, ukryta w krzakach na grzbiecie wzniesienia, leżała grupka Ewoków, wśród nich Wicket, Teebo, Paploo i Warwick. Pozostali czekali niżej, za wzgórkami.

Leia schowała skaner i wycofała się.

— Wejście jest po przeciwnej stronie platformy — poinformowała. — Nie będzie łatwo.

— Ahrck grah rahr hrowrowhr — zgodził się Chewbacca.

— Daj spokój, Chewie. — Han spojrzął z wyrzutem, — Docieraliśmy już w bardziej strzeżone miejsca.

— Frowhr rahgh rahrahraff vrawgh gr — Wookie machnął łapą,

Han zastanowił się.

— Na przykład korzenne skarbcze na Gargonie.

— Krahghrowf — pokręcił głową Chewie.

— Naturalnie, że mam rację. Zaraz sobie przypomnę, jak tego dokonaliśmy — podrapał się w czoło, by pobudzić pamięć.

Nagle Paploo zaczął popiskiwać coś do Wicketa.

— Co on mówi, Trzypeo? — spytała Leia. Android zamienił kilka zdań z Paploo. Wicket patrzył na księżniczkę z uśmiechem zadowolenia.

— Wicket twierdzi — wyjaśnił Trzypeo — że zna tylne wejście do bunkra generatora. Han podniósł głowę.

— Tylne drzwi? Jasne! Tak właśnie wtedy weszliśmy!

Czterech imperialnych zwiadowców pilnowało wejścia do bunkra, do połowy wrytego w ziemię, spory kawałek za główną sekcją kompleksu generatora. Raketowe skutery czekały w pobliżu,

.Dalej, wśród krzewów kryła się grupa uderzeniowa.

— Grrr, rowf rrrhl bhrnnh — zauważył spokojnie Chewbacca.

— Masz rację — przyznał Solo. — Z tymi czterema sprawa będzie prostsza niż ujeżdżanie bantha.

— Wystarczy jeden, by podnieść alarm — ostrzegła Leia, Han uśmiechnął się z wyraźną pewnością siebie.

— W takim razie musimy to załatwić po cichutku. Jeżeli Luke zdoła odciągnąć od nas Vadera, a mówiłaś, że obiecał, nie powinno być problemów, Wystarczy usunąć strażników możliwie szybko i dyskretnie.

Trzypeo szeptał do Teebo i Paploo, tłumacząc im cele i problemy. Ewoki rozmawiały przez chwilę, po czym Paploo zerwał się i zniknął wśród krzaków.

Trzypeo zapytał Teebo o wyjaśnienie i otrzymał krótką odpowiedź,

— Ojej — przestraszył się i wstał, by spojrzeć na polankę obok bunkra.

— Na dół! — syknął Han.

— O co chodzi, Trzypeo? — zdziwiła się Leia.

— Obawiam się, że nasz kudłaty towarzysz chce zrobić coś nieprzemyślanego — android miał nadzieję, że nie jego będą za to winić,

— O czym ty mówisz? — w głosie księżniczki słychać było nutę lęku.

— Och, nie! Patrzcie!

Paploo przedarł się przez gałęzie do miejsca, gdzie stały skutery. Z rosnącym przerażeniem Powstańcy obserwowali, jak kłębek futra wspina się na siedzenie i zaczyna losowo wciskać klawisze. Nim zdążyli zareagować, silnik skutera ryknął głośno. Czterej zwiadowcy odwrócili głowy. Paploo z szaleńczym uśmiechem nadal manipulował przyrządami,

Leia chwyciła się za głowę.

— Och, nie, nie, nie!

Chewie warknął. Solo pokiwał głową.

— To tyle, jeśli chodzi o nasz niespodziewany atak. Zwiadowcy ruszyli biegiem w chwili, gdy Paploo uruchomił główny napęd i pomknął w las. Mógł co najwyżej ścisnąć krótkimi łapkami kierownicę. Trzej żołnierze wskoczyli na skutery i ruszyli w pogoń za zwariowanym Ewokiem. Czwarty pozostał na posterunku przed wrotami. Leia była zachwycona i zdumiona.

— Nieźle, jak na kłębek kłaków — stwierdził z uznaniem Han. Skinął na Wookiego i obaj poczołgali się w stronę bunkra.

Paploo tymczasem pędził wśród drzew, unikając zderzenia raczej dzięki szczęściu, niż umiejętności sterowania. Posuwał się z prędkością stosunkowo niedużą jak na możliwości skutera, lecz ogromną dla kierowcy Ewoka. Był niemal nieprzytomny z emocji. Jazda była przerażająca, ale i zachwycająca. Będzie o niej opowiadał do końca swych dni, a potem jego dzieci powtórzą historię swoim dzieciom, a prędkość będzie rosła z każdym kolejnym pokoleniem.

Na razie jednak imperialni zwiadowcy zaczęli go doganiać. Gdy oddali pierwsze strzały, uznał, że ma już dość. Gdy tylko skryło go drzewo, pochwyił lianę i siłą rozpędu poszybował między gałęzie. Po kilku sekundach zwiadowcy przemknęli dołem. Paploo zachichotał.

Przed bunkrem nie było już strażnika. Powalonego przez Chewbaccę, związanego i pozbawionego munduru, wnosili właśnie między drzewa dwaj komandosi. Reszta grupy uformowała krąg wokół wejścia.

Han stał u wrót i sprawdzał płytę kontrolną mechanizmu zabezpieczającego. Wolno, w naturalnym tempie, wybierał kolejne cyfry skradzionego kodu. Wrota rozsunęły się bezszelestnie.

Leia zajrzała do wnętrza. Nikogo. Skinęła na pozostałych i weszła do bunkra. Han i Chewie kroczyli tuż za nią. Wkrótce cała grupa czała się pod stalowymi ścianami korytarza. Na zewnątrz pozostał tylko jeden człowiek w uniformie zwiadowcy. Han wcisnął kilka klawiszy na wewnętrznej płycie, zamykając wrota.

Leia pomyślała o Luke'u. Miała nadzieję, że zdoła powstrzymać Vadera, przynajmniej tak długo, by zdążyli wysadzić generator, Pragnęła też, by w ogóle nie doszło do spotkania. Obawiała się, że z nich dwóch Vader jest silniejszy.

Ostrożnie ruszyła w głąb ciemnego, niskiego tune-lu,

Prom Vadera stanął na płycie lądowiska Gwiazdy Śmierci niby czarny, bezskrzydły sęp, niby koszmarny owad. Luke i Czarny Lord wynurzyli się z dziobu bestii i w otoczeniu niewielkiego oddziału szturmowców podążyli do szybu windy.

Po obu stronach wejścia czekali imperatorscy gwardziści, skapani w krwistym blasku. Otworzyli drzwi. Luke przestąpił próg,

Jego myśli wirowały szaleńczo. Miał stanąć przed Imperatorem. Imperatorem! Gdyby tylko zdołał się skoncentrować, zrozumieć, co musi uczynić... i dokonać tego.

Lecz w jego umyśle panował zamęt, jakby wiał podziemny wicher.

Miał nadzieję, że Leia szybko unieruchomi generator pola i Gwiazda Śmierci zostanie zniszczona, póki są tu wszyscy trzej. Zanim coś się stanie. Ponieważ im bliżej znajdował się Imperatora, tym więcej było tych „coś”, których się lękał. Czarna burza szalała w myślach. Chciał zabić Imperatora, ale co potem? Walczyć z Vaderem? Co robi jego ojciec? A gdyby najpierw wyzwąć Vadera, zabić go... i co dalej? Idea była równocześnie odpychająca i kusząca. Po raz pierwszy Luke miał wizję: ujrzał samego siebie, jak stoi nad martwym ciałem ojca, jak przejmuje jego potęgę, jak siedzi po prawicy Imperatora.

Zacisnął powieki, by przegnać ten obraz. Zimny pot wystąpił mu na czoło, jakby musnęła je dłoń Śmierci.

Drzwi windy stanęły otworem. Luke i Vader samotnie wkroczyli do sali tronowej, przeszli ciemny

przedpokój, wspięli się na schody i stanęli przed tronem: ojciec i syn, ramię w ramię, obaj w czerni, jeden zamaskowany, drugi z odkrytą twarzą. Na tronie siedział Imperator.

Vader pokłonił się władcy. Imperator gestem pozwolił mu wstać. Czarny Lord wypełnił rozkaz swego pana.

— Witaj młody Skywalkerze — uśmiechnął się człowiek, który był wcieleniem Zła. — Czekałem na ciebie.

Luke spoglądał dumnie i wyzywająco na zgarbioną postać w płaszczu z kapturem. Uśmiech Imperatora stał się jeszcze cieplejszy, bardziej ojcowski. Popatrzył na kajdany chłopca.

— Nie będą już potrzebne — stwierdził i wykonał niewidoczny niemal gest. Kajdany z brzękiem opadły na podłogę.

Luke poruszył dłońmi. Był wolny. Mógł chwycić Imperatora za gardło, zmiażdżyć tchawicę...

A przecież Imperator wydawał się dobrotliwy. Czy sam nie uwolnił Luke'a? Był także podstępny. Nie daj się zwieść pozorom, uczył Ben. Imperator nie miał broni. Mógł go zaatakować. Ale czy agresja nie leżała po ciemnej stronie? Czy nie powinien jej unikać za wszelką cenę? A może zdoła ostrożnie wykorzystać ciemność, by potem od niej odstąpić? Patrzył na wolne ręce... mógł wszystko zakończyć, tu i teraz... Czy naprawdę? Miał swobodę wyboru, lecz nie potrafił wybrać. Wybór to obosieczna broń. Mógł zabić Imperatora, mógł też poddać się jego argumentom. Mógł zabić Vadera... a potem nawet stać się Vaderem, Ta myśl chichotała niby obłąkany kłown, póki nie zepchnął jej w czarne zakamarki umysłu.

Imperator czekał z uśmiechem. Chwila nabrzmiwała możliwościami...
Aż przeminęła, Luke nie zrobił nic.

— Powiedz, młody Skywalkerze — powiedział Imperator widząc, że pierwsza potyczka dobiegła końca. — Kto do tej pory prowadził twoje szkolenie?

Jego uśmiech był wąski, pusty.

Luke milczał. Niczego nie zdradzi,

— Wiem, że na początku był to Obi-wan Kenobi — mówił dalej nienawistny władca. Zetknął końce palców, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Wargi skrzywiły się w grymasie szyderstwa. — Naturalnie, znamy talenty Obi-wana w szkoleniu Jedi — skinął lekko w stronę Vadera, poprzedniego prymusa Kenobiego. Czarny Lord stał nieruchomo, nie zareagował.

Luke'a ogarnęła wściekłość, gdy Imperator w ten sposób obraził Bena... choć, oczywiście, według niego była to pochwała. Zesztywniał jeszcze bardziej, pojmując, że Imperator właściwie miał rację. Z wysiłkiem opanował gniew, gdyż gniew wyraźnie cieszył władcę.

Palpatine dostrzegł wzburzenie na twarzy chłopca i parsknął.

— A więc na pierwszym etapie szkolenia podążyłeś ścieżką swego ojca. Ale cóż, Obi-wan nie żyje. Jego starszy uczeń o to zadbał — znów wskazał na Vadera.

— Powiedz zatem, młody Skywalkerze, kto uczył cię później?

Znowu ten uśmiech, niby nóż. Luke milczał, z wysiłkiem zachowując opanowanie.

Imperator bębnił palcami o poręcz tronu.

— Był ktoś taki... imieniem Yoda. Stary Mistrz Jedi... poznaję z twego zachowania, że uderzyłem w dźwięczną strunę. Więc to Yoda,

Tym razem Luke poczuł gniew na siebie, że zdradził się — wbrew chęciom i nieświadomie. Gniew i wątpliwość. Próbował odzyskać spokój, widzieć wszystko, niczego nie okazywać. Po prostu być,

— A ów Yoda — zamyślił się Imperator. — Żyje jeszcze?

Luke skoncentrował uwagę na pustce przestrzeni, widocznej na ekranie obok tronu. Próżnia, gdzie nic nie istniało, Nic. Wypełnił umysł tym czarnym nic. Próżnia... jedynie migotanie gwiazd sączyło się poprzez kosmos.

— Ach! — zawołał Palpatine. — Nie żyje. Znakomicie, młody Skywalkerze, Prawie zdołałeś to ukryć. Ale nie udało ci się. I nie uda. Twe najskrytsze myśli są dla mnie wyraźnie widoczne. Twój nagi umysł. Niech to będzie dla ciebie pierwszą lekcją.

Rozpromienił się.

Luke czuł rozpacz, lecz tylko przez moment, W swym upadku znalazł nową siłę. Tak uczyli Ben i Yoda: gdy jesteś atakowany, upadaj. Niech potęga przeciwnika uderza w ciebie tak, jak silny wiatr w żdźbła trawy, które pochyla do ziemi, Z czasem osłabnie, a ty pozostaniesz silny. Imperator chytrze obserwował twarz chłopca.

— Jestem pewien, że Yoda nauczył cię umiejętnie korzystać z Mocy.

Złośliwość wywarła zamierzony efekt. Luke zaczerwienił się i napiął mięśnie.

Imperator obliznął wargi, widząc jego reakcję. Zaśmiał się gardłowo z otchłani swej duszy.

Luke znieruchomiał, dostrzegł bowiem coś jeszcze. Coś, czego się nie spodziewał: strach. Imperator bał się — bał się Luke'a, jego siły i możliwości wykorzystania jej przeciw niemu w ten sam sposób, w jaki Vader użył swej siły przeciw Kenobiemu. Chłopiec zobaczył strach władcy i wiedział, że jego szansę nieco wzrosły. Zdołał zajrzeć w nagą jaźń przeciwnika.

Palpatine milczał przez chwilę, patrząc młodemu Jedi prosto w oczy. Badał swe silne i słabe punkty.

Wyprostował się, zadowolony z wyniku pierwszego starcia.

— Chętnie dokończę twego szkolenia, młody Sky-walkerze. Kiedyś nazwiesz mnie Mistrzem.

Po raz pierwszy Luke panował nad sobą na tyle, by odpowiedzieć,

— Mylisz się, Nie nawrócisz mnie, jak mojego ojca.

— Nie, mój młody Jedi. To ty się mylisz, w wielu sprawach.

Palpatine wstał, podszedł do chłopca i jadowity wzrok utkwiał w jego oczach. Wreszcie Luke zobaczył pod kapturem jego twarz: oczy zapadnięte jak grobowce; ciało gnijące pod skórą pomarszczoną od trujących wichrów, poznaczoną zniszczeniem; uśmiech jak u kościotrupa; cuchnący oddech.

Vader wyciągnął okrytą rękawicą dłoń, w której trzymał świetlny miecz Luke'a. Imperator wziął go z satysfakcją i wolno podszedł do wielkiego, okrągłego ekranu wizyjnego. Gwiazda Śmierci wirowała powoli i księżyc-sanktuarium był widoczny przy samej krawędzi,

Palpatine spojrział na Endor, potem znowu na miecz.

— A tak, broń Jedi. Bardzo podobna do broni twojego ojca — odwrócił się, — Z pewnością wiesz już, że ojciec nie powróci z ciemnej strony. Tak też będzie z tobą.

— Nigdy. Wkrótce zginę, a ty razem ze mną — Luke był tego pewien i dlatego pozwolił sobie na przechwałkę.

Imperator zaśmiał się złośliwie.

— Mówisz chyba o mającym wkrótce nastąpić ataku waszej rebelianckiej floty. Luke poczuł zawrót głowy. Uspokoił się z wysiłkiem.

— Zapewniam cię, że ze strony twoich przyjaciół nic nam tu nie grozi.

Chłopiec był coraz bardziej zirytowany.

— Wasza wiara w siebie jest waszą słabością

— oświadczył.

— Twoją zaś jest wiara w przyjaciół — Imperator zaczął rozciągać wargi w uśmiechu, lecz w jego głosie zabrzmiał gniew. — Wszystko, co zaszło, działa się według moich planów. Twoi towarzysze na księżycu-

-sanktuarium wchodzą w pułapkę. Tak samo jak rebeliancka flota. Luke drgnął. Imperator dostrzegł to natychmiast.

— To ja pozwoliłem Sprzymierzeniu uzyskać informację o lokalizacji generatora pola. Jest bezpieczny, Wasza żalosna grupka nic nie robi. Czekają tam cały legion szturmowców.

Luke spoglądał na Imperatora, na Vadera, wreszcie na świetlny miecz w dłoni władcy. Gorączkowo szukał w myślach możliwości działania. Nagle wszystko wymknęło się spod kontroli. Mógł liczyć wyłącznie na siebie. A nie do końca nad sobą panował.

Imperator kontynuował z dumą:

— Obawiam się, że generator będzie działał, gdy zjawi się wasza flota. Ale to nie koniec moich niespodzianek. Nie chcę jednak psuć ci przyjemności.

Z punktu widzenia chłopca sytuacja pogarszała się gwałtownie. Kolejne porażki spadały na jego barki. Ile zdoła jeszcze wytrzymać? Wyczyny Palpatine przeciwko Galaktyce zdawały się nie mieć końca. Luke wyciągnął rękę po miecz.

— Z tego miejsca — mówił Imperator — będziesz świadkiem ostatecznej klęski Sprzymierzenia. A zatem, młody Skywalkerze, także końca waszej żalosnej rebelii.

Luke cierpiał. Wyciągnął rękę dalej, gdy zdał sobie sprawę z tego, że Palpatine i Vader przyglądają mu się uważnie. Opuścił dłoń, starał się przytłumić gniew, próbował odzyskać poprzedni spokój, znaleźć jego ośrodek — by zrozumieć, co musi uczynić. Imperator uśmiechnął się zimno,

— Chciałbyś to dostać, prawda? Nienawiść w tobie nabrzmiewa. Doskonale. Weź swoją broń Jedi. Użyj jej. Jestem nie uzbrojony. Uderz we mnie. Poddaj się nienawiści. Z każdą chwilą coraz bardziej stajesz się moim sługą.

Chrapliwy śmiech odbił się echem od ścian, niby pustynny wiatr. Vader wciąż patrzył na Luke'a nieruchomo.

Chłopiec próbował ukryć cierpienie.

— Nie, Nigdy.

W rozpaczy pomyślał o Benie i Yodzie. Byli teraz elementem Mocy, częścią energii, która ją kształtowała. Czy potrafiliby swą obecnością zakłócić wizje Imperatora? Nikt nie jest do końca niezawodny, powtarzał Ben. Imperator nie może widzieć wszystkiego, znać każdej przyszłości, każdej warstwy rzeczywistości, nad którą chce zachłannie panować.

Ben, pomyślał Luke, jeśli kiedykolwiek potrzebna mi była twoja pomoc, to właśnie teraz. Jak mam postąpić, by nie doprowadziło to do klęski?

Jakby w odpowiedzi, Imperator uśmiechnął się szyderczo i odłożył świetlny miecz na swój fotel, niedaleko ręki Luke'a.

— To nieuniknione — oświadczył niezbyt głośno. — To twoje przeznaczenie. Jak twój ojciec, należysz teraz do mnie.

Luke nigdy jeszcze nie czuł się tak zagubiony.

Han, Chewie, Leia i dziesiątka komandosów podążali labiryntem korytarzy do miejsca, gdzie na zdobyczej mapie zaznaczono komorę sterowania generatora pola. Żółte światło padało z niskiego stropu, na każdą zakręconą ścianę rzucając długie cienie. Na pierwszych trzech skrzyżowaniach nie spotkali żadnego żołnierza ani technika.

W salce na czwartym trzymało straż sześciu szturmowców Imperium.

Nie dało się ich ominąć; musieli przejść przez ten korytarz. Han i Leia spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Pozostawała tylko walka,

Wyciągając miotacze wpadli przez wąskie drzwi. Strażnicy jakby ich oczekiwali, gdyż natychmiast przykłąkli i otworzyli ogień. W lawinie laserowych impulsów, odbijających się od stropu i podłogi, dwaj szturmowcy padli od razu. Trzeci stracił miotacz i ukryty za wielką chłodziarką mógł tylko siedzieć cicho i nie wystawiać nawet nosa.

Jeszcze dwaj stali za klapą przeciwpożarową i strzelali do każdego komandosa, który usiłował się przedrzeć, Zranili czterech. Byli praktycznie nieosiągalni za termiczną tarczą.

Lecz „praktycznie” nie odnosiło się do Wookich.

Chewbacca skoczył z rozpędu na drzwi, wyrwał je z zawiasów. Runęły na żołnierzy, którzy upadli, niezdolni do walki.

Leia zastrzeliła szóstego strażnika, gdy wstał, by zlikwidować Chewiego. Szturmowiec skulony za chłodziarką wyskoczył nagle i rzucił się pędem, by sprowadzić pomoc. Han dogonił go po kilku długich krokach i powalił solidnym ciosem. Szturmowiec stracił przytomność,

Sprawdzili stan oddziału i poniesione straty. Nieźle wyszli z tego spotkania, ale narobili hałasu. Musieli się spieszyć, by zdążyć zanim ktoś uruchomi alarm ogólny. Centrum energetyczne zasilające generator było już blisko. I nie będzie już następnej szansy.

Powstańcza flota wyskoczyła z hiperprzestrzem Wśród jaśniejących smug blasku eskadra za eskadrą wynurzała się w szyku bojowym i ruszała ku Gwieździe Śmierci i jej księżycowi-sanktuarium, zawieszonemu w pobliżu. Wkrótce cała armada, z „Sokołem Millenium” na czele, mknęła do celu.

Lando niepokoił się. Skontrolował ekran, zmienił polaryzację, sprawdził na komputerze.

Drugi pilot także był zaskoczony.

— Zhng ahzi gngohzh. Dhy lyhz!

— Jak to możliwe? — nie pojmował Lando. — Musimy przecież uzyskać jakiś odczyt osłony! Kto kogo oszukiwał w tym starciu? Nien Nunb wskazał tablicę i potrząsnął głową.

— Dzhmbd.

— Zablokowane? Jak mogą blokować czujniki, skoro nie wiedzieli, że...

Skrzywił się w stronę Gwiazdy Śmierci. Uświadomił sobie, co wyniknie z jego własnych słów. To nie był atak z zaskoczenia. To był skok w sieć pająka.

Trzasnął klawisz komunikatora.

— Przerwać szturm! Osłona działa!

— Nie mam odczytu. Jesteś pewien? — odezwał się w słuchawkach głos Czerwonego Dowódcy.

— Zawracać! — krzyczał Calrissian. — Wszystkie jednostki, natychmiastowy zwrot!

Wykręcił na lewo, a myśliwce Czerwonej Eskadry podążyły jego śladem.

Nie wszystkim się udało. Trzy X-skrzydłowce z flanki zaczęły o niewidzialne pole deflektora, przekoziółkowały szaleńczo i buchnęły płomieniem. Nikt z pozostałych nie obejrzał się za nimi.

Na mostku Gwiezdnego Krążownika wyły syreny alarmowe, błyskały światła i brzęczały dzwonki. Ogromny statek wykonywał ostry zwrot, próbując zmienić kurs, by uniknąć zderzenia z osłoną. Oficerowie pędzili ze stanowisk bojowych na posterunki nawigacyjne; przez ekrany wizyjne widać było inne statki, szybujące w setkach kierunków; niektóre zwalniały, inne zwiększały prędkość.

Admirał Ackbar mówił do mikrofonu, szybko, ale spokojnie,

— Manewr wymijający. Grupa Zielona, kurs na Sektor Postojowy. Grupa Niebieska, MG-7...

— Admirale, jednostki przeciwnika w sektorach RT-23 i PB-4! — krzyknął z końca mostku kontroler, także Mon Calamari.

Wielki ekran wizyjny ożywał. Ukazywał już nie tylko zawieszoną w pustce Gwiazdę Śmierci i zielony księżyc. Potężna flotylla Imperium w ciasnym szyku wynurzała się zza Endora dwiema szerokimi falami, by otoczyć Powstańców z obu stron, niby kleszcze groźnego skorpiona.

A pole deflektora blokowało Sprzymierzonych od przodu. Nie mieli gdzie lecieć,

— To pułapka! — krzyknął do komunikatora Ackbar. — Przygotować się do ataku!

— Są myśliwce! Wchodzimy! — odezwał się z głośnika jakiś nieznany pilot.

Zaczęła się bitwa.

Najpierw myśliwce TIE; były szybsze od ciężkich Niszczycieli Imperium, więc jako pierwsze uzyskały kontakt bojowy z atakującymi. Wywiązały się gwałtowne starcia i po chwili rubinowe eksplozje rozjaśniły czerni kosmosu.

Do Ackbara podszedł adiutant,

— Zwiększyliśmy moc osłony czołowej — zameldował.

— Doskonale. Podwoić dopływ energii do baterii głównej i...

Nagle Gwiezdnym Krążownikiem wstrząsnęła seria termonuklearnych wybuchów, widocznych tuż za ekranem wizyjnym.

— Złota Eskadra pod ostrzałem! — krzyknął inny oficer, wbiegając na mostek.

— Dać im osłonę — polecił Ackbar. — Musimy zyskać na czasie.

Pochylił się nad komunikatorem. Kolejny wybuch wstrząsnął statkiem.

— Wszystkie jednostki, pozostać na pozycjach! Czekać na rozkaz odwrotu!

Dla Lando i jego eskadr szturmowych było już za późno. Znaleźli się daleko przed głównymi siłami, pędząc wprost ku flotylli Imperium.

Wedge Antilles, towarzysz Luke'a z pierwszej kampanii, dowodził X-skrzydłowcami eskortującymi „Sokoła”. Gdy zbliżyli się do jednostek Imperium, w komunikatorach rozległ się jego spokojny, obojętny niemal głos:

— Zablokować płyty w położeniu bojowym. Stateczniki rozsuneły się niby skrzydła ważek, zwiększając szybkość i zdolność manewrowania myśliwców.

— Skrzydła, meldować gotowość — rzucił Lando.

— Czerwony Dowódca gotów — odpowiedział Wedge.

— Zielony Dowódca gotów.

— Niebieski Dowódca gotów.

— Szary Dowódca,...

Pilot nie dokończył. Seria oślepiających wybuchów zdeintegrowała Szarą Eskadrę.

— Już są — mruknął Wedge,

— Akceleracja do prędkości bojowej — rozkazał Lando. — Próbujcie odciągnąć ich ogień od krążowników... jak długo się da,

— Zrozumiałem, Złoty Dowódco — odpowiedział Wedge. — Przesuwamy się do zero trzy wzdłuż osi...,

— Dwójka nadlatuje z dwudziestu stopni — zauważył ktoś.

— Widzę, Zejdź w lewo. Wezmę prowadzącego,

— Uważaj, Wedge, trzech od góry.

— Tak.

— Mam go, Czerwony Dowódco.

— Za dużo ich...,

— Trafili cię. Wycofaj się...

— Uważaj, Czerwony Cztery!

— Dostałem!

X-skrzydłowiec zawirował, roziskrzył się, przemknął po nieboskłonie i pozbawiony energii odleciał w pustkę.

— Masz jednego na ogonie, uważaj! — wrzasnął do Wedge'a Czerwony Sześć.
— Odczyt negatywny. Gdzie on jest?
— Czerwony Sześć, eskadra myśliwców przedarła się...
— Atakują statek szpitalny! Za nimi!
— Gońcie — zgodził się Lando. — Wchodzę do akcji i. Mam cztery cele na zero trzy pięć.
Oslaniajcie mnie.

— Jesteśmy za tobą, Złoty Dowódco. Czerwony Dwa, Czerwony Trzy, podciągnąć...
— Zaczekajcie.
— Grupa Niebieska, domknąć formację.
— Dobry strzał, Czerwony Dwa.
— Całkiem niezłe — ocenił Lando, — Weźmiemy tamtą trójkę.
„Sokół” wykręcił pół beczki, otwierając ogień z dolnych miotaczy, Dwa imperialne myśliwce zostały zestrzelone, trzeci trafiony tak, że zderzył się z czwartym. Przestrzeń roiała się od nich, lecz „Sokół” był półtora raza szybszy od wszystkiego co latało.

W ciągu kilku minut pole bitwy wypełnił czerwony poblask, kłęby dymu, ogniowe kule, strugi iskier, wirujące strzępy urządzeń, błyski laserów, zamrażnięte w kosmosie ciała i burze elektronowe.

Był to ponury, przerażający spektakl. A dopiero się zaczynał,
Nien Nunb rzucił jakąś gardłową uwagę,
— Masz rację — Lando zmarszczył brwi. — Atakują tylko ich myśliwce. Na co czekają te Gwiezdne Niszczyciele?

Wyglądało na to, że Imperator chce wciągnąć Powstańców głębiej.
— Dzhng zhng — ostrzegł drugi pilot, gdy kolejna eskadra TIE zanurkowała w ich stronę.
— Widzę. Wplątaliśmy się bez wyjścia — rzucił okiem na Endor, płynący wolno po prawej stronie, — Han, stary kumplu, nie zawał teraz sprawy,

Han wduśił przycisk zestawu naręcznego i zakrył głowę, Opancerzone wrota głównej komory sterowania rozsypały się w deszcz nadtopionych fragmentów, Grupa uderzeniowa wbiegła przez otwór do wnętrza,

Szturmowcy byli zupełnie zaskoczeni. Kilku zostało rannych fragmentami wrót, pozostali gapili się zdumieni, gdy otaczali ich Powstańcy. Han pędził z przodu, Leia tuż za nim. Chewie osłaniał tyły.

Ustawili całą obsługę w kącie pomieszczenia, pod strażą trzech komandosów, Trzech dalszych pilnowało drzwi. Pozostali rozmieszczali ładunki wybuchowe,
Leia studiowała ekrany na pulpicie kontrolnym.

— Han, popatrz! — zawołała. — Atakują naszą flotę! Solo spojrzaj szybko.
— Niech to! Osłona jeszcze działa. Nasi znaleźli się pod ścianą.
— Zgadza się — odezwał się ktoś za ich plecami.

— Tak samo, jak wy.

Han i Leia odwrócili się błyskawicznie. Mierzyły w nich dziesiątki imperialnych miotaczy. Cały legion szturmowców krył się w ściennych schowkach bunkra. Teraz, w ułamku sekundy, Powstańcy zostali otoczeni. Nie mieli którędy uciekać, przewaga wroga wykluczała czynny opór. Nie mieli szans.

Następni żołnierze wbiegli do komory i brutalnie odbierali broń zdumionym komandosom.
Han, Leia i Chewie spojrzeli na siebie bezradnie, bez nadziei, Byli ostatnią szansą Sprzymierzenia,
Zawiedli.

W pewnej odległości od głównego pola bitwy, szybując bezpiecznie w centrum mrowia statków tworzących flotyllę Imperium, płynął w przestrzeni flagowy Gwiezdny Superniszczyciel. Przez ogromny ekran wizyjny na mostku admirał Piett obserwował walkę z ciekawością, jakby to były manewry lub jakieś widowisko.

Dwaj kapitanowie stali za jego plecami, milcząc pokornie. Uczyli się eleganckich metod swego Imperatora.

— Zatrzymać flotyllę — rozkazał admirał. Jeden z kapitanów odbiegł, by przekazać polecenie. Drugi podszedł do ekranu i stanął obok zwierzchnika,
— Nie będziemy atakować?
— Mam wyraźne rozkazy od samego Imperatora
— skrzywił się Piett, — Zaplanował coś specjalnego dla tych zbuntowanych mętów.

Podkreślił wyjątkowość planów władcy chwilą milczenia, by dociekliwy oficer zdążył wszystko przemyśleć.

— Mamy tylko uniemożliwić im ucieczkę.

Imperator, Vader i Luke przyglądali się walce z bezpiecznej sali tronowej w Gwieździe Śmierci.

Cała scena stanowiła istotne pandemonium. Bezgłośnie, jaskrawe eksplozje otoczone zieloną, fioletową lub błękitną poświatą. Szybujące płynnie nadtopione odłamki stali. Dzikie, gwałtowne starcia. Zamrożone rozpryski czegoś, co mogło być krwią.

Luke obserwował ze zgrozą, jak kolejny powstańczy statek uderzył w niewidzialne pole deflektora i rozbłysnął ogniem wybuchu.

Vader obserwował Luke'a. Chłopak był potężny, silniejszy niż sobie wyobrażał. I nadal giętki. Jeszcze nie stracony,., mógł przejść na tę nędzną, słabą stronę Mocy, która musiała zebrać o wszystko, lub na stronę Imperatora, który nie bez powodu obawiał się Luke'a.

Wciąż była szansa, by przejąć Luke'a dla siebie, odebrać go na powrót. Połączyć się z nim w majestacie ciemności. Razem władać Galaktyką. Trzeba tylko cierpliwości i odrobinę magii, by pokazać chłopcu niezwykle możliwości mrocznej ścieżki i wyrwać z uścisku przerażonego Imperatora,

Vader wiedział, że Luke dostrzegł strach władcy. Mądry chłopak, uśmiechnął się posępnie Vader. Godny swego ojca.

Imperator przerwał bieg myśli Czarnego Lorda.

— Sam widzisz, mój młody uczniu — zwrócił się do Luke'a, — Pole deflektora działa nadal. Twoi przyjaciele zawiedli. A teraz... — uniósł kościstą rękę, by podkreślić wagę swych słów. — Teraz podziwiał potęgę w pełni uzbrojonej i gotowej stacji bojowej.

Podszedł do komunikatora i przemówił szeptem, jak do kochanki:

— Może pan otworzyć ogień, komendancie.

Wstrząśnięty i przerażony Luke spojrzał ponad powierzchnią Gwiazdy Śmierci ku kosmicznej bitwie i głównym siłom powstańczej armady.

Głęboko pod nimi komendant Jerjerrod wydał rozkaz, Uczynił to z mieszanymi uczuciami, gdyż oznaczał on ostateczne rozgromienie rebelii, a więc koniec wojny, którą Jerjerrod uwielbiał ponad wszystko. Jednak tylko trochę mniej lubił totalną anihilację; z żalem więc, ale i dreszczem emocji wydał polecenie.

Kontroler przesunął dźwignię. Na pulpicie zapłonęły światełka. Dwaj żołnierze w hełmach wcisnęli serię klawiszy. Promień światła zaczął pulsować w długim, ciężko opancerzonym szybie. Na zewnętrznej powierzchni gotowej połowy Gwiazdy Śmierci zaśniło gigantyczne laserowe zwierciadło.

Luke patrzył ze zgrozą na nieprawdopodobnie potężny promień lasera, który wystrzelił z Gwiazdy Śmierci. Dotknął — na moment tylko — jednego z Gwiezdnych Krążowników Sprzymierzenia lecącego przez obszar najcięższych walk. W następnej chwili statek wyparował. Rozpadł się w pył. W jednym rozbłysku powrócił do pierwotnego stanu materii — chmury cząstek elementarnych,

Był oszołomiony rozpaczą, a najgłębsza pustka wypełniła jego serce. Jedynie oczy zaśniły — znów dostrzegł swój świetlny miecz, leżący zapomniany na tronie. W tej chwili załamania ciemna strona stanęła tuż przy nim.

VIII

Admirał Ackbar patrzył z niedowierzaniem w ekran wizyjny. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą krążownik „Wolność” prowadził gwałtowny pojedynek artyleryjski, nie było nic. Tylko pusta przestrzeń, w której unosił się pył, migocący w blasku wybuchów. Ackbar milczał,

Wokół panował zamęt. Łącznościowcy ciągle jeszcze usiłowali nawiązać kontakt z „Wolnością”, a oficerowie biegali od ekranu do ekranu, krzyczeli, wydawali i cofali rozkazy.

Adiutant podał Ackbarowi komunikator. Z głośnika dobiegał głos generała Calrissiana.

— Baza Jeden, tu Złoty Dowódca. Strzał padł z Gwiazdy Śmierci! Powtarzam: Gwiazda Śmierci jest sprawna.

— Widzieliśmy — odparł ze zmęczeniem admirał.

— Wszystkie jednostki, przygotować się do odwrotu.

— Nie mam zamiaru teraz rezygnować i uciec!

— krzyknął Lando. Wiele poświęcił, by wziąć udział w tej grze.

— Nie ma pan wyboru, generale, Nasze krążowniki nie wytrzymają ognia tej mocy.

— Nie będzie następnej szansy, admirale. Han zlikwiduje to pole. Musimy mu dać jeszcze trochę czasu, Proszę ruszyć na te Gwiezdne Niszczyciele.

Ackbar rozejrzał się. Silna eksplozja wstrząsnęła statkiem, malując ekran martwym blaskiem. Calrissian miał rację. Nie będzie następnej szansy. Uda się teraz albo Powstanie upadnie!

— Niech flotylla rusza do akcji — polecił jednemu z kapitanów,

— Tak jest — oficer urwał. — Sir, nie damy rady tym Gwiezdnym Niszczycielom. Mają potężniejszą artylerię i są silniej opancerzone.

— Wiem — odparł cicho Ackbar. Kapitan wyszedł. Zbliżył się adiutant.

— Jednostki czołowe nawiązały kontakt bojowy z flotą Imperium — zameldował.

— Skoncentrować ogień na ich generatorach mocy. Jeśli zniszczymy osłonę, nasze myśliwce będą miały szansę,

Krażownik zadygotał od kolejnej eksplozji. Promień lasera trafił w jeden z rufowych żyrostabilizatorów.

— Zwiększyć zasilanie osłon pomocniczych! — krzyknął ktoś, Bitwa wrzała.

Na ekranie w sali tronowej flota Sprzymierzenia była dziesiątkowana w absolutnej ciszy kosmosu. Wewnątrz rozbrzmiewał jedynie chrapliwy chichot Imperatora. Luke coraz głębiej pogrążył się w desperacji. Laser Gwiazdy Śmierci niszczył jeden statek po drugim,

— Wasza flota jest stracona — syknął Imperator, — A twoi przyjaciele na Endorze nie przeżyją,

Wcisnął klawisz komunikatora i przemówił z satysfakcją.

— Komendancie Jerjerrod, gdyby rebelianci zdołali wysadzić generator pola, zwróci pan stację bojową w stronę księżycy Endor i zniszczy go.

— Tak, Wasza Wysokość — napłynęło potwierdzenie. — Ale kilka batalionów stacjonuje na...

— Zniszczy pan księżyc! — szept Imperatora był jak krzyk.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Palpatine spojrzał na Luke'a. Starzec trząsnął się z uciechy, młodzieniec z wściekłości.

— Nie ma ucieczki, mój młody uczniu. Sprzymierzenie umrze. I umrą twoi przyjaciele.

Wykrzywiona twarz Luke'a była odbiciem stanu jego duszy, Świetlny miecz brzęknął na siedzeniu tronu. Dłoń młodego Jedi drżała, ściągnięte w grymasie gniewu wargi odsłaniały zęby.

— Dobrze — uśmiechnął się Imperator. — Czuję twój gniew. Jestem bezbronny. Weź swój miecz. Uderz we mnie całą siłą nienawiści, a twoja podróż ku ciemnej stronie będzie zakończona.

Śmiał się.

Luke nie potrafił się dłużej powstrzymać. Miecz świetlny zadudnił o tron, potem wskoczył mu w rękę, pociągnięty Mocą. Chłopiec zapalił klingę i z całej siły ciął w czaszkę Imperatora,

W tej samej chwili błysnęło ostrze Vadera, blokując cios Luke'a o centymetr nad głową władcy. Trysnęły iskry, piekielnym światłem zalewając uśmiechniętą twarz Palpatine'a,

Luke odskoczył, odwrócił się, uniósł miecz. Stanął naprzeciw ojca. Vader przesunął klingę i przyjął pozycję.

Imperator westchnął z zadowoleniem i usiadł na tronie, by obserwować walczących — jednoosobowa publiczność ponurego spektaklu.

Szturmowcy wyprowadzili przed bunkier Hana, Leię, Chewbacę i resztę grupy uderzeniowej. Trawiasta łąka, jaką zostawili za sobą, zmieniła się nie do poznania. Była pełna żołnierzy Imperium.

Zebrały się ich tu chyba setki — w białych i czarnych pancerzach. Niektórzy stali obojętnie, inni obserwowali jeńców przez szczeliny luków dwunogich łazików lub wsparci o raketowe skutery. O ile wewnątrz bunkra sytuacja była beznadziejna, tu okazała się jeszcze gorsza.

Han i Leia spojrzeli na siebie z oddaniem. Wszystko, o co walczyli, o czym marzyli — przepadło. Przynajmniej tę krótką chwilę mieli jednak dla siebie. Spotkali się idąc z przeciwnych krańców emocjonalnej pustki — on nie znał miłości, gdyż był zbyt zapatrzony w siebie, ona — gdyż działała dla społeczeństwa, pragnąc objąć uczuciem wszystkie istoty rozumne. I gdzieś pomiędzy jego chłodnym narcyzmem a jej gorączkowym altruizmem znaleźli ocienione miejsce, gdzie dwoje mogło się objąć i żyć razem.

Lecz nie przetrwali tam długo. Koniec był bliski. Tyle mieli sobie do powiedzenia, że nie potrafili wykrztusić ani słowa. Wzięli się tylko za ręce, uściskiem palców przemawiając w ostatnich minutach zespolenia.

Wtedy właśnie na polankę wkroczyli Erdwa i Trzypeo, bucząc i dyskutując zawzięcie. Znieruchomieli nagle widząc, co się dzieje przed bunkrem. Wszyscy patrzyli na nich ze zdumieniem,

— Oj! — jęknął Trzypeo.

W jednej sekundzie zawrócili z Erdwa i popędzili w las, skąd przed chwilą wyszli. Sześciu szturmowców ruszyło w pogoń.

Żołnierze zdążyli zauważyć, jak roboty znikają za drzewem, jakieś dwadzieścia metrów od granicy lasu, Skoczyli za nimi. Erdwa i Trzypeo stali spokojnie, czekając. Szturmowcy podeszli więc, by ich schwytać, Nie zdążyli.

Piętnastu Ewoków skoczyło z gałęzi. Żołnierze padli szybko pod gradem ciosów pałek i kamieni. Wtedy usadowiony na sąsiednim drzewie Teebo przycisnął do ust róg i zatrąbił trzykrotnie. To był sygnał do ataku,

Setki Ewoków wyskoczyły ze wszystkich stron i z niepowstrzymaną energią rzuciły się na oddział Imperium. Na polance zapanował potworny chaos.

Szturmowcy strzelali do kudłatych stworzeń z laserów. Zabili i poranili wiele, lecz zaraz powalały ich dziesiątki następnych, Zwiadowcy na skuterach pędzili za Ewokami w las i spadali pod gradem kamieni ciskanych z drzew.

W pierwszych chwilach po ataku Chewie skoczył w krzaki, a Leia i Han padli na ziemię za płytami chroniącymi wejście do bunkra. Wybuchy dookoła nie pozwalały na ucieczkę, a wrota zamknęły się znowu.

Han wybrał kod na tablicy sterowania, ale wrota nie drgnęły. Przeprogramowano zamek natychmiast po schwyтaniu powstańców.

— Terminal nie działa— mruknął Solo. Leia wyciągnęła rękę po laser, ale leżał tuż poza zasięgiem jej dłoni, obok zabitego szturmowca. Jednak strzały padały teraz ze wszystkich stron.

— Potrzebujemy Erdwa! — krzyknęła. Han skinął głową, wyjął komunikator i nadał kod przywołania. Potem wziął miotacz, do którego nie sięgnęła Leia. Wokół nich wrzała zażarta bitwa.

Gdy nadeszło wezwanie, Erdwa i Trzypeo kryli się za pnem zwalonego drzewa. Mały robot gwizdnął podekscytowany i potoczył się na pole walki,

— Erdwa! — zawołał Trzypeo. — Gdzie idziesz? Zaczekaj na mnie!

Nie poznając sam siebie, android pobiegł za swym najlepszym przyjacielem,

Zwiadowcy przemykali skuterami górą i wokół robotów. Strzelali do Ewoków, które złościły się coraz bardziej po każdym przypaleniu futerek. Małe misie chwyciły nogi imperialnych łązików, zaczepiały liany o wystające elementy, niszczyły mechanizmy stawów wtykając w zawiasy kamienie i gałęzie. Przeciągały liny na wysokości szyi i rzucały zwiadowców ze skute rów. Staczały głowy, skakały z drzew, nabijały na włócznie, chwyciły w sieci. Były wszędzie.

Kilka dziesiątków szło za Chewbacca. Olbrzym polubił je bardzo po wczorajszej nocy. Stał się ich maskotką, a oni — jego młodymi krewnymi z lasu. Dlatego szczególnie zajadle walczyli i pomagali sobie nawzajem, Chewie na prawo i lewo odrzucał szturmowców, gdy tylko któryś zranił jego małych przyjaciół. Ewoki z kolei z równym poświęceniem podążały za Wookiem i rzucały się na każdego żołnierza, który zaczynał zyskiwać przewagę.

Była to dziwna, szaleńcza bitwa.

Erdwa i Trzypeo przedostali się wreszcie do wrót bunkra. Han i Leia osłaniali ich ogniem miotaczy, które w końcu, choć z trudem, zdobyli. Erdwa podjechał do terminala, wsunął czujnik komputerowy i zaczął skanowanie. Zanim zdążył przeliczyć choćby kody meteorologiczne, promień lasera oderwał i cisnął na ziemię ramię czujnika.

Kopuła Erdwa zadymiała, spojenia straciły szczelność. Nagle wszystkie klapy odskoczyły, z każdego zaworu ciekło lub dymiło, każde koło wirowało... aż równie nagle przestało. Trzypeo podbiegł do ранnego towarzysza, a Han obejrzał tablicę sterowania.

— Może uda się zrobić zwarcie — mruknął.

Tymczasem Ewoki ustawiły prymitywną katapultę i wystrzeliły spory gład w jeden z łązików. Maszyna zadygotała mocno, ale nie przewróciła się. Zawróciła i strzelając z działa ruszyła w stronę urządzenia. Gdy była o kilka metrów od celu, Ewoki odrąbały wiązki lian i dwa wielkie, wyważone pnie runęły z obu stron na maszynę bojową Imperium, tym razem zatrzymując ją na dobre.

Zaczęła się kolejna faza bitwy. Ewoki fruwały na podobnych do latawców, skórzanych lotniach i ciskały w szurmowców kamieniami lub pikowały z wymierzonymi włócznie. Teebo prowadził atak. Przy pierwszej salwie został trafiony w skrzydło i runął jak poskręcany korzeń. Szarżujący łazik zbliżał się, by go zmiążyć, Wicket spłynął z góry w sam czas, by unieść Teebo w bezpieczne miejsce. Jednak wykręcając ze ścieżki łazika, zderzył się z raketowym skuterem. Runęli w gęste listowie. Rosły straty.

Wysoko w górze sytuacja była podobna. Tysiące śmiertelnych pojedynków i ataków przeprowadzano równocześnie, a laserowy promień Gwiazdy Śmierci systematycznie niszczył kolejne statki Sprzymierzenia.

Lando jak szaleniec prowadził „Sokoła Millenium” między gigantycznymi, płynącymi wolno Gwiezdnymi Niszczycielami Imperium. Strzelał, unikał ognia artylerii, wyprzedzał myśliwce TIE.

Przekrzykując huk eksplozji, wołał do komunikatora na paśmie łączności z Ackbarem.

— Powiedziałem: bliżej. Podejdźcie tak blisko, jak tylko zdołacie. Wciągnijcie Niszczyciele w bezpośrednią walkę. Gwiazda Śmierci musi wtedy wstrzymać ogień, żeby nie niszczyć własnych statków!

— Nikt jeszcze nie latał nos w nos takimi olbrzymami, jak nasze Krążowniki i ich Niszczyciele

— Ackbar uznał tę ideę za szaleństwo. Jednak pole manewru kurczyło się w szybkim tempie.

— Znakomicie! — wrzasnął Lando, przemykając nad pancernym Niszczycielem. — Wprowadzamy nowy sposób walki!

— Nie mamy pojęcia o taktyce takiego starcia — zaprotestował admirał.

— Wiemy tyle samo, co oni. A oni będą myśleli, że więcej.

Bluff w ostatnim rozdaniu zawsze był ryzykowny. Gdy jednak wszystkie pieniądze trafiły do puli, tylko w ten sposób można było wygrać.

— Na taką odległość nie wytrzymamy długo ognia Gwiezdnym Niszczycielom — Ackbar wyraźnie nie rezygnował.

— Dłużej niż ogień Gwiazdy Śmierci, I może weźmiemy ze sobą kilka z nich — oświadczył Lando. Nastąpił wstrząs i stracili jedno z dział dziobowych. „Sokół” wszedł w kontrolowany korkociąg i dołem wyminał lewiatana Imperium,

Nie mając nic do stracenia, Ackbar postanowił wypróbować strategię Calrissiana. Po kilku minutach Krążowniki Sprzymierzenia znalazły się niesamowicie blisko Niszczycieli Imperium. Rozpoczął się pojedynek artyleryjski gigantycznych jednostek, podobny do walki czołgów stojących dwadzieścia kroków od siebie. Setki maleńkich myśliwców przemykały między nimi, unikając promieni laserów.

Vader i Luke okrążali się wolno. Trzymając miecz nad głową, Luke szykował atak z klasycznej pozycji primy. Czarny Lord stanął bokiem, w klasycznej obronie. Luke ciął prosto w dół, a gdy Vader zastosował zasłonę, zrobił unik i pchnął nisko. Vader zablokował cios, kierując klingę do gardła Luke'a... lecz chłopiec odbił ją i odstąpił. Pierwsza wymiana uderzeń — bez efektu. Znowu zatoczyli krąg.

Vader był zaskoczony szybkością Luke'a. Nawet dumny. Szkoda, że chłopak nie mógł już teraz zabić Imperatora. Luke nie był jeszcze gotów emocjonalnie. Istniała szansa, że powróci do swych przyjaciół-buntowników. Potrzebował starannego prowadzenia, wpływów Vadera i Palpatine'a. Potem może zająć miejsce u boku ojca i władać Galaktyką.

Dlatego musiał go pilnować, powstrzymać przed narobieniem szkód w niewłaściwych miejscach... albo właściwych, ale przedwcześnie.

Vader nie mógł się dłużej zastanawiać. Luke zaatakował o wiele bardziej agresywnie. Wyprowadził grad ciosów, a każdy z trzaskiem uderzał o lśniąco ostrze miecza Vadera. Czarny Lord po każdym cięciu cofał się o krok, Raz spróbował wyprowadzić uderzenie z dołu, ale Luke odbił je i zepchnął przeciwnika jeszcze krok, na schody. Lord Sith stracił równowagę i przyklęknął.

Luke stał nad nim, oszołomiony własną siłą. Wszystko było w jego rękach. Mógł pokonać Vadera, odebrać mu miecz, nawet życie, zając jego miejsce u boku Imperatora. Tak, to także. Tym razem chłopiec nie odpędzał wizji; zachwycała go. Pławił się w niej, czując swą potęgę. Ogarnęło go gorączkowe pożądanie, wypierające wszelkie inne uczucia,

Miał siłę. Do niego należał wybór.

Pojawiła się inna myśl, natrętna niby kochanka: może zabić także Imperatora, Zabić obu i sam władać Galaktyką, mścić się i zdobywać,

To była najważniejsza chwila. Oszalała, Luke nie dał się omamić. Ale nie cofnął się. Postąpił krok do przodu.

Po raz pierwszy przyszło Vaderowi do głowy, że syn może go pokonać. Zaskakiwały umiejętności, jakie zdobył od ostatniego pojedynku w Mieście Chmur, zdumiewał refleks, To niespodziewana okoliczność. I niezbyt przyjemna. Czarny Lord poczuł, jak po pierwszej reakcji — zdziwieniu, i drugiej — lęku, ogarnia go uczucie poniżenia. A potem wściekłości, Chciał zemsty,

Wszystko to odbijało się w młodym Jedi, który stał teraz nad nim. Imperator obserwował go z uciechą, zachęcał, by Luke zagłębił się w Ciemność.

—Wykorzystaj uczucia agresji, chłopcze! Tak! Niech płynie przez ciebie nienawiść! Połącz się z nią, niech doda ci sił!

Luke zawahał się... i nagle pojął wszystko. Chaos zapanował w jego myślach. Czego właściwie pragnął? Co powinien zrobić? Krótka euforia, mikrosekunda kontaktu z mrokiem... odeszły, pozostawiając niezdecydowanie i niepewność. Chłodne przebudzenie po namiętej nocy.

Cofnął się, opuścił miecz, odprężył się i spróbował wypchnąć nienawiść ze swej duszy.

Wtedy właśnie Vader zaatakował. Skoczył w górę, zmusił Luke'a do obrony. Ostrza zetknęły się, lecz chłopiec cofnął się i wbiegł na wiszący pomost. Vader przesadził poręcz, lądując pod nim.

— Nie zaatakuję cię, ojcze — oświadczył Luke.

— Robisz błąd, opuszczając klingę — ostrzegł Va-der. Stłumił gniew. Nie chciał zwyciężać, gdy chłopiec nie walczy z całych sił. Jeśli jednak nie będzie innego wyjścia, zabije Luke'a, choćby nie chciał się bronić. Wołał tylko, by syn był świadom wszelkich konsekwencji. By wiedział, że to już nie zabawa. Że to Ciemność.

Luke dostrzegł jednak coś innego,

— Myśli cię zdradziły, ojcze. Wyczuwam w tobie dobro... i konflikt. Nie potrafiłeś mnie zabić do tej pory... i teraz także nie zdołasz.

Dwa razy, o ile Luke dobrze pamiętał, Vader mógł go zabić, ale powstrzymał się. Raz w starciu nad Gwiazdą Śmierci, drugi — w pojedynku w Bepinie. Przez głowę chłopca przemknęła myśl o Lei, o tym, jak Vader schwytał ją i torturował... ale nie zabił. Drgnął, gdy wyobraził sobie jej cierpienia. Jednak mimo dawnych wątpliwości, był pewien: w jego ojcu wciąż tliło się dobro.

Słowa Luke'a naprawdę rozgniewały Vadera. Wiele potrafił znieść ze strony tego bezczelnego dzieciaka, ale tego już za wiele. Musi udzielić mu lekcji, którą zapamięta do końca życia... jeśli nie zginie podczas nauki.

— Powtarzam: nie doceniasz potęgi ciemnej strony Mocy...

Cisnął gorejący miecz. Broń rozcięła podpory pomostu, na którym stał chłopiec, zawróciła i wylądowała w dłoni Czarnego Lorda, Luke zatoczył się, zsunął niżej i ukrył pod zwisającą skośnie platformą. W cieniu był niewidoczny. Vader niby kot okrążał pole walki, nie wchodził jednak w mrok.

— Kiedyś musisz wyjść, Luke.

— Chodź i wyciągnij mnie — odparł bezcielesny głos.

— Nie dam ci takiej przewagi — Vader z coraz bardziej mieszanymi uczuciami oceniał to starcie. Jego zło nie było już tak czyste. Chłopak okazał się sprytny, Va-der wiedział, że musi zachować najwyższą ostrożność.

— Nie chcę przewagi nad tobą, ojcze. Nie będę walczył, Oto moja broń...

Luke wiedział, że to może być koniec. Trudno. Nie użyje Ciemności, by zwalczyć Ciemność. Może jednak Leia poprowadzi tę walkę, już bez niego. Może znajdzie jakiś sposób, którego on nie dostrzegł. Może odszuka drogę. Na razie widział tylko dwie; jedna prowadziła w Ciemność, druga nie.

Położył świetlny miecz na podłodze i poturlał go w stronę Vadera. Miecz zatrzymał się w połowie drogi, pod platformą. Czarny Lord wyciągnął rękę i broń wskoczyła mu w palce. Umocował ją u pasa i niepewnie zanurzył się w cień.

Odbierał uczucia Luke'a, dodatkowe wiry zwątpienia. Skrupuły, żal, opuszczenie. Odcienie bólu. Ale

nie powiązane bezpośrednio z Vaderem, a z innymi, z... Endorem. No tak, księży c-sanktuarium, gdzie wkrótce zginą jego przyjaciele. Luke szybko się przekona, że po ciemnej stronie przyjaźń jest inna. Całkowicie.

— Oddaj się ciemnej stronie, Luke — nalegał.

— Tylko w ten sposób ocalisz swoich przyjaciół. Tak, twoje myśli cię zdradziły, synu. A uczucia dla nich są silne, zwłaszcza...

Vader urwał. Wyczuł coś niezwykłego. Luke skulił się w mroku, ale nie mógł skryć tego, co tkwiło w duszy. Leia cierpiała. Krzyk jej bólu rozbrzmiewał mu w umyśle. Usiłował go uciszyć, lecz był zbyt głośny; nie mógł go stłumić, Świadomość Vadera wdarła się w jego myśli.

— Nie! — ryknął Luke.

— Siostra? — Czarny Lord był zdumiony, — Siostra! Twoje uczucia zdradziły także siostrę... Bliźnięta!

— krzyknął tryumfalnie. — Obi-wan chytrze postąpił, ukrywając ją, lecz teraz poniósł ostateczną klęskę.

Luke widział niemal jego uśmiech, mimo maski, mroku, mimo wszystkich dziedzin Ciemności.

— Jeśli ty nie przejdziesz na ciemną stronę Mocy, to może ona...

Napięcie Luke'a osiągnęło granice wytrzymałości. Leia była ostatnią nadzieją wszystkich. Jeśli Vader skieruje ku niej swe wysiłki...

— Nigdy! — krzyknął. Świetlny miecz zerwał się z pasa Yadera i wskoczył chłopcu w dłoń. Zajaśniała klinga,

Zaatakował ojca z wściekłością, jakiej dotąd nie doznał, Vader także nie. Iskry strzelały z ostrzy i szybko okazało się, że to Luke ma przewagę. Wykorzystywał ją. Zwarli miecze. Chłopiec pchnął Czarnego Lorda, a ten uderzył głową o niski wspornik. Potknął się, zatoczył do tyłu. Luke nacierał nieustannie.

Cios za ciosem, Vader cofał się, aż do mostka przerzuconego nad głębokim, na pozór bezdennym szybem rdzenia energetycznego stacji. Każde uderzenie miecza było jak oskarżenie, jak krzyk, jak odprysk nienawiści.

Czarny Lord opadł na kolana. Wzniósł ostrze, by zablokować kolejny atak... i klinga Luke'a odcięła mu dłoń tuż poniżej nadgarstka.

Ręka, kawałki metalu, przewody i elektroniczne wzmacniacze potoczyły się po podłodze, a miecz Va-dera zsunął się przez krawędź i zniknął w otchłani.

Luke patrzył na drgającą, mechaniczną dłoń ojca i na swoją, ukrytą w czarnej rękawicze, Nagle pojął, jak bardzo są do siebie podobni. Był taki sam jak człowiek, którego nienawidził.

Drżąc stał nad Vaderem, muskając ostrzem gardło tamtego. Pragnął zniszczyć to wcielenie Ciemności, istotę, która była kiedyś jego ojcem, która była... nim samym.

Nagle obok stanął rozpromieniony Imperator, Chichotał niepowstrzymanie.

— Brawo! Zabij go! To nienawiść dała ci siłę! Dopełnij swego przeznaczenia i zajmij miejsce ojca u mego boku!

Luke spoglądał na powalonego ojca, na Imperatora, potem znów na Vadera. Oto była Ciemność, której nienawidził. Nie ojca, nawet nie Imperatora, ale tkwiącej w nich Ciemności. W nich,, i w nim także.

Istniał tylko jeden sposób, by pokonać Ciemność:

wyrzec się jej. Na zawsze. Wyprostował się dumnie.

Podjął decyzję, do której przygotowywał się przez całe życie,

Odrzucił miecz.

— Nigdy! Nigdy nie przejdę na Ciemną stronę! Przegrałeś, Palpatine. Jestem Jedi, jak kiedyś mój ojciec.

Zadowolenie Imperatora zmieniło się we wściekłość.

— Niech tak będzie, Jedi. Jeśli nie dałeś się przekonać, zostaniesz zniszczony.

Uniósł ramiona. Z palców strzeliły oślepijające białe strumienie energii, jak magiczne pioruny trafiły chłopca i rozdarły wnętrzności. Młody Jedi cierpiał w zdumieniu. Nigdy nie słyszał o takiej potędze, takim nadużyciu Mocy. Nigdy czegoś takiego nie przeżył.

Jeśli jednak Moc generowała tę energię, Moc mogła ją odepchnąć. Luke podniósł ramiona. Z początku udało mu się — błyskawice odskakiwały, trafiając w ściany. Wkrótce jednak ciosy spadły szybciej i mocniej, krążyły nad nim, uderzały. Mógł tylko kulić się i dygotać z bólu. Tracił siły.

Vader, jak ranne zwierzę, podpełzł do swego pana.

Na Endorze trwała bitwa o bunkier. Szturmowcy-zalewali Ewoki lawiną ognia ze skomplikowanej broni, a kudłaci wojownicy atakowali żołnierzy maczugami, zrzucali stosy belek pod nogi łaźników, przeciągali liany na ich drodze, chwyтали w sieci lub na lasso pędzące skutery.

Spadali na wrogów z gałęzi. Kopali doły, przykrywali je liśćmi, po czym wabili łaźniki, a niezgrabne, ciężkie pojazdy wpadały w pułapki. Zrzucali lawiny kamieni. Zablokowali pobliski strumyk, by potem zatopić oddział żołnierzy i jeszcze dwa łaźniki. Uderzali i odskakiwali. Skakali z gałęzi na pancerze maszyn bojowych i lali płonący olej w otwory strzelnicze. Używali noży, włóczni i proc, wznosili bojowe okrzyki, by przerazić wrogów. Nie znali lęku.

Ich przykład sprawiał, że Chewie walczył z coraz większym zapałem. Huśtanie na lianach i rozdawanie ciosów bawiło go tak bardzo, że niemal zapomniał o laserowym miotaczu.

W pewnym momencie, z Teebo i Wicketem na plecach, zeskoczył na kopułę łaźnika. Wylądowali obok luku i zaczęli bębnić tak głośno, że jeden z żołnierzy otworzył kłapę, by sprawdzić, co się dzieje. Zanim zdążył wystrzelić, Chewie porwał go i cisnął na ziemię. Wicket i Teebo wskoczyli do wnętrza i powalili drugiego z żołnierzy,

Ewoki prowadziły łaźnika w taki sam sposób, jak skuter — niewprawnie, ale z dużą uciechą, Chewbacca ledwie zdołał utrzymać się na pancerzu, lecz nawet gniewne warknięcia nie pomagały. Ewoki chichocząc i piszcząc zmiażdżyły kolejny skuter.

Wreszcie Chewie wsunął się do kabiny. Po trzydziestu sekundach opanował system kierowania

— imperialne maszyny budowano według stałych standardów technicznych. Zbliżali się do niczego nie podejrzewających łaźników i niszczyli je po kolei. Załogi do końca nie wiedziały, co się dzieje.

Widok rozbłyskujących ogniem trafień maszyn bojowych dodał Ewokom sił. Zebrały się za łaźnikiem Wookiego. Szala zwycięstwa przechylała się wyraźnie na ich stronę.

Han tymczasem wciąż pracował przy panelu kontrolnym. Iskry strzelały za każdym razem, gdy zwierzał przewody, lecz wrota pozostawały zamknięte. Leia przykucnęła obok osłaniając go ogniem miotacza.

Wreszcie skinął na nią.

— Chodź, pomóż. Chyba domyśliłem się, jak to działa. Przytrzymaj to.

Podał jej końcówkę kabla. Schowała broń, chwyciła przewód i trzymała nieruchomo, gdy Han pociągnął dwa inne, z drugiego brzegu panelu.

— Zobaczymy — mruknął.

Przewody zaiskrzyły, nastąpiło zwarcie. Na wrota z głośnym stukiem zsunęła się pancerna płyta.

— Znakomicie — stwierdziła Leia, — Teraz musimy się przebić przez dwie warstwy.

Wtedy właśnie promień lasera trafił ją w ramię. Upadła.

Han skoczył do niej,

— Leia, nie! — krzyknął, usiłując zatamować krwotok,

— Czy bardzo boli, Wasza Wysokość? — przeraził się Trzypeo.

— Nie jest tak źle — potrząsnęła głową. — To tylko...

— Nie ruszać się — zabrzmiał czyjś głos. — Jeden ruch i strzelam.

Zamarli. Przed nimi, z bronią w ręku, stało dwóch szturmowców.

— Wstawać — polecił jeden. — Z rękami do góry.

Han i Leia spojrzeli na siebie, zajrzeli w głębie źrenic, zawiśli w przestrzeni duszy przez jedną zastygłą na wieczność chwilę. Wyczuli wszystko, zrozumieli, złączyli się,

Potem Solo wskazał wzrokiem kaburę. Leia dyskretnie wyjęła miotacz. Wymierzyła. Han zasłaniał jej rękę przed oczami szturmowców,

Raz jeszcze spojrzął jej w oczy.

— Kocham cię — wyszeptał z czułym uśmiechem.

— Wiem — odparła,

Chwila wyznań minęła. Han odskoczył z linii strzału, a Leia wypaliła natychmiast.

Nagle błysnęły promienie laserów. Lśniąca, pomarańczowa aura, niby burza elektronowa, wypełniła powietrze. Rozcinały ją dwa jaskrawe ognie.

Z kłębow dymu wyłonił się olbrzymi imperialny łaźnik, Stanął. Han podniósł głowę — wyloty laserowych

dział były wycelowane prosto w jego twarz. Podniósł ręce i ostrożnie zrobił krok do przodu. Nie wiedział co ma robić.

— Zostań — rzucił cicho do Lei. Mierzył wzrokiem odległość, dzielącą go od maszyny.

Wtedy na górnym pancerzu łazika odskoczyła kłapa luku, W otworze pojawił się Chewie z bezczelnym uśmiechem na twarzy.

— Ahr rahr! — zawołał.

Solo miał ochotę go ucałować.

— Chewie! Zejdź tu, na dół. Ona jest ranna! — ruszył mu na spotkanie, lecz nagle znieruchomiał. — Nie, czekaj! Mam pomysł.

IX

Dwie kosmiczne armady, niby ich morskie odpowiedniki z innego czasu i innej Galaktyki, unosiły się obok siebie i z minimalnej odległości wymieniały salwy na burty. Wokół trwały bohaterskie, nieraz samobójcze ataki. Powstańczy Krążownik z rufą w ogniu zderzył się z Gwiezdnym Niszczycielem Imperium i wybuchając zabrał wroga ze sobą. Jednostki transportowe, wyładowane materiałem wybuchowym, wchodziły na kursy kolizyjne z pancernymi statkami przeciwnika; załoga porzucała je w ostatniej chwili, decydując się na los w najlepszym przypadku niepewny.

Lando, Wedge, Niebieski Dowódca i Zielony Skrzydłowy lecieli na spotkanie jednego z większych Niszczycieli, głównej jednostki komunikacyjnej flotyli Imperium. Statek zachował zdolność do walki, choć był już uszkodzony kanonadą Krążownika Sprzymierzonych, który uległ zniszczeniu w tej wymianie ognia. Powstańcy atakowali więc, póki tamci jeszcze lizali rany.

Grupa Calrissiana nadleciała od dołu, możliwie nisko, by Niszczyciel nie mógł użyć artylerii najcięższej. Dzięki temu myśliwce pozostały niewidoczne dla radarów i można je było wykryć jedynie przez bezpośrednią obserwację.

— Zwiększyć moc dziobowych deflektorów — polecił Lando. — Atakujemy.

— Jesteśmy za tobą — odpowiedział Wedge. — Grupa, zacieśnić szyk.

Zanurkowali prostopadle do podłużnej osi Niszczyciela, zmniejszając w ten sposób pole trafienia.

Dwadzieścia metrów od pokładu wykręcili o dziewięćdziesiąt stopni i pomknęli nad kadłubem. Strzelano do nich ze wszystkich stron.

— Przelot bojowy nad głównym kanałem energetycznym — nakazał Lando.

— Zrozumiałem — nadał Zielony Skrzydłowy.

— Wchodzę na pozycję.

— Uważaj na baterie dziobowe — ostrzegł Niebieski Dowódca.

— Strefa ciężkiego ognia na dole.

— Cel w zasięgu.

— Mocno oberwali po lewej stronie wieży — zauważył Calrissian. — Atakujcie z tamtej strony.

— Za tobą.

Salwa trafiła Zielonego Skrzydłowego,

— Tracę moc!

— Zawracaj! Zaraz wybuchniesz!

Zielony pikował jak kamień na dziobowe baterie Niszczyciela. Seria eksplozji z lewej burty wstrząsnęła statkiem.

— Dzięki — rzucił cicho Niebieski Dowódca w stronę ognistej kuli,

— Otworzył nam drogę! — wrzasnął Wedge.

— Schodzimy. Główny reaktor jest tuż obok tej platformy ładunkowej!

— Za mną! — zawołał Lando, Wykręcił „Sokołem” tak ostro, że przerażeni żołnierze osłony reaktora nie zdążyli zareagować. Wedge i Niebieski pędzili za nim. Wszyscy robili, co tylko mogli.

— Bezpośrednie trafienie! — krzyknął Calrissian.

— Już po nim!

— Zawracamy! Zawracamy!

Wyszli w górę ostrą świecą. Coraz silniejsze wybuchy wstrząsały Niszczycielem, aż wreszcie przypominał małą gwiazdkę. Fala uderzeniowa cisnęła Niebieskim Dowódcą o burtę mniejszego statku Imperium, który także eksplodował. Lando i Wedge ocaleli.

Na okręcie dowodzenia Powstańców powietrze było pełne dymu.

Ackbar połączył się z Calrissianem.

— Przestali blokować komunikację. Mamy odczyt pola.

— Nadal działa? — spytał zdesperowany Lando.

— Niestety, Obawiam się, że grupa Solo nie wykonała zadania.

— Póki nie zniszczyli nam ostatniego statku, jest nadzieja — odparł Lando. Han nie zawiedzie. Nie może. Musieli przecież załatwić tę paskudną Gwiazdę Śmierci.

Na Gwieździe Śmierci Luke tracił świadomość pod nieustannym atakiem błyskawic Imperatora. Cierpiał straszliwie. Słabość wysysała resztki woli. Pragnął już tylko poddać się nicości, ku której wolno dryfował.

Imperator uśmiechnął się drwiąco do konającego Jedi. Vader powstał z wysiłkiem i stanął obok swego władcy.

— Niedoświadczony głupcze — syknął chrapliwie Palpatine. — Teraz dopiero, gdy nadszedł koniec, zrozumiałeś, Twoje dziecinne sztuczki są niczym wobec potęgi ciemnej strony. Płacisz cenę braku wyobraźni. A za chwilę, młody Skywalkerze, zapłacisz ją do końca. Zginiesz!

Zaśmiał się obłąkańczo, I choć Luke nie sądził, że to możliwe, burza błyskawic z palców Imperatora jeszcze się nasiliła. Huk ogłuszył, morderczy blask odbierał zmysły.

Ciało" chłopca opadło, zgięło się, wreszcie runęło pod straszliwym naporem i zamarło w bezruchu.

Zdawało się, że życie uszło z niego do końca. Imperator zaśmiał się złowrogo.

Wtedy właśnie Vader chwycił go z tyłu, przyciskając ramiona do tułowia. Słabszy niż kiedykolwiek, przez ostatnie kilka minut leżał nieruchomo, zbierając siły, koncentrując energię każdego włókna ciała na ten jeden, końcowy wyczyn — jedyny możliwy; ostatni, jeśli mu się nie uda. Ignorując ból, zawstydzenie i słabość, ignorując potworny szum w głowie, skupił się wyłącznie na jednym — by pokonać zło wcielone w Imperatora,

Palpatine wyrwał się z żelaznego uścisku Vadera. Błyskawice wciąż strzelały z jego palców, ciskając we wszystkie strony strugi morderczej energii. Jedna z nich przemknęła, odbiła się i trafiła Vadera. Czarny Lord upadł. Elektryczne ładunki pełzały po jego hełmie, po płaszczu, do serca.

Wstał. Potykając się doniósł Imperatora na środek pomostu, zawieszzonego nad otchłanią szybu energetycznego. Wzniósł zawodzącego tyrana nad głową i ostatnim wysiłkiem rzucił w przepaść.

Ciało Palpatine'a, wciąż ciskając pioruny, wirowało w pustce i odbijało się od ścian szybu. Wreszcie zniknęło; po kilku sekundach gdzieś w głębi, w rdzeniu, rozległ się stłumiony wybuch. Z szybu dmuchnęło gorącym powietrzem.

Wicher szarpał płaszczem Lorda Vadera, gdy ten chwiejnie zmierzał ku przepaści, by podążyć za swoim władcą aż do końca. Upadł jednak. Luke podczoł-gał się do ojca i odciągnął go w bezpieczne miejsce,

Leżeli objęci uściskiem, zbyt wyczerpani, by się ruszyć, i zbyt poruszeni, by mówić.

W bunkrze na Endorze kontrolerzy obserwowali na głównym ekranie przebieg bitwy, Wprawdzie ob

raz ulegał silnym zakłóceniom, ale widać było, że walka dobiega końca. Najwyższy czas. Zapewniano ich przecież, że tubylcy na tym księżycu są niegroźni i pokojowo nastawieni.

Przez chwilę obraz był jeszcze gorszy; pewnie walczący uszkodzili kolejną antenę. Potem na ekranie pojawił się kierowca łazika. Podniecony machał ręką.

—Już po wszystkim, komandorze! Rebelianci uciekają z tymi niedźwiadkowatymi stworami do puszczy. Proszę o posiłki, żeby skutecznie prowadzić pościg.

Załoga bunkra wzniosła radosny okrzyk. Pole było bezpieczne.

— Otworzyć główne wrota! — polecił dowódca. — Pośłać na pomoc trzy drużyny.

Rozsunęły się pancerne płyty. Żołnierze wybiegli, by znaleźć się niespodziewanie w kręgu Powstańców i Ewoków, pokrwawionych i groźnie wyglądających. Skapitulowali bez walki.

Han, Chewie i pięciu komandosów wbiegło do bunkra, niosąc ładunki wybuchowe, Umieścili je w jedenastu kluczowych punktach w samym generatorze energii i wokół niego, uruchomili detonatory i wybiegli najszybciej jak mogli.

Leia, cierpiąc jeszcze od rany, leżała ukryta w dalekiej kępie krzaków. Pilnowała, by Ewoki zgromadziły jeńców na drugim końcu polany, z dala od bunkra. Potem z wnętrza wybiegli Han, Chewie i inni, ile sił w nogach pędząc za drzewa. Sekundę później nastąpił wybuch.

Było to niezwykle widowisko. Kolejne eksplozje rozpostarły kilkudziesięciometrową kurtynę ognia, a fala uderzeniowa przewróciła każdą żywą istotę w okolicy. Gorący podmuch osmalił liście drzew,

Generator został zniszczony.

Jakiś oficer podbiegł do Ackbara. Głos mu drżał.

— Panie admirale, pole ochronne Gwiazdy Śmierci traci moc.

Ackbar spojrział na ekran. Elektroniczna pajęczyna zniknęła. Księżyc i Gwiazda Śmierci płynęły w czarnej, pustej, nie chronionej przestrzeni.

— Udało się — szepnął admirał, Chwycił komunikator i uruchomił wielopasmowy kanał alarmowy.

— Wszystkie myśliwce przystępują do ataku na główny reaktor Gwiazdy Śmierci, Pole deflektora nie działa. Powtarzam: pole deflektora nie działa.

Potem zabrzmiał głos Lando.

— Widzę! Lecimy! Grupy: Czerwona, Żółta i Niebieska! Wszystkie myśliwce za mną!

Zuch z tego Hana, pomyślał. Teraz moja kolej,

„Sokół” otoczony rojem powstańczych myśliwców runął ku powierzchni stacji, Za nimi pomknęła liczna, lecz zdeorganizowana armia imperialnych TIE. Trzy Gwiezdne Krążowniki płynęły ku Gwiezdnemu Super-niszczycielowi. Okręt flagowy Vadera miał chyba kłopoty z systemem stabilizacji.

Lando i pierwsza fala X-skrzydłowców pędziła nad powierzchnią gotowej do połowy Gwiazdy Śmierci.

— Trzymać się nisko, póki nie znajdziemy się nad nie dokończoną częścią — rzucił Wedge. Nikomu nie musiał o tym przypominać.

— Zbliża się eskadra myśliwców nieprzyjaciela.

— Niebieski Skrzydłowy! — zawołał Lando. — Weź swoją grupę i spróbuj odciągnąć TIE!

— Spróbuję.

— Łapię jakieś zakłócenia... Chyba Gwiazda Śmierci blokuje łączność.

— Myśliwce na dziesiątej!

— Jesteśmy na miejscu. Szukać szybu głównego reaktora.

Zrobił zwrot i zaczął zygzakować wśród wystających konstrukcji, nie dokończonych wież, płataniny kanałów, prowizorycznych rusztowań i reflektorów. Obrona przeciwlotnicza nie była tu nawet w przybliżeniu tak dobrze rozwinięta, jak z drugiej strony stacji. Polegali głównie na polu deflektora. W efekcie najbardziej niebezpieczne stały się dla Powstańców nierówności powierzchni i myśliwce TIE na ogonach.

—Widzę... znalazłem system kanałów energetycznych — nadał Wedge. — Schodzę w dół.

— Też widzę — potwierdził Lando. — No to do roboty.

— Nie będzie łatwo...

Obok wieży, pod mostem... — pędzili nagle wąskim tunelem, w którym z trudem mieściły się trzy myśliwce, Skrzydło w skrzydło. Przez całą długość krętego kanału spotykali setki sztolni zasilania i tuneli, roz-widleń i ślepych odgałęzień. W dodatku zdarzały się przeszkody na trasie przelotu: ciężkie maszyny, elementy konstrukcyjne, kable energetyczne, bariery i stosy najprzeróżniejszego śmiecia.

Dwudziestka myśliwców Sprzymierzenia dotrwała do pierwszego zwrotu w szyb energetyczny. Za nimi pędziło dwa razy więcej TIE, Dwa X-skrzydłowce rozpadły się niemal natychmiast, gdy unikając pierwszej salwy laserów trafiły w ścianę.

Pościg trwał.

— Dokąd lecimy, Żółty Dowódco? — zawołał Wedge. Promień lasera uderzył w pancierz tunelu tuż nad nim i zasypał iskrami szybę kabiny.

— Szukajcie najsilniejszego źródła energii — poradził Lando, — To powinien być generator,

— Czerwone Skrzydło, uważajcie. Mamy coraz mniej miejsca.

Szybko wyciągnęli się w podwójny, potem pojedynczy szereg. W szybie było pełno wylotów bocznych tuneli, a w dodatku zwęzał się wyraźnie po każdym skręcie.

Myśliwce Imperium zestrzeliły kolejnego Powstańca, który rozpadł się w kuli ognia. Po chwili TIE z identycznym rezultatem zaczepił o jakiś fragment konstrukcji,

— Mam odczyt jakiejś większej przeszkody — ostrzegł Lando.

— Właśnie ją złapałem. Zmieścisz się?

— Będzie ciasno.

Było ciasno. Przeszkoda okazała się osłoną termiczną, blokującą trzy czwarte tunelu. Zagłębienie w ścianie na tym samym poziomie ułatwiało nieco manewr. Przy wznoszeniach, opadaniach i przyspieszeniach Lando wykręcił „Sokoła” o niemal pełne 360 stopni. Szczęśliwie, X i Y-skrzydłowce miały mniejsze rozmiary, ale i tak dwóm nie udało się przelecieć. Małeńkie TIE zmniejszły dystans,

Nagle białe pasy zakryły ekrany radarów.

— Straciłem wizję! — krzyknął Wedge.

— Zmniejszyć prędkość — poradził Lando. — Jakiś wyciek energii wywołuje zakłócenia,

— Przechodzimy na skan wizualny.

— Przy tej prędkości to na nic. Będziemy lecieć prawie na ślepo.

Dwa ślepe X-skrzydłowce trafiły w ścianę, gdy szyb zwęził się jeszcze bardziej. Trzeci został trafiony przez doganiającą grupę myśliwce Imperium.

— Zielony Dowódca! — krzyknął Lando.

— Słucham, Złoty.

— Odłączcie i wracajcie na powierzchnię. Baza Jeden wzywa pomocy, a może ściągniecie parę TIE z naszych ogonów.

Zielona Eskadra zawróciła ku bitwie krążowników. Jeden imperialny myśliwiec poleciał za nimi strzelając bez przerwy.

Z komunikatora dobiegł głos Ackbara.

— Gwiazda Śmierci zmienia orientację, Wygląda na to, że zajmuje pozycję do zniszczenia księżycy Endor.

— Ile to potrwa?

— Zero trzy,

— Za mało! Braknie nam czasu!

— Za chwilę braknie nam też szybu — wtrącił Wedge.

Ściana coraz węższego tunelu otarła pancerz „Sokoła”, Stracili pomocnicze dopalacze.

— Niewiele brakowało — mruknął Calrissian.

— Gdzież dź — przytaknął drugi pilot,

Ackbar patrzył w oszołomieniu na ekran wizyjny. W odległości kilku kilometrów eksplozje ogarniały cały sektor rufowy Gwiezdnego Superniszczyciela. Statek Imperium miał kłopoty z silnikami prawej burty,

— Rozbiliśmy ich dziobową osłonę — rzucił admirał do komunikatora. — Próbujcie ostrzelać mostek.

Eskadra Zielonych wyszła łukiem od dołu, od strony Gwiazdy Śmierci.

— Cieszę się, że możemy pomóc, Baza Jeden! — zawołał Dowódca.

— Odpalić torpedy protonowe — polecił Skrzydłowy,

Pociski trafiły w mostek ze zdumiewającą skutecznością. Reakcja łańcuchowa obejmowała kolejne

stacje energetyczne w centralnym sektorze statku, a tęcza kule wybuchów wstrząsnęły kadłubem. Wirując jak bąk, ogromny Niszczyciel runął ku Gwieździe Śmierci.

Fala uderzeniowa zagarnęła Zielonego Dowódcę. Niekontrolowany upadek Niszczyciela pochłonął jeszcze dziesięć myśliwców, dwa krążowniki i statek kurierski. Gdy cała bryła trafiła w końcu w powłokę Gwiazdy Śmierci, uderzenie było tak potężne, że stacja bojowa zadygotała. Nastąpiły wewnętrzne eksplozje w sieci reaktorów, magazynów amunicji i korytarzy.

Gwiazda Śmierci zakołysała się po raz pierwszy w czasie swego istnienia. Kolizja z rozbitym Niszczycielem była tylko początkiem. Nastąpiła blokada licznych systemów, prowadząca do stopienia prętów w reaktorach, co spowodowało panikę załogi, porzucanie stanowisk, dalsze awarie i ogólny chaos.

Unosił się dym, grzmot dobiegał ze wszystkich stron, ludzie biegali z krzykiem; zwarcia, eksplozje, dehermetyzacja pomieszczeń; przerwy w łączności alarmowej, Ciągły ostrzał powstańczych krążowników wzmacniał jedynie narastanie wszechobecnej hysterii.

Imperator nie żył. Ośrodek zła, będący siłą scalającą Imperium, teraz zniknął. A rozproszona, bezkie-runkowa ciemna strona prowadziła właśnie do tego.

Do zamętu.

Do desperacji

Do ślepego strachu,

Wśród tego zamieszania Luke zdołał się przedostać na płytę głównego lądowiska. Usiłował przenieść ciężkie ciało ojca do imperialnego promu. W połowie drogi brakło mu sił. Padł pod ciężarem,

Podniósł się z wysiłkiem. Jak automat podniósł ojca i chwiejnie ruszył ku jednemu z ostatnich promów, jakie jeszcze pozostały.

Zatrzymał się znowu, opuścił Vadera na podłogę i zbierał siły do ostatniego etapu. Wybuchy grzmiały coraz głośniej. Między filarami strzelały iskry; ściana wybrzuszyła się nagle i pękła, a dym buchnął przez otwór. Drżała podłoga.

Vader skinął ręką.

— Luke,,. pomóż mi zdjąć maskę. Chłopiec pokręcił głową.

— Umrzesz.

— Nic tego nie powstrzyma — odparł słabym głosem Czarny Lord. — Pozwól mi jeden raz spojrzeć na ciebie. Chcę cię zobaczyć własnymi oczami.

Luke bał się. Bał, że zobaczy ojca takim, jakim jest naprawdę; osobę która potrafiła bez reszty oddać się ciemności, tę samą, która spłodziła jego i Leię. Obawiał się, czy rozpozna Anakina Skywalkera, żyjącego w duszy Dartha Vadera.

Vader bał się także. Bał się usunąć pancerną maskę, od tak dawna tkwiącą między nimi; czarną, twardą powłokę, która od dwudziestu lat pozwalała mu istnieć, była głosem, oddechem, wzrokiem... jego tarczą przed wszystkimi ludźmi. Teraz miał ją zdjąć, by przed śmiercią spojrzeć na syna.

Razem unieśli ciężki hełm. Wewnątrz części twarzowej Luke musiał rozdzielić skomplikowany system oddechowy, odłączyć od bloku zasilania modulator głosu i ekrany wizjerów. Jednak w końcu maska znalazła się na podłodze i Luke spojrział w twarz ojca.

To była smutna, zmęczona twarz starca. Łysy, bez zarostu, miał szeroką bliznę od czubka głowy do potylicy, głęboko osadzone, mętne, ciemne oczy i trupio bladą skórę, która od dwudziestu lat nie widziała słońca. Starzec uśmiechnął się słabo; jego oczy zalśniły od łez. Przez chwilę był podobny do Bena.

Luke na zawsze miał zapamiętać tę twarz. Widział w niej żal. I wstyd, Widział wspomnienie lepszych dni. I grozy. I miłości.

Ta twarz przez całe życie była odcięta od świata. Przez całe życie Luke'a. Pomarszczone nozdrza drgnęły, chwytając pierwsze słabe zapachy, Vader pochylił głowę, nasłuchując — po raz pierwszy bez elektronicznych wzmacniaczy. Luke cierpiał, gdyż jedynym dźwiękiem był teraz huk eksplozji, jedynym zapachem ostra woń ozonu. Mimo to nastąpił kontakt. Czysty i bezpośredni.

Dostrzegł, że patrzą na niego oczy starca. Łzy parzyły chłopcu policzki, spadały na wargi ojca. I ojciec uśmiechnął się, czując ich smak.

Vader widział, że syn płacze, i wiedział, że z przerażenia wyglądem twarzy, którą zobaczył po raz pierwszy.

Przypomniał, jak wyglądał dawniej: przystojny i szlachetny, z lekko zmarszczonym czołem, sugerującym poczucie własnej siły i wiedzy. Taki był kiedyś.

Napłynęły inne wspomnienia: przyjaźni i domu. Kochanej żony. Swobody przestrzeni. Obi-wana,

Obi-wana, przyjaciela... i okoliczności, w których umarła ta przyjaźń. Sam nie wiedział, kiedy, ale została zakażona jakimś okrutnym wirusem, który mnożył się, aż... stop, Nie chciał o tym pamiętać. O płynnej lawie, ciekącej falą na plecach... nie.

Ten chłopak wyciągnął go z otchłani swoim czynem, tutaj i teraz. Ten chłopak był dobry,

Był dobry i pochodził od niego, więc w nim także musi być dobro. Uśmiechnął się znowu do syna i po raz pierwszy poczuł, że go kocha. Po raz pierwszy od wielu długich lat przestał siebie nienawidzić.

Nagle wyczuł coś... rozszerzył nozdrza, wciągnął zapach. Dzikie kwiaty, tak, na pewno. Kwitną. To pewnie wiosna.

Usłyszał grom... przechylił głowę, wyteżył słuch. Tak, wiosenna burza niosła wiosenny deszcz. Zęby zakwitły kwiaty.

Kropla deszczu spadła mu na wargi. Zlizął ją. Ale to nie był deszcz, miał słony smak. To była łza.

Znow spojrzął na Luke'a. Chłopiec płakał, ponieważ ojciec wyglądał tak strasznie... ponieważ był straszny.

Ale chciał to wyjaśnić, chciał powiedzieć, że nie jest naprawdę taki wstrętny, nie w głębi duszy, nie do końca. Potrząsnął głową z uśmiechem lekkiej pogardy dla samego siebie.

— Jesteśmy świetlanymi istotami, Luke — szepnął. — Nie tą prymitywną materią.

Luke także pokręcił głową. Chciał wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że ojciec nie ma się czego wstydzić, że nic nie jest teraz ważne. Albo wszystko. Ale nie potrafił wydobyć głosu,

Vader odezwał się znowu, słabiej jeszcze, niemal niesłyszalnie.

— Idź już, synu. Zostaw mnie. Wtedy Luke odzyskał mowę.

— Nie. Zabiorę cię ze sobą. Muszę cię uratować.

— Już to zrobiłeś, Luke — szepnął. Zaprzagnął spotkać Yodę, podziękować staremu Jedi za przeszkolenie syna. Ale może już wkrótce będą razem, w eterycznej jedności Mocy.

I z Obi-wanem.

— Nie zostawię cię — zaprotestował Luke. Wybuchy wstrząsnęły płytą lądowiska. Jedna ze ścian runęła, pękł strop. Z jakiegoś otworu trysnął błękitny, gazowy płomień; podłoga pod nim topniała,

Vader przyciągnął Luke'a i szepnął mu do wprost ucha:

— Miałeś rację... nie pomyliłeś się co do mnie... Powiedz siostrze... że miałeś rację.

Darth Vader — Anakin Skywalker — zamknął oczy i skonał.

Straszliwa eksplozja wypełniła ogniem tylną część hali i cisnęła chłopca na ziemię. Podniósł się wolno i jak maszyna poniósł ciało ojca do rampy promu,

„Sokół Millenium” kontynuował swój nierówny lot przez labirynt tuneli, był już blisko ośrodka mocy gigantycznej stacji: głównego reaktora. Krążowniki Sprzymierzenia prowadziły ciągle bombardowanie odsłoniętej, nie dokończonych powierzchni Gwiazdy Śmierci, a każde trafienie powodowało rezonansowe drżenie i kolejną serię katastrof.

Komendant Jerjerrod stał w sterowni Gwiazdy i obserwował, jak wszystko wokół rozpada się w gruzy. Połowa załogi była martwa, ranna albo uciekła, choć nie miał pojęcia, gdzie ci szaleńcy chcieli szukać schronienia, Pozostali kręcili się bez celu, albo przeklinali statki buntowników, albo wydawali rozkazy, albo strzelali ze wszystkich dział we wszystkie strony, albo koncentrowali się rozpaczliwie na jednej czynności, jakby to mogło ich ocalić. Niektórzy, jak Jerjerrod, po prostu myśleli.

Nie wiedział, gdzie popełnił błąd. Był cierpliwy, lojalny, przebiegły, nieustępliwy. Był dowódcą największej stacji bojowej, jaką zbudowano. Powiedzmy, prawie zbudowano. Po dziecinnemu nienawidził tego zbuntowanego Sprzymierzenia. Kiedyś je kochał; było jak mały chłopiec, nad którym można się znęcać, albo zwierzątko, które można torturować. Ale chłopiec urósł i nauczył się bronić. Zwierzątko zerwało smycz.

Jerjerrod nienawidził Rebelii.

Mimo to niewiele mógł teraz zrobić. Oprócz, naturalnie, zniszczenia Endora. Do tego był zdolny. Drobnym to wyczyn, raczej symboliczny — rozsadzić coś zielonego, żyjącego; zniszczyć to bezlitośnie i bez powodu, bez żadnego celu prócz pustej destrukcji. Drobnym czyn, lecz dający głęboką satysfakcję.

Podbiegł adiutant.

— Flota rebeliantów zbliża się, sir.

— Skoncentrować cały ogień na ich sektorze — rzucił obojętnie. Konsola na ścianie wybuchła płomieniem.

— Myśliwce wewnątrz konstrukcji unikają naszych systemów obronnych. Czy nie powinniśmy...?

— Zalać sekcje trzysta cztery i sto trzydzieści osiem. To powinno ich trochę przyhamować.

Adiutant niewiele zrozumiał i zaczął się zastanawiać, czy komendant w pełni zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

— Ale, sir...

— Przy naszym współczynniku rotacji, kiedy księżyc Endor wejdzie w zasięg skutecznego ognia? Adiutant sprawdził na komputerze.

— Zero zero dwa do księżycy, panie komendancie, flota...

— Przyspieszyć obrót, a kiedy księżyc znajdzie się w zasięgu, strzelać na mój rozkaz.

— Tak jest — oficer przesunął rząd przełączników. — Przyspieszenie rotacji. Do celu zero zero jeden. Za sześćdziesiąt sekund księżyc znajdzie się w polu rażenia, sir.

Adiutant zaszalutował, podał Jerjerrodowi przełącznik spustu i wyszedł z sali, gdy kolejna eksplozja wstrząsnęła ścianami pomieszczenia.

Jerjerrod uśmiechnął się chłodno. Endor wynurzał się z cienia Gwiazdy Śmierci. Komendant pieścił palcami przełącznik spustu. Do celu zero zero pięć. W kabinie obok rozległy się krzyki. Trzydzieści sekund do strzału.

Lando kierował się ku szybowi głównego reaktora. Poza nim pozostał tylko Wedge, lecący przodem, i Złoty Skrzydłowy, tuż za rufą. Kilka TIE wciąż prowadziło pościg.

Te tunele w pobliżu środka miały szerokości ledwie na dwa myśliwce, a przy prędkościach, jakie osiągnęli, ostre zakręty następowały co pięć, najwyżej dziesięć sekund. Kolejny imperialny TIE rozbił się o ścianę. Inny zestrzelił Złotego Skrzydłowego.

Było ich już tylko dwóch.

Tylni strzelcy Calrissiana zmuszali pozostałe myśliwce przeciwnika do gwałtownych manewrów w ciasnej przestrzeni, Wreszcie w polu widzenia pojawił się główny szyb. Nigdy jeszcze nie widzieli tak ogromnego reaktora.

— Jest za wielki, Złoty Dowódco — jęknął Wedge. — Moje torpedy protonowe nawet go nie wgniotą.

— Szukaj regulatora mocy w północnej wieży — polecił Lando. — Ja zajmę się samym reaktorem. Mamy rakiety burzące. Powinny się przebić. Kiedy wystrzelę, nie zostanie nam wiele czasu na ucieczkę.

— Ja już wylatuję! — zawołał Wedge.

Z koreliańskim bojowym wrzaskiem odpalili torpedy, z obu stron trafiając w północną wieżę, wykonał zwrot i przyspieszył.

"Sokół" odczekał jeszcze trzy niezwykle groźne sekundy. Później z hukiem wystrzeliły pociski burzące i przez kolejną sekundę jaskrawy błysk uniemożliwił jakiegokolwiek obserwację. Potem cały reaktor zaczął się rozpadać.

— Trafiony! — wrzasnął Lando. — A teraz zaczyna się najtrudniejsze.

Szyb zapadał się. "Sokół" manewrował krętym korytarzem między ścianami ognia, zawsze odrobinę przed falą wybuchów.

Wedge wyskoczył z Gwiazdy Śmierci niemal z prędkością światła, przemknął nad Endorem i wyleciał w przestrzeń, by z wolnic delikatnie i łagodnym łukiem zawrócić w stronę księżyca.

Chwilę później w niestabilnym promie opuścił lądowisko Luke — dokładnie wtedy, gdy sektor zaczął się rozpadać. Jego niezbyt sprawny pojazd także kierował się ku pobliskiemu zielonemu sanktuarium.

Na końcu, jak wypchnięty płomieniem pożaru, wystrzelił ku Endorowi "Sokół Millenium". Po sekundzie Gwiazda Śmierci niby Supernowa rozbłysła jaskrawym żarem,

Gdy wybuchła Gwiazda Śmierci, Han wśród paproci bandażował ramię Lei. Eksplozja przyciągnęła wzrok wszystkich istot: Ewoków, schwytanych do niewoli szturmowców i komandosów Sprzymierzenia, Ostatni, gwałtowny rozbłysk zniszczenia rozjaśnił wieczorne niebo. Powstańcy krzyknęli z radości.

Leia musnęła policzek Hana. Pochylił się i pocałował ją. Wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo.

— Słuchaj — zaczął. — Założę się, że Luke zdążył odlecieć przed wybuchem.

— Zdążył. Czuję to,

Żywa obecność brata docierała ku niej poprzez Moc. Odpowiedziała myślowym impulsem, by wiedział, że z nią wszystko w porządku.

Han spoglądał na nią z głębokim, niezwykłym uczuciem. Niezwykłym, ponieważ była niezwykłą osobą, księżniczką nie z tytułu, ale z serca. On sam kiedyś chciał tego, czego chciał, wyłącznie dla siebie, bo miał na to ochotę. Teraz pragnął wszystkiego dla niej. Jedynie. I widział, że ona pragnie tylko jednego:

Luke'a.

— Kochasz go, prawda?

Przytaknęła wciąż zapatrzona w niebo. Luke żył. A ten drugi, Czarny Lord, zginął.

— Posłuchaj — mówił dalej Han, — Wszystko rozumiem. Kiedy tu wróci, nie stanę wam na drodze...

Nagle pojęła, że prowadzą całkiem inne, niezależne od siebie rozmowy.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się. I nagle zrozumiała. — Nie, nie — wybuchnęła śmiechem. — To zupełnie inna sprawa. Luke jest moim bratem.

Han był kolejno zdumiony, zakłopotany i wniebowzięty. Wszystko ułożyło się po prostu cudownie.

Wziął ją w ramiona, objął, ułożył wśród paproci... i uważając na jej zranione ramię położył się obok, pod dogasającym blaskiem Gwiazdy Śmierci.

Luke stał na polanie, przed wielkim stosem belek i gałęzi. Na szczycie leżało nieruchome, okryte płaszczem ciało Dartha Vadera. Luke przysunął pochodnię.

Płomienie objęły ciało, a dym popłynął jak uwolniony wreszcie duch mroku. Luke z bolesnym smutkiem przyglądał się rozbłyskom ognia. Bezgłośnie wyszeptał swe ostatnie pożegnanie. On jeden wierzył w resztę człowieczeństwa, jaka przetrwała w ojcu, Prośba o odkupienie wleciała w noc żarem pogrzebowego stosu.

Chłopiec spoglądał śladem iskier, zeglujących ku gwiazdom. Tam ginęły wśród fajerwerków, wystrzeliwanych przez powstańcze myśliwce dla uczczenia zwycięstwa, A te mieszały się z blaskiem ognisk, płonących wśród gałęzi, w wiosce Ewoków — znaków radości i tryumfu. Słyszał bębny wybijające rytm; słyszał radosne okrzyki. Milczał, patrząc w ogień własnego zwycięstwa i straty.

Na samym środku głównego placu wioski Ewoków płonęło ogromne ognisko. Powstańcy i Ewoki bawili się w jego ciepłym blasku: śpiewali, tańczyli, żartowali we wspólnym języku wolności. Nawet Teebo i Erdwa pogodzili się i podrygiwali razem, w takt rytmicznego klaskania. Trzypeo, którego wielkie dni w wiosce dobiegły końca, siedział po prostu w pobliżu małego robota, swego najlepszego przyjaciela, Dziękował Wielkiemu Konstruktorowi, że generał Solo zdołał naprawić Erdwa, nie mówiąc już o księżniczce Lei. Jak na człowieka, który nie przestrzegał protokołu, Solo miał kilka pozytywnych cech. Android dziękował też Konstruktorowi, że krwawa wojna dobiegła końca.

Więźniowie odlecieli promami do tego, co pozostało z Floty Imperium. Gdzieś tam wysoko Krążowniki Sprzymierzenia eskortowały niedobitki przeciwnika, a Gwiazda Śmierci dopalała się powoli.

Han, Leia i Chewbacca stali w pewnej odległości od tańczących. Trzymali się razem, choć nie rozmawiali. Co chwilę spoglądali ku ścieżce prowadzącej do wioski. Czekali, i choć starali się tego nie okazywać, nie potrafili znaleźć innego zajęcia.

W końcu cierpliwość została wynagrodzona. Luke i Lando, zmęczeni, ale szczęśliwi, wyszli ścieżką z mroku w światłość. Przyjaciele pobiegli im na spotkanie. Nastąpiły uściski, śmiechy, podskoki, wreszcie stanęli przytuleni, nie mogąc znaleźć słów. Po prostu cieszyli się swą bliskością.

Po chwili oba roboty zbliżyły się także, by stanąć obok towarzyszy tyłu przygód.

Kudłate Ewoki szalały do późnej nocy, a niewielka grupka weteranów z boku obserwowała święto.

Luke spojrzął w płomienie. Przez jedną ulotną chwilę zdawało mu się, że dostrzega tam twarze: Yody, Bena... czy ta trzecia należała do ojca? Odsunął się od przyjaciół i próbował odgadnąć, co przekazują mu te twarze. Były jak zjawy, przemawiały tylko do cieni rzucanych przez płomienie. Potem zniknęły.

Luke posmutniał, lecz zaraz Leia chwyciła go za rękę i przyciągnęła bliżej do siebie, do innych, w krąg ciepła, przyjaźni i miłości.

Imperium umarło.

Niech żyje Sprzymierzenie!